

CASSANDRA AUSTIN

**W pogoni
za szczęściem**



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kansas, 1881

- Czy mam rozumieć, że jestem aresztowana?

Emily oderwała wzrok od odznaki zastępcy szeryfa i spojrzała w poważne zielone oczy.

- Nie jestem pewien, proszę pani. Mówi pani, że nazywa się Emily Prescott, ale nie odpowiada jej rysopisowi. Spodziewałem się dziewczynki z warkoczami.

- No wiesz, Jake, bardzo jesteś dowcipny.

Spiorunowała go wzrokiem, gasząc jego uśmiech.

Na peronie panował ruch i zgiełk, jednak Emily prawie tego nie zauważała. Otuliła się szczelniej ciepłą peleryną i patrzyła na Jake'a Rawlinsa z rosnącą irytacją.

- To moi rodzice cię przysłali, tak? Jakbym słyszała ich słowa: „Zawieź ją na ranczo brata i dopilnuj, żeby tam została. A jeżeli nie przyjedzie, to natychmiast zatelegrafuj”. Słuchaj, Jake, to jest nic innego jak areszt domowy!

Powiedziawszy te słowa, ruszyła energicznie na poszukiwanie swojego kufra. Jake oczywiście szedł krok w krok za nią. Nie miała nadziei na to, że mu ucieknie. Chciała tylko oddalić się choć na chwilę i ochłonać, zapanować nad emocjami, choć ani jej wzburzenie, ani cała ta sytuacja nie były zawinione przez Jake'a.

Nie jestem twoim strażnikiem - odezwał się miękko. Mam po prostu odwieźć cię na ranczo.

I to ma być wyjaśnienie, tak? To dlatego cię tu przysła-
li! Żebyś mnie po prostu odwiózł!

Znalazła kufer i poczuła się nagle tak zmęczona, że usiad-
ła na nim, składając dłonie w rękawiczkach na kolanach.

Jake podszedł bliżej i stanął przed nią.

- Nikt mnie nie przysłał. Jestem tu z własnej woli. Jadę tam gdzie ty. Wiesz przecież, że moi rodzice mieszkają na ranczu twojego brata.

Emily westchnęła, żałując, jak zwykle, że tak łatwo unios-
ła się gniewem.

- Wiem o tym. Jednak ja regularnie odwiedzam ranczo i muszę powiedzieć, że od trzech lat cię tam nie widziałam.

Przyznał jej rację, kiwając smutno głową.

- Rzeczywiście, rzadko tam bywałem, ale staram się właśnie to naprawić - powiedział. - Dowiedziałem się, że ty przyjeżdżasz wcześniej na Boże Narodzenie i pomyślałem, że to świetna okazja, żeby wziąć urlop i spędzić trochę czasu z... z moimi rodzicami.

Emily zauważyła jego wahanie i przyszło jej do głowy, że między nim a Marthą i Perrym istnieją jakieś nieporozumienia, o których ona nie wie. Pomyślała też, że być może on okaże większe zrozumienie dla jej położenia, niż się spodziewała. Spojrzała na Jake'a, przechylając głowę na bok.

- Więc powiedzieli ci tylko tyle? Że ja dzisiaj przyjeżdżam?

Potwierdził skinieniem głowy.

A ją ponownie ogarnął gniew. Wstała energicznie, sama nie wiedząc, czy krzyczeć, czy może uciekać. Zanim zdążyła

cokolwiek zrobić, on położył dłonie na jej ramionach. Zaskoczyła ją delikatność tego gestu. Bo przecież Jake nigdy nie był dla niej zbyt miły.

- Znamy się od małego - powiedział. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Czy tak wiele się zmieniło? Powiedz.

Jego ton sprawił, że gniew Emily zniknął.

- Wszystko się zmieniło, Jake. Wystarczy rozejrzeć się naokoło, żeby to widzieć. Od kiedy moi rodzice się rozstali, przyjeżdżam tutaj raz czy dwa razy do roku. Kiedyś to była mała miejscowość nosząca nazwę Cottonwood Station. A teraz jest to miasto, które się nazywa Strong.

Jake popatrzył na nią z taką kpina, że musiała się roześmiać.

- Choć oczywiście nie ma to nic wspólnego z nami stwierdziła. - Jednak muszę ci powiedzieć, że przez całą drogę żałowałam, że nie jestem już małą dziewczynką, którą zapamiętałeś. Bardzo chciałam po wyjściu z pociągu przekonać się, że wszystko jest jak dawniej, że życie jest znowu proste i nieskomplikowane.

Emily przypomniawszy sobie o nękającym ją bezustannie strapieniu. Odwróciła więc głowę, by Jake nic nie poznał po jej wyrazie twarzy.

- Jestem już gotowa. Możemy iść. No i... wiesz - odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy - dobrze cię znowu widzieć.

Jake zaprowadził ją do poczekalni i kazał zaczekać przy piecu, sam tymczasem zaniósł kufer do powoziku. Poprzedniego dnia był na ranczo, żeby przyprowadzić powozik do miasta. Brat Emily, Christian, zaproponował, żeby wziął wóz, na wypadek gdyby Emily miała więcej niż jeden kufer,

Jednak on zdecydował się na powozik, który lepiej chronił przed zimnym wiatrem. Chcąc zapewnić Emily jak największą wygodę, postanowił, że w razie potrzeby pojedzie na stację dwa razy.

Przez ostatnie trzy lata nie był aż tak zajęty, by nie móc przyjechać na ranczo. Unikał jednak odwiedzin podczas pobytów Emily, miał bowiem nadzieję, że nie spotykając się z nią, przestanie o niej marzyć. I ta nadzieja, o ironio, prawie się spełniła. A potem doszły do niego słuchy, że Emily jest w tarapatkach i cały jego rozsądek diabli wzięli.

W ciągu trzech ostatnich lat Emily wypiękniała. Była teraz osiemnastoletnią panną. Jej twarz straciła nieco ze swej dziecięcej krągłości, wskutek czego większe wrażenie robiły ciemne brązowe oczy. Błyszczały jak dawniej, kiedy się prze-komarzała, a jej śliczne usta to się uśmiechały, to zaciskały, to wydymały, zachęcając do pocałunków - dokładnie tak jak w jego marzeniach.

Jake otrząsnął się z zadumy. Ponieważ kufer był już w powoziku, pospieszył do poczekalni. Emily, siedząc przy piecu, rozmawiała właśnie z jakimś podróżnym. Jake pozwolił jej dokończyć rozmowę, a sam wziął pled wiszący na oparciu krzesła.

- Jesteś gotowa do dalszej podróży? - zapytał, gdy odwróciła się w jego stronę.

Wstała i ruszyła za nim do wyjścia.

- Czy potrzebujesz czegoś z miasta? - pytał dalej, pomagając jej wsiąść do powoziku. - Jesteś może głodna?

Pokręciła głową.

- Mama dała mi lunch na drogę - odrzekła. - Ale dziękuję ci za troskę.

Głupotą byłoby obiecywać sobie cokolwiek po jej uśmiechu, jednak Jake - gdy chodziło o Emily Prescott - był głupcem. Przynajmniej przestała się już złościć, pomyślał z ulgą. Wsiadł do powoziku i, usadowiwszy się obok niej, odkrył jej nogi pledem.

- O, jakie to miłe - powiedziała, a w jej tonie było więcej rozbawienia niż wdzięczności.

- To nic takiego - odrzekł, po czym ujął w dłonie lejce i popędził konie.

Poczuł się jak idiota. Emily miała talent do wprowadzania go w taki stan.

Zdobył się na odwagę i zerknął na nią kątem oka. Napotkawszy wzrokiem jej kpiący uśmiech, cofnął się nagle w przeszłość - do czasów gdy sam był siedemnastolatkiem, a ona dwunastoletnią dziewczynką.

- Lepiej uważaj, bo mnie za bardzo rozpieścisz - powiedziała.

- O nie, nie. Ja ciebie nie rozpieszczę. Nie uda mi się to, bo ktoś... bo właściwie wszyscy zrobili to przede mną już dawno temu.

Emily roześmiała się, biorąc go pod ramię.

- A ty im w tym nie pomogłeś, Jake?

Jej twarz, zwrócona ku niemu, była taka śliczna, że miał ochotę pochylić się i ją pocałować. Albo przynajmniej zdjąć rękawiczkę i pogładzić delikatne, blade policzki. Zamiast tego chwycił mocniej lejce.

- Masz rację, chyba im w tym pomogłem - przyznał miękko.

W oczach Emily zgasł błysk przekory. Odwróciła głowę. Jake był taki poważny. A przecież dawniej pomiędzy nimi

nigdy nie było zbyt wiele miejsca na powagę. Teraz jednak najwyraźniej nie potrafił udawać, że się o nią nie martwi.

A on odetchnął głęboko. Chłodne powietrze otrzeźwiło go nieco. Gdy zaczął mówić, jego głos był spokojny.

- Posłuchaj, Emily. Rodzice przysłali cię tutaj z powodu jakiegoś młodego człowieka.

Puściła jego ramię, a jemu zrobiło się przykro.

- Proszę cię, powiedz mi, co się stało. Przedstaw mi swoją wersję wydarzeń, dobrze?

- Swoją wersję?! Czy moi rodzice do ciebie pisali? Musisz mi natychmiast powiedzieć, co było w ich liście!

- Rozmawiałem z Christianem. - Jake starał się mówić spokojnie. - On twierdzi, że ten człowiek nie ma pracy, że jest lekkomyślny, zuchwały...

- Co takiego?!

- I że siedzi w więzieniu za to, że zniszczył ogród sąsiada.

Emily odwróciła głowę, a twarz ukryła pod osłoną kaptura. Jake czekał cierpliwie, aż dziewczyna zacznie mówić.

- To był wypadek - powiedziała wreszcie cicho. - Wszystko to jest wielkim nieporozumieniem.

- Wypadkiem było to, że przejechał konno przez ogród różany? Że stratował rośliny i zniszczył płot? On...

- Dosyć!

Jake czekał, aż Emily zdecyduje się mówić. Droga na rancho była długa. Miał więc nadzieję, że dziewczyna zdąży się otworzyć. Choć równocześnie nie miał pojęcia, skąd ta nadzieja się bierze. Bo właściwie, kim on dla niej jest? Towarzyszem dziecięcych zabaw? Prawie bratem, jednak mniej niż bratem? W każdym razie z pewnością nie **jest dla niej** tym, kim chciałby być.

Konie szły naprzód w monotonnym rytmie. Drogę przebiegł im królik i zniknął w wysokiej trawie. Powozik cicho poskrzypywał. Jake zdał sobie sprawę, że z całych sił zaciska zęby. Spróbował się odprężyć. Po kilku minutach porzucił nadzieję, że usłyszy cokolwiek z ust Emily.

- Nie sądzę, że wszystko było tak, jak oni mówią - odezwała się nagle.

- A jak było twoim zdaniem?

Emily wzięła głęboki wdech. Nie miał odwagi na nią spojrzeć. Bał się, że dostrzeże na jego twarzy cierpienie. Patrzył przed siebie, na drogę, i czekał.

- Anson to dobry człowiek - zaczęła. - Wcale nie jest lekkomyślny ani zuchwały. On po prostu lubi się dobrze bawić. Starzy ludzie tego nie rozumieją. Będzie pracował we młynie, u swojego ojca. Tylko na razie nie ma tam jeszcze dla niego miejsca.

Jake popatrzył na Emily sceptycznie, lecz ona tego nie zauważyła, bo była odwrócona.

- Sąsiad, który go oskarżył o zniszczenie ogrodu, to stary zrzęda. Kłóci się ze wszystkimi. Nawet papa go nie lubi.

Już miał się odwrócić w jej stronę, powstrzymał się jednak. Chciał, żeby mówiła dalej, i bał się, że zamilknie, gdy zorientuje się, co on czuje. Spojrzał na niebo. Jest niebieskie, pomyślał ze zdziwieniem. Niebieskie w grudniu. A powinno być szare!

Emily milczała. Po kilku minutach Jake spróbował wydobyć z niej dalsze szczegóły.

- Twoi rodzice jeszcze przed tym, jak to określasz, „wypadkiem”, nie chcieli, żebyś się widywała z Ansonem Berkeleym.

- Oni traktują mnie jak dziecko i mieliby zastrzeżenia do każdego chłopca. Rodzice Ansona mają prawie tyle samo pieniędzy, co my. Nie ma więc powodu, żeby go tak traktować.

Jake, starając się panować nad wyrazem twarzy, odwrócił głowę w jej stronę. W chwilę później spotkała go nagroda, bo i ona spojrzała na niego. Miał nadzieję, że Emily wyczytała z jego twarzy szczerą troskę, a sam w jej oczach dostrzegł niezdecydowanie.

- Emily - powiedział łagodnie. - Jestem twoim przyjacielem. Powiedz mi, proszę, o Ansonie.

Wsunęła mu dłoń pod rękę i oparła głowę na jego ramieniu, wzdychając głęboko.

- Wiem, że jesteś moim przyjacielem. Właściwie chyba jedynym. Wszyscy inni są gotowi osądzać Ansona i mnie.

- Ja was nie osądzam - skłamał Jake. - Jesteście oboje niewinni... dopóki wina nie zostanie dowiedziona - zażartował, po czym zapytał: - Czy ty go kochasz?

Tym razem jej westchnienie zabrzmiało inaczej.

- Tak, kocham go. A on kocha mnie. Obiecaliśmy sobie, że będziemy się kochać zawsze.

Jake nie chciał nawet myśleć, co z tego oświadczenia wynika. Serce zaczęło mu bić szybciej. Sam nie wiedział, czy dlatego, że Emily trzymała go pod ramię, czy z gniewu.

Tymczasem ona, nie mając pojęcia, że Jake cierpi, mówiła dalej:

- On jest taki przystojny. I taki... no wprost zachwycający. Nigdy dotąd nie znałam nikogo takiego jak on.

Jake znów zaciskał zęby. Popędził konie.

- Anson zabierze mnie w takie miejsca - mówiła dalej

Emily -jakich nigdy bym nie poznała, będąc posłuszna rodzicom.

- W takie miejsca? - powtórzył. - To znaczy jakie?

Miał przy tym nadzieję, że w jego głosie nie słyhać wściekłości. Dokąd ten drań zabiera Emily? - zastanawiał się.

- Do klubów - powiedziała dziewczyna. - Tam, gdzie gra muzyka, gdzie ludzie tańczą i się śmieją.

- I piją alkohol? Emily, to jest teraz sprzeczne z prawem. W zeszłym roku uchwalono prohibicję.

Emily odsunęła się od niego.

- Jesteś taki sam jak wszyscy.

- I może wszyscy mamy rację! - powiedział porywczo i natychmiast tego pożałował.

Przejechali kilka mil, nie mówiąc ani słowa. Stukotowi końskich kopyt i poskrzypywaniu powozu towarzyszył tylko od czasu do czasu śpiew wędrownego drozda, który nie odleciał na południe i który wzbijał się teraz w dziwnie jak na tę porę roku błękitne niebo.

Jake zdawał sobie sprawę, że powinien był słuchać Emily bez słowa. Nie pozwoliły mu jednak na to własne uczucia. Powiedział sobie jednak, że skoro Emily kocha tego człowieka, to nie może on być tak do końca zły. Liczyło się przecież jej szczęście. Wiedział też, że nie wolno mu okazać zazdrości, bo to zagroziłoby ich przyjaźni, a jeżeli miał jej pomóc, to musieli pozostać przyjaciółmi.

- Przepraszam - odezwał się w końcu. - Masz rację. Nie mam prawa osądzać. Jeżeli Anson Berkeley jest człowiekiem, którego pragniesz, to mam nadzieję, że wszystko się wam dobrze ułoży.

Podziękowała mu cicho, ale nie przysunęła się już do nie-

go. Jake zapragnął ją objąć i przyciągnąć do siebie. Wiedział jednak, że ona stawi mu opór.

Po dłuższej chwili odchrząknął i powiedział:

- Mama dała mi na drogę lemoniadę. Więc jeżeli chce ci się pić...

- Nie chce mi się.

- Mama w to nie uwierzy. Pomyśli, że zapomniałem ci ją zaproponować.

- To jej powiedz, że swoim gadaniem odebrałeś mi apetyt - odrzekła niecierpliwie.

- Cóż, rzeczywiście. Moja wina. Jednak przeprosiłem cię przecież. - Wyciągnął koszyk spod siedzenia. - Jeżeli ty nie chcesz pić, to ja muszę wypić wszystko. Mam do wyboru: albo ból brzucha, albo przeprawę z mamą, więc...

Emily z trudem powstrzymała śmiech.

- Możesz ją przecież po prostu wylać.

- Pozwoliłabyś mi wylać lemoniadę? No to widzę, że rzeczywiście jesteś na mnie wściekła!

Roześmiała się w końcu i poczuła ulgę. Jake wyjął z wymoszczonego słomą koszyka niewielki słoik i podał go Emily.

Upiła trochę i zakręciła z powrotem wieczko, a potem ustawiła słoik między własnymi stopami. Wyglądała na mniej spiętą niż przedtem, a on miał nadzieję, że mu wybaczyła. Szukał w myśli czegoś, co mógłby powiedzieć. Czegoś neutralnego, co przekonałoby ją, że jest jej przyjacielem. W końcu zrezygnował. Pogodził się z jej milczeniem. Droga na ranczo dłużyła mu się jak nigdy przedtem.

Emily żałowała, że zwierzyła się Jake'owi. Okazał się taki jak wszyscy. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że

jest zazdrosny. Uznała jednak, że to z pewnością wytwór jej wyobraźni. Jake po prostu kieruje się braterskimi uczuciami - tak jak robił Arlen i jak z pewnością postąpi Christian.

Chodź tam, gdzie my pozwalamy ci chodzić! Widuj się z tym, kogo my zaakceptujemy! Rób to, co ci każemy! Miała tego dosyć. Anson pojawił się w samą porę, by wyrwać ją z tego nudnego życia, które dla niej zaplanowali.

I ona będzie z Ansonem. Tak, będzie z nim, nie ma co do tego wątpliwości. Połączy się z nim w ten czy inny sposób.

Przypomniała sobie, jak się poznali, jak Anson na nią patrzył, jak włączył ją do swego niewielkiego towarzystwa. Wybrał ją spośród innych, a potem pokochał. Przypominając sobie to wszystko, starała się odgonić złe przeczucia, które ją nawiedzały.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła, kiedy powozik zjechał z gościńca. Podniosła głowę zaskoczona. Jej oczom ukazał się ogromny dom z kamienia o licznych balkonach. Na ten widok ogarnęła ją nostalgia. Wjechali na wzgórek, okrążyli dom i zbliżyli się do wejścia na górnym poziomie. Zanim Jake zdążył zatrzymać powozik, przed drzwiami ukazał się Christian. Wziął Emily na rękę i przytulił do piersi, a potem zakręcił się z nią w koło - tak jak to czynił zawsze od czasów jej wczesnego dzieciństwa.

Następnie postawił ją z uśmiechem na ziemi. Na jego policzkach pojawiły się przy tym dołeczki.

- Wejść do środka, Bułeczko. Tam jest ciepło - powiedział, obejmując ją ramieniem i prowadząc do drzwi - a my wyjmemy kufer.

Emily spojrzała na Jake'a, który nie odrywał od niej oczu,

choć pojawił się już jego ojciec. Zastanawiała się przez chwilę, o czym Jake myśli, po czym doszła do wniosku, że właściwie nie jest to dla niej interesujące.

Tymczasem w drzwiach stanęła Lynnette, ładna żona Christiana. Wyszła na zewnątrz, podeszła do Emily i pocałowała ją na powitanie w policzek. Gdy, już w domu, pomagała szwagierce zdjąć pelerynę i rękawiczki, zza jej spódnicy wychynęło dwoje małych dzieci.

- Dzień dobry, Willa. Witaj, Trevorze.

Emily ukucnęła i starała się ośmielić maluchy.

- Pamiętacie mnie?

Trevor uśmiechnął się i ukrył twarzyczkę w spódnicy matki, ale Willa podeszła bliżej.

- Ja cię pamiętam - powiedziała. - Ty jesteś ciocia Emily. Trevor jest jeszcze mały i nic nie pamięta.

Lynnette wzięła chłopca na ręce i oparła na swoim wystającym brzuchu. Za trzy miesiące miało się pojawić kolejne dziecko.

- Usiądźmy przy kominku - zaproponowała. - Musisz być przemarznięta.

Willa wzięła Emily za rękę.

- Mama powiedziała, że jest za zimno i dlatego nie możemy wyjść na dwór, żeby się z tobą przywitać. Ale wcale nie jest za zimno, prawda?

- Jest dość zimno - odrzekła Emily. - Poproszę chyba Marthę o herbatę.

- Ja się tym zajmę - powiedziała Lynnette - a ty się tymczasem rozgość.

- Ale dla papy nie jest za zimno. Wyszedł, żeby się z tobą przywitać - zauważyła Willa, ciągnąc Emily do salonu.

- Papa musi wychodzić na dwór, bo ma tam różne prace do wykonania - odrzekła Emily, śmiejąc się z dąsów Willi.

Dziewczynka stanowiła idealną mieszaninę cech obojga rodziców - miała delikatne rysy matki i jasne włosy ojca. Trevor odwrotnie - był ciemnowłosą jak matka kopią Christiana, nawet z dołeczkami w policzkach.

- Ja też mogę pracować - upierała się dziewczynka.

- O, z pewnością - potwierdziła Emily, stając koło kominika - ale tak naprawdę, to nie rozumiem, dlaczego chcesz to robić.

- Mam prawie pięć lat - odrzekła Willa, wyjaśniając tym wszystko.

Christian i Lynnette przez pięć lat swego małżeństwa nie wprowadzili wielu zmian w salonie. Tylko książki i dzieła sztuki ojca, które pojechały z nim do Topeka, zastąpiły ich własne. W pokoju były liczne ślady obecności małych dzieci, ale meble i ich ustawienie w zasadzie się nie zmieniły, dzięki czemu Emily poczuła się przez chwilę tak, jakby czas się cofnął.

Lynnette, z Trevorem na biodrze, weszła do salonu.

- Martha za parę minut poda herbatę - oznajmiła.

Usiadła i posadziła sobie Trevora na kolanach, a chłopiec uśmiechnął się nieśmiało do Emily.

Emily usiłowała go właśnie skłonić, by wypowiedział jej imię, gdy przez pokój przeszli Jake i Christian z jej kufrem i skierowali się na schody. Emily próbowała na nich nie patrzeć. Obaj zostawili wierzchnie okrycia przy drzwiach, a ona, widząc Jake'a, poczuła się zmieszana, gdyż okazało się, że towarzysz jej dziecięcych zabaw stał się zupełnie do-

rosłym mężczyzną. Nie miała jednak pojęcia, dlaczego wprawia ją to w zakłopotanie.

- Ja pomogę - zawołała Willa, goniąc ojca i Jake'a i chwytając się kufra.

- Pobiegnij naprzód, Ciasteczko, i otwórz nam drzwi - powiedział do niej Christian.

Emily roześmiała się.

- Ona jest Ciasteczkiem, a ja Bułeczką.

- Wszystkie ulubione kobiety Christiana mają kulinarne przezwiska.

Emily uśmiechnęła się do szwagierki.

- A ty, jakie nosisz?

Lynnette skrzywiła się i poprawiła suknię opinającą jej figurę.

- Teraz jestem jego Pierozkiem.

Emily roześmiała się. Nie zdawała sobie sprawy, że jej wzrok pobiegł za mężczyznami wnoszącymi kufer, dopóki nie usłyszała słów Lynnette:

- Jake przyjechał do rodziców na dwutygodniowy urlop. Stara się często ich odwiedzać, ale jego pobyty są przeważnie krótkie. Tym razem jest inaczej i jego rodzice bardzo się z tego cieszą.

Emily kiwnęła głową. Miała nadzieję, że to oznacza, iż Jake będzie dużo przebywał z rodzicami, a ona sama nie będzie musiała go często widywać.

Zrobiła pocieszoną minę do Trevora, starając się go rozśmieszyć. Nie miała ochoty rozmawiać o Jake'u. Nie chciała także mówić o sobie. Nie wiedziała, co jej rodzice napisali o niej i Ansonie w liście do brata i bratowej. Spodziewała się jednak, że wkrótce się tego dowie.

Trevor, naśladowując ją, zmarszczył nos i wydał wargi, na co ona wybuchnęła śmiechem. W tej samej chwili jej uwagę przyciągnął cieniutki chichot Willi i odgłos ciężkich kroków na schodach. Christian schodził na dół, niosąc córkę na barana. Towarzyszył mu Jake, który nie spojrzawszy na Emily, ruszył w stronę kuchni.

- Bardzo się cieszymy, że przyjechałaś, Bułeczko - powiedział Christian, podchodząc bliżej. Postawił Willę na podłodze i pocałował ją w policzek. - Skończę tylko to, co mam do zrobienia, i zaraz do was wrócę.

Gdy wyszedł z pokoju, Emily z westchnieniem zgarbiła się w fotelu.

- Czy zanosi się na jeszcze jedno kazanie? - zapytała szwagierkę.

- Z ust Christiana? Wątpię - odrzekła Lynnette. - Znasz jednak swojego brata. Czuje się odpowiedzialny za wszystkich i bardzo się o ciebie martwi. Chce usłyszeć, jak wygląda twoja wersja wydarzeń.

Moja wersja? Gdzie ja to już słyszałam? - pomyślała Emily.

- Posłuchaj, Emily, ja też uważam, że kobieta powinna mieć prawo podejmowania decyzji w takich sprawach. Jednak jesteś jeszcze bardzo młoda, a to, co się słyszy o Ansonie Berkeleyu, jest bardzo niepokojące. Chcemy mieć pewność, że to ty podejmujesz decyzje, a nie on.

Lynnette oczekiwała jakiejś odpowiedzi, jednak na szczęście w tej chwili do pokoju weszła Martha z tacą i Emily nie musiała odpowiadać. Willa oznajmiła, że teraz ma być przyjęcie, zmuszając tym matkę i ciotkę do takiego ustawienia krzeseł, żeby w tym przyjęciu mogły uczestniczyć dzieci.

Gdy herbata została już wypita, Emily, nie mijając się z prawdą, powiedziała, że jest zmęczona i chce pójść do siebie.

Gdy już była w swoim pokoju, usiadła na łóżku i usiłowała się uspokoić, jednak przychodziło jej to z trudem. Spojrzała na kufer i pomyślała, że powinna go rozpakować, ale i to wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Jej wzrok błądził po pokoju. Wszystkie wakacje, które spędzała tu w ostatnich latach, zlały się w jej pamięci w jedno. Jednak letnie miesiące dzieciństwa pamiętała bardzo wyraźnie.

Przypomniała sobie, kiedy kupiono kołdrę, kiedy obrazek wiszący na ścianie, a kiedy małe biurko. Jej wzrok padł na lalkę opartą o książki stojące rzędem na półce nad biurkiem. Ojciec kupił ją dla niej, gdy miała sześć lat. Później, przez kilka lat, woziła tę lalkę z rancza do Topeka i z powrotem. Aż wreszcie, gdy miała lat dwanaście, zostawiła ją tutaj.

Sama nie wiedząc kiedy, podeszła do półki i zdjęła z niej lalkę. Przyglądała jej rozczochrane włosy i uśmiechnęła się, patrząc na malowaną twarzyczkę. To była jej córeczka, której, w przypływie próżności, dała na imię Emily.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Zamrugała, by się ich pozbyć. Było za wcześnie, by coś wiedzieć. Za wcześnie, aby się martwić. A poza tym Anson ją kocha. Więc wszystko się ułoży. Przekonają jakoś obie rodziny i pobiorą się, zanim dziecko się urodzi.

Odłożyła lalkę na półkę z mocnym postanowieniem, że nie będzie o tym myślała. Zajęła się kufrem. Prawie skończyła go rozpakowywać, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Czy mogę wejść, Bułeczko?

Zamknęła szufladę, odpowiedziała, że tak, i odwróciwszy się, czekała na brata. Christian zamknął drzwi za sobą i otworzył ramiona.

Podbiegła do niego, spragniona pocieszenia. Gładził ją po włosach i kołysał łagodnie w uścisku.

- Martwię się bardzo od chwili, gdy otrzymałem list papy - usłyszała jego głos dudniący w piersi, do której przytykała ucho. - Wiesz siostrzyczko, chyba chciałbym, żebyś była zawsze małą dziewczynką.

Emily odsunęła się i spojrzała mu w twarz.

- To niemożliwe - stwierdziła stanowczo. - Ja jestem dorosła. I zakochana. Dlaczego mi wszystko utrudniacie?

- Ten człowiek jest w więzieniu - odrzekł, kładąc jej palec na ustach i powstrzymując od słów protestu. - Nikt z nas nie chce, żeby ktokolwiek złamał ci serce.

- Pozwólcie mi do niego wrócić.

Pokręcił głową.

- Trudno mi ci czegokolwiek odmówić, jednak rodzice zabronili ci się z nim kontaktować, a ja muszę powiedzieć, że się z nimi zgadzam.

Uwolniła się z jego objęć i podeszła do drzwi balkonowych. Odsunęła zasłonę i popatrzyła na brunatną dolinę rozciągającą się w dole za szybą.

- Posłuchaj, Emily, oni zjawią się tutaj za dwa tygodnie. Możemy wtedy o wszystkim porozmawiać. Jeżeli w dalszym ciągu będziesz czuła to, co czujesz teraz, ja stanę po twojej stronie.

- Nie chcę czekać.

- Jeżeli to jest prawdziwa miłość, to dwa tygodnie jej nie zaszkodzą.

Odwróciła się gwałtownie, stając z nim twarzą w twarz.

- Ale on mnie potrzebuje teraz!

Christian wyglądał na zasmuconego jej wybuchem.

- Przykro mi, Emily - powiedział.

Patrzyła za nim gniewnie, gdy wychodził z pokoju. Rodzice w ciągu dwóch tygodni nie zmieniają zdania. Nie zmienią go zapewne także pod wpływem argumentów Christiana. Nawet jej ciąża - jeżeli rzeczywiście jest w ciąży - ich nie przekona. Jedna z jej koleżanek szkolnych zaufała w takiej sytuacji rodzicom, a ci posłali ją do specjalnego zakładu. Wróciła z niego do domu po urodzeniu dziecka, którego nie pozwolono jej nawet zobaczyć.

Nie, ona, Emily, nie będzie liczyła na rodziców. Ani na Christiana. Jeżeli ma być z Ansonem, to musi doprowadzić do tego, żeby mogli się połączyć.

Emily miała nadzieję, że resztę popołudnia spędzi sama, jednak w parę minut po wyjściu Christiana rozległo się ponowne pukanie do drzwi, a po nim donośny szept:

- Śpisz?

Otworzyła drzwi i do pokoju wpadła Willa.

- Mama położyła Trevora spać, a sama coś pisze.

Emily uśmiechnęła się na widok kwaśnej miny dziewczynki. Lynnette - pod pseudonimem Srebrny Słowik - pisywała romanse. Gdy rodzina się o tym dowiedziała, była nie lada sensacja, jednak teraz wszyscy się już do tego przyzwyczaili.

- Już wiem! - oznajmiła Willa, próbując strzelić palcami.
- Pójdę upiec ciasteczka.

- Naprawdę? - Pewność siebie małej zaskoczyła Emily.
- A robiłaś już to kiedyś?

- Nie, ale ja umiem piec. Jeżeli chcesz, to ci pokażę, jak się to robi.

Emily roześmiała się i wzięła dziewczynkę za rękę. Gdy schodziły na dół, po jednym schodku, Willa opowiadała jej, jak pomagała piec ciasteczka, ciasta i placki. Gdy dotarły do jadalni, Emily była prawie przekonana, że mała potrafi sama upiec wszystko, co tylko zechce.

Kiedy weszła do kuchni z idącą za nią krok w krok Willą, której nie zamykały się usta, stanęła twarzą w twarz z Jake'em. Dziewczynka minęła ją i pobiegła do Marthy. Ona tymczasem stała, wpatrując się Jake'a.

Po chwili uświadomiła sobie, że oddziela ich jedynie prosty stół z desek. Ich oczy się spotkały, a Emily miała wrażenie, iż wskutek tego odległość między nimi jeszcze zmalała. Zmieszała się.

Oderwała wzrok od twarzy Jake'a i dopiero wtedy zobaczyła, czym jest zajęty. Na stole przed nim leżały suszone kwiaty i stal wazon do połowy nimi wypełniony.

Emily uśmiechnęła się.

- Widzę, że masz talent, o którym nie miałam pojęcia. To tym zajmujesz się w przerwach pomiędzy pogoniami za groźnymi przestępcami?

Jake spojrział na kwiaty tak, jakby był zaskoczony ich widokiem.

- Obawiam się, że mnie przyłapałaś - powiedział. Układam kwiaty, nie wiedząc właściwie, co robię.

Emily stanęła obok niego.

- Czy te są przeznaczone na stół w jadalni?

Potwierdził kiwnięciem głowy.

- A po co ci to? - zapytała, wskazując leżące obok kwiatów nożyczki.

Starła się nie uśmiechać. Nie chciała, by się zorientował, że ją rozbawił. Bo przecież wciąż była na niego zła.

- Mój kochany - powiedziała, podnosząc głowę i patrząc mu w twarz - kwiaty nie mogą zasłaniać osobom siedzącym przy stole ich współbiedników. Trzeba je przyciąć.

Wyjęła kwiaty z wazonu.

- Możesz już iść - powiedziała, nie wiedząc, czy rzeczywiście chce, żeby sobie poszedł.

- O nie. Jeżeli zostawię to tobie, to mama znajdzie mi inne zajęcie, a wtedy ty już mi nie pomożesz.

Czy naprawdę położył nacisk na słowo „ty”? Czy jej się tylko zdawało? Zrobiło jej się dziwnie ciepło. Czy on rzeczywiście musi stać tak blisko? Skąd ten zawrót głowy? Sprawili to z pewnością zapach kwiatów. Emily przycięła dwie łodygi do właściwej długości i wręczyła Jake'owi nożyczki, trącając go lekko łokciem.

- Przytnij wszystkie - powiedziała, wskazując kwiaty - do takiej właśnie długości.

Patrzyła, jak bierze cztery kwiaty, przymierza je do tych przyciętych przez nią, a potem tnie. Ciach. Wręczył jej przycięty bukiet z niskim ukłonem.

Był przy tym tak zadowolony, że miała ochotę roześmiać się w głos. Odgrywał niezdarę, którym w rzeczywistości nie był. Emily włożyła kwiaty do wazonu i czekała na kolejny dar. Otrzymała go szybko. Teraz Jake przycinał po pięć, sześć kwiatów naraz. Wkrótce wazon był pełny, a ona kazała mu przestać. Jake, niezadowolony, ciachnął nożyczkami dwa razy w powietrzu.

- Co dalej? - zapytał.
- Nic. Postawimy je na stole.
- To już koniec? Nie było to zbyt trudne zadanie.

Emily wzięła wazon, a w tej samej chwili do stołu podeszła Martha.

- Pięknie, moje dzieci. Myślę, że powinniście we dwójkę przygotować girlandy na Boże Narodzenie. Tak dobrze wam idzie wspólna praca. Idźcie teraz nakryć do stołu, a ja tu tymczasem posprzątam.

Emily kiwnęła głową i ruszyła w stronę wyjścia. Jake szybko ją wyprzedził i otworzył drzwi.

- Widzisz, co narobiłaś - szepnął, kiedy go mijała, a potem, już w jadalni, dodał: - Teraz będziemy musieli zająć się girlandami. Powinnaś była pozwolić mi ułożyć ten bukiet samemu. Wyszłoby byle jak, a wtedy mama nie wpadłaby na ten pomysł.

Emily roześmiała się, postawiła wazon z kwiatami na kredensie i schyliła się, żeby wyjąć obrus.

- To tak się zachowuje stróż prawa? - zapytała.

Wyprostowała się i odwróciła, zanim odpowiedział. Przez chwilę myślała, że błysk w jego oczach jest czymś więcej niż błyskiem przekory, jednak zniknął, zanim zdążyła go nazwać.

- No tak, stróż prawa - powiedział. - To klucz do wszystkiego. Jeden fałszywy ruch i aresztowałbym nawet kwiaty. - Ujął koniec obrusa i pomógł jej rozłożyć go na stole. - Aresztowanie to zajęcie dla mnie. Natomiast ozdabianie girland szyszkami i wstążkami? Chyba nie.

- Nie martw się. Będziemy się przy nim dobrze bawili.

Ustawiła wazon z kwiatami na środku stołu. Cieszyło ją

to wspólne zajęcie. Przez te parę minut, podczas których układali razem bukiet, zapomniała o swoich zmartwieniach.

Podniosła wzrok. Jake znów przyglądał jej się z dziwnym światłem w oczach. Gdy ich spojrzenia się spotkały, odwrócił się szybko i ruszył ku kredensowi. Za chwilę wrócił ze srebrnymi sztucami. Nie patrzył na nią, a ona milczała, bojąc się tego, co by zobaczyła, gdyby się do niej odwrócił.

Poszła po talerze i serwetki, mając świadomość, że w Jake'u coś się zmieniło. Poczowała, że ją pociąga. Ależ to nonsens! Po prostu tęskniła za Ansonem. Albo też sama jest dla niego pociągająca.

Jak to się stało? Jak zaszła ta nagła zmiana? Bo tego, że rzeczywiście zaszła, była najzupełniej pewna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tej nocy Jake leżał w łóżku w skromnym drewnianym domu swoich rodziców stojącym w pobliżu rezydencji Prescottów i patrzył na światło księżyca kładące się na suficie srebrzystą smugą. Dlaczego kocha Emily? Przez całe lata zadawał sobie to pytanie setki razy. I nigdy nie znajdował na nie zadowalającej odpowiedzi.

A dlaczego nie powinien jej kochać? Na to pytanie odpowiedzi istniało wiele. Po pierwsze, członkowie jego rodziny byli zatrudnieni przez jej rodzinę. Po drugie, Prescottowie byli bogaci, a on, jako zastępca szeryfa, zarabiał dwa dolary dziennie. Ponadto Emily była dziewczyną z miasta, która bawiła się w ranczerkę tylko latem i podczas wakacji. A on był wiejskim chłopakiem, który w mieście czułby się zagubiony. Nie potrafiłby też zachować się w towarzystwie.

Poza tym Emily nie była wcale ideałem. Była rozpieszczona, dość leniwa i bardzo pyskata. Jej ostremu językowi towarzyszył oczywiście dowcip, co sprawiało, że słowne pojedynki z nią stanowiły świetną zabawę. Zresztą w tych pojedynkach Jake zwykle wcale jej nie ustępował.

Co do lenistwa, to zastanowił się nad nim przez chwilę.

Może Emily w rzeczywistości nie jest leniwa? Widuje ją przecież tylko podczas wakacji. A jej rodzina chwali się, że w szkole miała bardzo dobre stopnie, na które musiała przecież zapracować. Poza tym zupełnie dobrze jeździ konno, a ponadto, zdaniem matki, ma doskonałe podejście do dzieci Christiana.

Jake jęknął i odwrócił się na bok. Wkrótce zacznie sobie wmawiać, że ona nie jest wcale rozpieszczona i że zasługuje na całą tę uwagę i przywileje, które przez całe życie jej towarzyszą.

Jednak cały ten krytycyzm nie zmieniał nic w jego uczuciach. On pragnął Emily. Już samo jej wejście do pokoju sprawiało, że serce zaczynało mu walić jak młotem. A kiedy się do niego uśmiechnęła, czuł się jak król. Śnił o niej i marzył.

Bóg wie, że bardzo się starał czuć to samo do innych kobiet. Takich, które były bardziej dostępne. Jednak mu się to nie udawało. Porównywał je wszystkie do Emily, zawsze na ich niekorzyść.

A teraz Emily zakochała się, i to w kimś najzupełniej nieodpowiednim. Jake był więc zachwycony, gdy się dowiedział, że jej rodzina nie aprobuje tego związku.

Wiedział, że przebywając z nią codziennie i zdając sobie sprawę, że ona myśli o Berkeleyu, będzie się męczył jak potępieniec. Musi to jednak znieść. Musi ją chronić. Nie próbując przy tym zdobyć jej serca. Bo przecież sam także nie jest dla niej odpowiednią partią. Pewnego dnia będzie patrzył, jak ona wychodzi za mąż za innego.

Jednak jeszcze nie teraz. I nie za Berkeleya.

Emily obudziła się wczesnym rankiem. Była niedziela i obie rodziny wybierały się do małego wiejskiego kościółka. Martha z pewnością wstała bardzo wcześnie, żeby przygotować obiad. Emily nie była pewna, czy cieszy się z tego, że zobaczy wszystkich swoich dawnych sąsiadów.

Leżała w łóżku, słuchając głosów dobiegających z sąsiedniego pokoju. Lynnette starała się uspokoić Willę, lecz okazywało się to niemożliwe. Dziewczynce nie zamykała się buzia.

Emily uśmiechnęła się, słysząc, jak Willa mówi „Ale ciocia Emily...”, a potem „... jest już prawie Boże Narodzenie!” Ani obecność cioci, ani bliskość Bożego Narodzenia nie nastrajały żywej dziewczynki do spania.

Otworzyły się jakieś drzwi, a potem zamknęły. Emily domyśliła się, że to Lynnette poszła do pokoju dziecinnego po Trevora. A potem, po kilku minutach bezustannego monologu Willi, cała trójka zeszła na dół.

Emily doszła do wniosku, że powinna wstać i także zejść na śniadanie. Jednak sama myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Na dodatek po wczorajszym posiłku w towarzystwie dwojga berbeci, nie miała ochoty z nimi jeść. Oczywiście, dzieci są zachwycające, ale o tak wczesnej porze ich towarzystwo przy stole to dla niej za wiele.

- Choć jest to coś, czego powinnam z radością oczekiwać - powiedziała do siebie i zaraz ugryzła się w język, bo nie była przecież jeszcze pewna.

Usiadła i poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Jest jeszcze za wcześnie, żeby wstawać - stwierdziła na głos, podnosząc dłoń do skroni.

Zawrót głowy szybko minął. Emily włożyła szlafrok i bo-

so przeszła przez pokój. Napisze do Ansona. Wyśle list pod adres jego rodziny, a oni już dopilnują, żeby Anson go otrzymał. Znajdzie sposób, żeby dostarczyć list na pocztę.

Usiadła przy biurku i napisała mu, jak bardzo go kocha i jak za nim tęskni. Zapewniła, że ogromnie pragnie być z nim razem, że byłaby przy nim teraz, gdyby tylko było to możliwe.

Nie wspomniała jednak o dziecku. Chciała najpierw mieć pewność, a potem powiedzieć mu o tym osobiście. Nie wiedziała, jak Anson zareaguje. Nigdy nie wspominał o małżeństwie, choć jej wydawało się ono czymś oczywistym. Mimo to o dziecku nie powinna go zawiadamiać listownie.

Napisała mu natomiast, że jest pewna, iż go wkrótce zwolnią i że oni oboje - mimo uporu jej rodziny - będą razem.

Powiadomiła go także, że teraz jest u brata, na ranczu, gdzie to ranczo leży, a także że ukryte jest za wzgórzem. Opisała ścieżkę prowadzącą w stronę wzgórz i obiecała chodzić tam co rano i myśleć o nim.

W godzinę później list był gotowy. Emily zostawiła go na biurku, po czym ubrała się i uczesała. Gdy była już gotowa do zejścia na dół, przeczytała list ponownie, upewniając się, że jest w nim wszystko, co chciała powiedzieć ukochanemu, a następnie złożyła go i zapieczętowała.

Jak go teraz dostarczyć do miasta? Christian powiedział, że nie wolno jej kontaktować się z Ansonem. Lynnette z pewnością nie postąpi wbrew woli męża. A zresztą jest tak zajęta dziećmi, że na nic się w tej sprawie nie przyda. A więc Martha lub jej mąż Perry? Nie, oni są zbyt lojalni wobec Christiana.

Jake. Tak, on jest mniej związany z jej rodziną. Czy jednak zgodzi się pojechać potajemnie do miasta? Czy zrobi to dla niej? A czy ona odważy się poprosić go o to? Powiedział jej bez ogródek, co myśli o Ansonie. Mimo to jest jej największą nadzieją.

Wsunęła list za stanik sukienki i przejrzała się w lustrze, żeby sprawdzić, czy go nie widać. Zanim się odwróciła, spojrzała jeszcze na odbicie własnej twarzy i znieruchomiała. Uświadomiła sobie bowiem, że w oczach ma strach. Starając się go pozbyć, zmusiła się do uśmiechu. Gdyby nie bezustanne zmartwienie, mogłaby uwierzyć, że zakochanie dobrze jej robi na cerę. Jej policzki pałały rumieńcem.

Odwracając się ku drzwiom, przypomniała sobie wyraz twarzy Jake' a, gdy na nią patrzył. Olśniło ją: Jake coś do niej czuje! Czy można to wykorzystać? Spojrzała jeszcze raz w lustro. Byłoby to nieuczciwe, no i, no i... takie okrutne. A jednak.

Wyobraziła sobie siebie w dniu ślubu. Idzie przez kościół, a wszyscy obecni parszczą śmiechem, patrząc na jej zaokrąglony brzuch. Nie, nie, nie może czekać, aż rodzina odzyska rozsądek. Rzuciła sobie uwodzicielskie spojrzenie i odwróciła się od lustra.

Schodząc po schodach, Emily widziała zarówno salon, jak i jadalnię. W salonie Lynnette zawiązywała właśnie szarfę u sukienki Willi, która wyjaśniała, w jaki sposób szarfa się rozwiązała. Trevor siedzący na kolanach Marthy wpatrywał się w siostrę z niekłamanym podziwem.

Gdy Emily weszła, Lynnette obróciła właśnie dziewczynkę kę twarzą do siebie i pocałowała ją w policzek.

- Emily, kochanie - powiedziała na jej widok. - Mieli-

śny zamiar pozwolić ci spać. Choć oczywiście miło by nam było, gdybyś pojechała z nami.

- Dziękuję - odrzekła Emily, którą Willa złapała już za rękę. - Pojadę z wami i zajmę się moją bratanicą. Zobaczymy, czy będę umiała rozśmieszyć ją w kościele.

- Nie uda ci się to, ciociu. To ja rozśmieszę ciebie. Zobaczysz - odrzekła na to Willa.

Ich przekomarzanie przerwał Christian, który oznajmił, że powóz już czeka. Kobiety i dzieci, ciepło opatulone, stłoczyły się na siedzeniu, podczas gdy mężczyźni dosiedli koni.

Sadzając sobie Trevora na kolanach, Emily zobaczyła Jake'a. Później jednak nie widziała go przez całą drogę, gdyż jechał za powozem. Kiedy przybyli na miejsce, pomógł wysiąść z powozu swojej matce i wraz z ojcem poprowadził ją do małego, zbudowanego z kamienia kościoła.

Podczas nabożeństwa i obiadu, który jedli później, jego wzrok nie spotkał się ze wzrokiem Emily. A ona przez cały czas myślała o liście tkwiącym za stanikiem sukni.

W końcu kobiety zaczęły pakować naczynia, ubierać dzieci i przygotowywać się do powrotu. Ruszyli w drogę. Zanim dojechali do domu, Trevor i Willa słodko spali. Lynnette zaniósł małego do łóżeczka, a Christian wniósł do środka córeczkę. Dziewczynka obudziła się w chwili, gdy znalazła się w ciepłym wnętrzu. Christian zostawił ją pod opieką Emily, a sam poszedł zająć się końmi.

- Zagrajmy w warcaby - zaproponowała Willa.

Emily zgodziła się. Nie miała właściwie nic innego do roboty. Jake z pewnością pomagał przy koniach i gdyby odszukała go teraz, natknęłyby się także na Christiana. Jake pra-

wdopodobnie spędzi resztę dnia z własną rodziną. Tak więc szanse na wysłanie listu są prawie żadne.

Zanim Willa rozłożyła szachownicę, do salonu weszła Lynnette. Zaproponowała, że zagra z córką, a Emily, wymawiając się bólem głowy, uciekła czym prędzej do swojego pokoju.

Na górze wyjęła list zza stanika. Zastanawiała się, jak go przekazać Jake'owi. A potem przyszło jej do głowy, że jeżeli nawet jej się to uda, to nie ma żadnej gwarancji, że on zgodzi się zawieźć list na pocztę.

Przygnębiona tą myślą, położyła list na biurku, a potem zdjęła suknię i pantofle. Nie miała zamiaru się kłaskać, choć czuła się bardzo zmęczona. Wkrótce jednak głęboko spała i obudziła się dopiero w porze kolacji.

W niedzielne popołudnie Martha miała wolne, dlatego Emily, zszedłszy do kuchni, zastała tam Lynnette przygotowującą wieczorny posiłek. Dzieci były z matką i „pomagały”. Emily wzięła na ręce Trevora, lecz chłopiec zaczął płakać i wyrywać się do matki. Emily oddała go więc Lynnette i zajęła się kolacją.

Wkrótce prosty posiłek był gotowy. Przeszli więc wszyscy czworo do jadalni, żeby nakryć stół i poczekać na Christiana.

- Dobrze, że pojechałaś z nami do kościoła, Emily - powiedziała Lynnette, gdy rozkładały talerze i sztuce. - Bardzo to uspokoiło Christiana.

- A co? Bał się, że ucieknę, kiedy was nie będzie?

Lynnette roześmiała się.

- Nie, nie sędzę. Po prostu myślał, że będziesz tu siedziała smutna przez cały dzień. A to nie byłoby dla ciebie dobre.

Emily, unikając wzroku bratowej, poprawiła coś na stole.

- Doszłam do wniosku, że czas będzie mniej mi się dłużył, jeżeli będę zajęta. Nie zobaczę przez to prędzej Ansona, ale będzie mi się przynajmniej tak wydawało.

Lynnette nic na to nie odpowiedziała, a po chwili w jadalni zjawił się Christian. Podczas posiłku dzieci wymagały dużo uwagi, dzięki czemu Emily jadła nie niepokojona. Później zaofiarowała się, że pozmywa, przeganiając rodzinę z kuchni. Gdy w jadalni i w kuchni było już posprzątane, powiedziała, że ma ciekawą powieść do czytania i wróciła do swego pokoju.

Ale okazało się, że jest zbyt zdenerwowana, by czytać. Chodziła więc po pokoju, dopóki nie zmęczyła się tak, że zasnęła.

Na drugi dzień rano znowu obudziły ją dzieci. Słuchając, jak schodzą na dół, zmagą się z zawrotem głowy, który wywołała myśl o śniadaniu. Człowiek nie jest stworzony do tego, żeby wstawać tak wcześnie, powiedziała sobie. Położyła się z powrotem i zaczęła się zastanawiać, jak doprowadzić do rozmowy z Jakiem - w cztery oczy, na osobności. Postanowiła stworzyć po temu okazję, pomagając w pracach domowych.

A potem obmyśliła sobie, co mu powie, i starała się przewidzieć jego odpowiedzi. Musiała się przygotować na wszelkie ewentualności - chciała go przekonać, jeżeli będzie z nią dyskutował.

W końcu, uświadomiwszy sobie, że snując w ten sposób plany, odkłada na później działanie, wstała. Ubierała się jed-

nak powoli, czekając na jakieś olśnienie, na słowa, które sprawią, że przekona Jake'a.

Przed wyjściem z pokoju wsunęła list za stanik, tak jak wczoraj. I przyszło jej do głowy, że być może będzie tę czynność powtarzała codziennie aż do Bożego Narodzenia. Nie, nie, pomyślała jednak zaraz, muszę koniecznie dać list Jake'owi już dzisiaj.

Schodząc po schodach, zauważyła, że w jadalni i salonie nie ma nikogo. Przeszła przez jadalnię do kuchni, spodziewając się zastać tam Lynnette i dzieci. Ale w kuchni była tylko Martha.

- Gdzie są pozostali? - zapytała, zaglądając gospodyni przez ramię.

Ta zagniatała właśnie ciasto.

- Są na dole - odrzekła.

- Na dole? To znaczy na dolnym poziomie? W sali balowej?

- Teraz to jest raczej sala gier i zabaw - odrzekła Martha.

Słyszając to, Emily omal nie jęknęła. Dom został zbudowany na zboczu wzgórza. Jego tylna część miała dwa poziomy i tylko ona była używana na co dzień. W części przedniej był jeszcze poziom trzeci, najniższy, wychodzący na dolinę, przeznaczony do przyjmowania gości. Ojciec urządził wszystko w ten sposób ze względu na matkę, która jednak nie mieszkała w tym domu zbyt długo.

Emily przez chwilę zamierzała pójść na dół, jednak zaraz doszła do wniosku, że największe szanse na spotkanie Jake'a ma tutaj, w kuchni. Bo Jake z pewnością się tu pojawi, kiedy skończy swoją pracę. Martha, która przygotowywała właśnie obiad, z wdzięcznością przyjęła jej pomoc. Emily spędziła więc następną godzinę, obierając i krojąc warzywa.

Kilka lat temu odkryła, że lubi gotować. Odprężała się bowiem w ciepłej kuchni pełnej przyjemnych zapachów. Teraz, krojąc warzywa, złapała się na tym, że coś nuci.

Przerwała, bo drzwi się otworzyły i do kuchni weszli Christian, Jake i Perry. Wraz z nimi wtargnęło zimne powietrze. Emily wzdrygnęła się. Gdy mężczyźni się przywitani, poczuła na sobie wzrok Jake'a. Zrobiło jej się gorąco. Zaraz jednak pomyślała, że nie ma to nic wspólnego z Jakiem, że spowodował to żar bijący od kuchni.

Jake, nie odrywając od niej wzroku, chwycił za ramię Christiana.

- Co ona robi w kuchni? - zapytał z udanym przerażeniem.

Christian parsknął śmiechem.

- To dziwny widok. Wiem - przyznał.

- Kroję warzywa. Do gulaszu na kolację - oznajmiła Emily. Chciało jej się śmiać, ale udawała rozgniewaną. - A wam się zdaje, że co robię?

Jake zdjął czapkę i podszedł do niej powoli.

- Jesteś w kuchni. W dodatku pracujesz.

- No to co z tego?

Stanął obok niej. Pachniał chłodem pieścącym rozgrzane policzki.

- Czy czujesz się dobrze? - zapytał ją Jake.

Emily zastanowiła się, czy ma na twarzy wypieki, ale zaraz uświadomiła sobie, że jemu nie o to chodzi, że kpi z niej, widząc ją przy kuchennych zajęciach.

- Musisz wiedzieć - powiedziała - że umiem sporo działać w kuchni.

- Ho, ho. To imponujące. - Uśmiechnął się szeroko, zdjął

płaszcz, ale zamiast zanieść go na wieszak do holu, oparł się o kuchenną ladę obok niej. - I nawet dobrze się przy tym bawisz, prawda?

Kiwnęła głową, skupiając uwagę na desce do krojenia warzyw. Ponieważ Jake nie ruszył się z miejsca, podniosła po chwili głowę. Patrzył na nią w milczeniu. Christian wyszedł, prawdopodobnie do holu, powiesić płaszcz, a Perry pomagał Marcie nakryć stół kuchenny.

- Czy mogę z tobą porozmawiać po obiedzie? - zapytała po cichu Emily.

- Oczywiście.

- Pójdę na spacer.

Omam mu nie powiedziała o ścieżce prowadzącej w stronę wzgórza. Tam właśnie miała nadzieję spotkać się z Ansonem, gdy po nią przyjedzie, więc pomyślała, że lepiej, by Jake o niej nie wiedział, i zasugerowała przeciwny kierunek:

- Może spotkalibyśmy się koło domu twoich rodziców?

- Dobrze - zgodził się i poszedł.

Po jego odejściu jakoś lżej jej się oddychało. Nie chciała oszukiwać własnej rodziny. Nie chciała też wykorzystywać Jake'a. To dlatego właśnie brakowało jej tchu, gdy znajdował się tak blisko. A także dlatego, że mu się podobała.

Po obiedzie Emily włożyła ciepłą pelerynę oraz rękawiczki i wyszła na spacer. Willa chciała iść z nią, więc poczuła się winna, zostawiając ją w domu, choć wiedziała, że zabranie dziewczynki ze sobą było niemożliwe.

Początkowo próbowała przekonać małą, że jest za zimno na spacer, ale Willa stwierdziła, iż ma ciepły płaszcz i czapkę. Potem powiedziała, że spacer będzie zbyt długi,

ale Willa upierała się, że przeszła już kiedyś dwie mile i wcale się nie zmęczyła. W końcu do dyskusji wmieszała się Lynnette, mówiąc córce, że dorośli czasami chcą побыć sami.

Emily znała drogę tak dobrze, że nie musiała patrzeć, kąd idzie. Pograżyła się więc w myślach. Poczucie winy z powodu Willi pogorszyło jeszcze jej i tak nie najlepszy nastrój. Nie wolno jej jednak było tracić odwagi. Rodzina nie pozostawiła jej bowiem wyboru.

Musiała zobaczyć się z Ansonem i powiedzieć mu o swoich podejrzeniach. Aby to uczynić, trzeba było wysłać list. Do tego natomiast potrzebny był Jake.

Nagle na ścieżce, tuż przed nią, pojawiła się jakaś postać. Emily cofnęła się, tracąc równowagę. Jednak zanim upadła, podtrzymała ją za ramię czyjaś silna dłoń.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Jake. - Westchnęła z ulgą. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem już tutaj.

- Byłaś taka zamyślona.

Z jego ust w zimnym powietrzu unosiły się białe chmurki pary. Wciąż trzymał ją za ramię. Przysunął się nawet trochę bliżej. Emily by wała już przedtem blisko niego, jednak nigdy nie miała tak dojmującej świadomości jego obecności. Zadrżała. To z zimna, wytłumaczyła sobie, albo dlatego, że przed chwilą się przestraszyła. Powinna się odsunąć i wziąć się w garść.

Zamiast to zrobić, spojrzała Jake'owi w oczy. I okazało się, że popełniła błąd. Bo jego oczy płonęły, przenikając ją do głębi gorącym spojrzeniem. Wstrzymała oddech, czując reakcję własnego ciała.

- Czy dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową potakująco, robiąc krok do tyłu. W rzeczywistości jednak nie czuła się dobrze. I nic nie było w porządku. Miała ochotę nakrzyczec na niego za to, że wprowadził ją w taki stan. Jednak to nie pomogłoby jej w osiągnięciu celu, który przed sobą postawiła.

Uśmiechnęła się do Jake'a, miała nadzieję, że nieśmiało, a nie uwodzicielsko - bo na to nie miała odwagi się zdobyć.

- Chcę cię poprosić o pewną przysługę - odezwała się.

- No to proś.

Powiedział to tak miłym tonem, że ją na nowo ogarnęło poczucie winy. Przemknęło jej przez głowę, że głos Ansona nigdy nie brzmi w ten sposób. Natychmiast jednak odegnała od siebie tę myśl.

- Napisałam list i chciałabym, żebyś go wysłał.

Obrzucił ją uważnym, a zarazem podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego właśnie ja? Dlaczego nie poprosisz o to brata albo kogokolwiek, kto jedzie do miasta?

- Bo ani mój brat, ani nikt inny tego nie zrobi. - Pospiesznie, tak żeby nie zdążył odmówić, rozchyliła pelerynę i wyjęła list zza stanika. - Masz - powiedziała i usłyszała we własnym głosie błagalny ton.

- Emily. - W jego głosie też było błaganie. - Nie prosź mnie o to. - Otulił ją peleryną, chroniąc przed zimnem, z którego prawie nie zdawała sobie sprawy. - Twoja rodzina nie chce, żebyś się z nim kontaktowała. Ja też tego nie chcę.

- Obiecałeś, że nie będziesz go osądzał.

Wyciągnęła ku niemu rękę z listem, miała bowiem nadzieję, że gdy go już weźmie, to zmięknie i ustąpi.

- Próbowałem. Wierz mi, pragnę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, a nie jestem w stanie uwierzyć, że on jest odpowiednim dla ciebie mężczyzną.

- Skąd możesz wiedzieć, kto jest dla mnie najlepszy?

Więc nie udało się! Jake był zbyt uparty. Emily poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Zamrugała szybko, nie chciała bowiem, by on pomyślał, że posługuje się nimi jako bronią.

- Masz rację. - Jake wziął od niej list. - Przyjaciele powinni sobie ufać i liczyć na siebie. Wyślę twój list.

- Och, Jake. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła policzek do jego piersi. - Wiedziałam, że mi pomożesz - powiedziała cicho.

Objął ją, przyciągając do siebie. Po jej policzkach popłynęły powstrzymywane dotąd łzy. Było jej ciepło w jego ramionach i czuła się w nich bezpiecznie. Mogłaby tak stać i stać.

W końcu to on odsunął ją od siebie. Szybko otarła łzy i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję ci, Jake - wyszeptwała.

Skinął z powagą głową. Myślała przez chwilę, że coś powie, ale on wsunął tylko list do kieszeni, wyminął ją i odszedł.

Jake poszedł do domu rodziców, wiedząc, że nikogo tam nie zastanie. Matka będzie zajęta u Prescottów aż do wieczora. A ojciec, jeżeli nawet skończył popołudniowe zajęcia, z pewnością woli przebywać z żoną w dużym domu. Tak więc on, Jake, będzie mógł pobyć sam.

W środku było ciemno, lecz on nie zapalił lampy. Stał natomiast w głębi pokoju, naprzeciwko frontowego okna, pragnąc zobaczyć przechodzącą Emily. Pomyślał, że powinien być wziąć ją pod ramię i odprowadzić do drzwi dużego domu.

Nie mógł jednak tego uczynić. Nie chciał znaleźć się tak blisko niej, bo sobie nie ufał. Obawiał się, że się nie powstrzyma, weźmie ją w ramiona i wyzna jej miłość. A to było nie do pomyślenia. Zresztą już i tak pozwolił sobie na zbyt wielką bliskość w stosunku do Emily.

Patrząc teraz przez okno, zobaczył ją na ścieżce. Szła szybko, ze spuszczoną głową. Wkrótce znajdzie się w miejscu bezpiecznym i ciepłym. Jake zbliżył się do okna, żeby ją dłużej widzieć.

Dlaczego pozwala jej czynić ze sobą takie rzeczy? Powinien czuć do niej niechęć za to, że zakochała się w tym łobuzie. A także za to, że sprzeciwia się rodzicom i że go wykorzystuje.

Za to, że nie chce miłości, którą on może jej dać.

Jest głupcem. Po prostu głupcem. A na dodatek już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Rozpiął wierzchnie okrycie, ale go nie zdjął. W pokoju było zimno, jednak jemu nie chciało się rozpalić ognia. Nie pozostanie tu długo. Wyjął list z kieszeni i przyjrzał się wyraźnemu, równemu pismu. Anson Berkeley. Chciał zniszczyć ten list, nie miał najmniejszej ochoty go wysyłać! Zaprzagnął nagle rozpalić ogień i patrzeć, jak płomienie, pożerając list, zamieniają go w popiół.

Przeraził się nie na żarty. Nie ufał sobie. Wiedział, że nie wytrzyma długo, mając ten list. Włożył go więc z powrotem

do kieszeni i zapiął płaszcz. Jeżeli wyjdzie z domu natychmiast, będzie mógł wrócić przed zmrokiem.

Pół godziny później jechał konno w stronę miasta. Z łatwością przyszło mu przekonać ojca, że musi zobaczyć się z szeryfem w Cottonwood Falls. Przedtem często używał wymówki, nie chcąc się na ranchu spotkać z Emilią. Matkę z pewnością trudniej byłoby przekonać, lecz to pozostawił ojcu.

Zimne powietrze otrzeźwiło go. Nadzieja na miłość Emili, która powróciła na chwilę, zgasła. List, który miał w kieszeni, przypominał mu, że dziewczyna nigdy nie będzie do niego należała. Postawił przed sobą cel - ochronić ją przed Berkeleyem - i wiedział, że go nie osiągnie, jeżeli jego umysł będą zaciemniały jakieś nierealne mrzonki.

Oczywiste jest, że wysyłając ten list, nie przyczynia się zbyt do ochrony dziewczyny. Nie powinien był się na to zgodzić. Może jednak Berkeley nie odpowie. Może już o Emilię zapomniał?

Możliwe, ale niezbyt prawdopodobne. Ten list najpewniej będzie dla niego zachętą. Skłoni go do dalszego ugania się za dziewczyną. Czemu, dzięki Bogu, przeszkodzą kraty więzienia.

Jake dotarł do Strong późnym popołudniem i natychmiast wysłał list. Uczynił to tak pośpiesznie w obawie, że inaczej zgubi go „przez przypadek”. Następnie - wciąż przekonany, że postąpił źle - pojechał dalej przez most, do Cottonwood Falls.

Gmach sądu, stojący przy końcu głównej ulicy, górował nad miasteczkiem. Jake podjechał do niego, z przyzwyczajaje-

nia rozglądając się bystro na boki. Napoił konia przy korycie, a następnie przywiązał go i wszedł do środka.

Szeryf, Tom Chaffee, siedział właśnie w swoim biurze w suterenie. Podniósł wzrok znad papierów, którymi zawalone było biurko.

- Dzień dobry, synu. Nie spodziewałem się, że cię tak szybko zobaczę.

- Wiem - odrzekł Jake, siadając naprzeciwko szefa. - Byłem właśnie w mieście i pomyślałem, że dowiem się, czy są jakieś wiadomości z Topeki.

Tom wiedział oczywiście, o jakie wiadomości chodzi. Skrzywił się więc i powiedział:

- Zmartwisz się, gdy je usłyszysz.

Jake, choć zaniepokojony miną szeryfa, starał się niczego po sobie nie pokazywać.

- Tak? - zapytał. - A co się stało?

Tom przechylił się do tyłu tak mocno, że aż jęknęła sprężyna w jego krześle.

- Chłopak wyszedł. Wygląda na to, że jego rodzice zapłacili za szkody i ten stary zgodził się wycofać sprawę.

- Kiedy to się stało?

Tom odpowiedział dopiero po chwili.

- Dostałem wiadomość wczoraj wieczorem.

Jake'a ogarnęła złość. Zdawał sobie równocześnie sprawę, że taka reakcja nie ma sensu. Miał też nadzieję, że szeryf nie orientuje się w jego uczuciach.

Za chwilę miał się przekonać, jak bardzo się myli.

- Nie mam ludzi, których mógłbym wysyłać na ranczo z wiadomościami. A poza tym ty jesteś na urlopie. Zresztą ta sprawa tobie nie podlega - orzekł Tom.

- Ale policja nas zawiadomi, jeżeli zdarzy się coś jeszcze, prawda? - dopytywał się Jake.

Tom przywrócił krzesło do pozycji pionowej.

- Jestem pewien, że gdy zdarzy się coś jeszcze, państwo Prescottowie zawiadomią o tym syna.

To powiedziawszy, z westchnieniem pochylił się nad swoją papierkową robotą.

Dla Jake'a był to znak, że rozmowa skończona. Wstał więc powoli i ruszył w stronę drzwi.

- Aha, Jake.

- Tak?

- Może powinieneś się skupić na zdobywaniu względów dziewczyny, zapomniawszy o konkurencji - zauważył Tom, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Jake zatrzymał się, patrząc przez chwilę na spuszczoną głowę szefa.

- Tak jest - rzekł krótko i wyszedł.

Biegł po schodach po dwa naraz, wyobrażając sobie, że szeryf się z niego śmieje. Nic dziwnego, że Tom odgadł prawdziwe powody jego zainteresowania sprawą. Bo przecież lojalność wobec rodziny Prescottów nie mogła usprawiedliwić faktu, że tak bardzo pragnął, by Berkeleyya ukarano.

Wyszedł na świeże, zimne powietrze, próbując stłumić rozczarowanie. Nie może się przecież spodziewać, że szeryf będzie wysyłał kogoś na ranczo z każdą najdrobniejszą wiadomością. Zresztą Emily nic ze strony Berkeleyya nie grozi.

Przynajmniej do chwili, gdy ten otrzyma jej list.

- A niech to diabli! - zaklął pod nosem na tę myśl.

Następnie wsiadł na konia i przez całą drogę do miasta bił

się z myślami. Czy powinien spróbować odebrać list z poczty? A jeżeli to zrobi, to co powie Emily? W końcu doszedł do wniosku, że Emily mu przecież zaufała. Minął więc pocztę, wyjechał ze Strong i ruszył w drogę powrotną.



ROZDZIAŁ TRZECI

Po powrocie na ranczo Jake zastał w stajni Christiana. Czyszcząc własnego konia, powiedział mu, czego dowiedział się od szeryfa.

Christian milczał przez dłuższą chwilę. Jake odwrócił głowę, nie chcąc, by odczytał z jego twarzy, co czuje do dziewczyny.

- Właściwie to nie jestem wcale tym wszystkim zaskoczony - stwierdził w końcu Christian. - Sądząc po tym, co wiadomo o rodzinie Ansona Berkeleyya, nie ma powodu do zdziwienia. Mam tylko nadzieję, że on nie znajdzie Emily.

Jake zamknął oczy. Powinien powiedzieć Christianowi o liście. Jednak czyniąc to, zawiódłby zaufanie Emily. A może nie chce tego zrobić, bo nie ma ochoty przyjąć na siebie odpowiedzialności za wysłanie listu?

- Założę się, że on po nią przyjedzie - powiedział głośno.

- Jak to? Dlaczego tak sądzisz? - zapytał ostro Christian.

Ręka Jake'a znieruchomiała nad końskim grzbietem.

- Bo ja sam bym tak postąpił.

Christian roześmiał się.

- Nie mierz tego człowieka swoją miarą. On jest pozbawiony honoru. Założę się, że zaraz po wyjściu z więzienia zaczął się zabawiać z inną.

- O kim mówicie?

Na dźwięk głosu Emily Jake odwrócił się gwałtownie. Jego ruch spłoszył konia. Zanim zdążył go uspokoić, u boku Emily stał już Christian. Jake podszedł do nich powoli, czekając na słowa Christiana.

- Co ty robisz na tym zimnie, Bułeczko?

Emily pominęła milczeniem pytanie i zwróciła się do Jake'a:

- Czy on mówił o Ansonie? - zapytała.

Patrzyła przy tym na niego swoimi ciemnymi oczami w taki sposób, że nie był w stanie skłamać. Spojrzał szybko na Christiana i kiwnął głową.

- Kiedy miałeś zamiar powiedzieć mi o jego wyjściu z więzienia? - zwróciła się Emily do brata oskarżycielskim tonem. Było oczywiste, iż wątpi, czy miał zamiar powiedzieć jej o tym kiedykolwiek.

- Dziś wieczorem - odrzekł Christian spokojnie.

- No cóż, wszystko w porządku - stwierdziła Emily. - Anson wyszedł, bo jest niewinny.

Christian pokręcił głową.

- Wyszedł, bo jego rodzice zapłacili pokrzywdzonemu za szkody.

- To przecież nonsens. Nawet gdyby to była prawda, przecież nie wycofano by oskarżenia, gdyby był winien.

- Nie rozumiesz rozsądnie, Em - powiedział Christian.

- A ty jesteś niesprawiedliwy!

Jake słuchał tej wymiany zdań z pewnej odległości. Emily zdawała się go nie zauważać. Patrzyła gniewnie na brata, usiłując zmusić go do odwrócenia wzroku, lecz on był na to zbyt pewny swego. Po dłuższej chwili okręciła się na pięcie i wyszła ze stajni.

Jake patrzył za nią z żalem, pragnąc jej coś zaoferować - pocieszenie, zrozumienie, cokolwiek. Problem polegał jednak na tym, że w zupełności zgadzał się z jej bratem, a ona o tym wiedziała.

Przypomniał sobie w końcu, że trzyma w ręce szczotkę. Ponownie zabrał się za czyszczenie swego konia. Zaraz też napotkał badawczy wzrok Christiana.

- Naprawdę sądzisz, że on po nią przyjedzie? - zapytał Christian.

- Tak. Albo ona pojedzie do niego.

- Dlaczego ona jest taka uparta? Dlaczego nie chce wiedzieć, jaki on jest naprawdę?

Jake sądził, że Christian nie spodziewa się odpowiedzi, jednak jej udzielił:

- Jest uparta, bo jest sobą - powiedział. - Jest taka, jaka jest i my sami z pewnością nie chcielibyśmy, żeby była inna. A poza tym, możliwe, że to my nie wiemy, jaki on jest naprawdę.

- Bierzesz jej stronę?

Jake pokręcił głową.

- Nie. Wyrażam tylko swoje przypuszczenie. Zresztą, dlaczego ona miałaby nas słuchać, skoro my go nawet nie znamy? To on, a nie żaden z nas, jest człowiekiem, który ją przekona, jaki jest naprawdę. I obawiam się, że przekonując ją o tym, z pewnością ją zrani.

Christian milczał, a Jake zajął się koniem. Gdy skończył i wychodził ze stajni, Christian czekał na niego u wrót.

- Posłuchaj, pomóż mi jej pilnować - poprosił. - Ona ufa tobie bardziej niż mnie. Proszę cię, nie dopuść do tego, żeby on ją gdzieś wywiózł.

Jake zastanawiał się przez chwilę, ile powiedzieć Christianowi, a potem rzekł cichym głosem:

- Właśnie po to tutaj jestem.

Emily zdawała sobie doskonale sprawę, że to z powodu paniki rozmawiała z bratem ostrym tonem i że to wstyd sprawił, iż nie patrzyła w oczy Jake'owi. Przecież żaden z nich nie był winien jej położeniu, a Jake nawet próbował pomóc.

Usiadła na łóżku i popatrzyła na światło księżyca przesączające się przez zasłony. Ostatnio stan lekkiej irytacji zmienił się u niej bardzo szybko we wściekłość, a najmniejsze rozczarowanie doprowadzało ją do łez. Słyszała, że kobiety w ciąży miewają zmienne nastroje, zmienne nastroje miała też w tym stanie Lynnette. To żaden dowód. Długotrwałe strapienie może przecież wywoływać takie same reakcje. Bywa, że zamartwianie się powoduje nawet mdłości. Jednak to samouspokojanie się nic nie dało.

Emily ukryła twarz w dłoniach. Zanim się zdąży upewnić, będzie za późno na dyskretny ślub. Każdy, kto potrafi liczyć, dowie się, że jest kobietą upadłą.

Wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Nie, nie. Nie dojdzie do tego. Anson po nią przyjedzie. Anson ją kocha. Nie może być inaczej. Zacisnęła drżące dłonie i położyła je na kolanach. Musi spać. Potrzebuje snu. Dla siebie i dla dziecka - jeżeli ono istnieje. Tak, musi się tylko porządnie wyspać, a potem wszystko będzie dobrze.

Na drugi dzień, po lekkim śniadaniu, Emily ubrała się ciepło i poszła na spacer. Wiedziała, że jest za wcześnie. Anson nie dostał jeszcze listu i dzisiaj się z pewnością nie pojawi.

Postanowiła jednak wprowadzić zwyczaj codziennych spacerów, by nie budziły one niczyich podejrzeń.

Gdy weszła do kuchni, żeby zjeść grzanekę, zastała tam Marthę. Przypuszczała też, że Lynnette i dzieci są już na dole. Wymknęła się więc tylnym wyjściem, szczęśliwa, że nie musi tłumaczyć Willi, dlaczego nie może zabrać jej ze sobą.

Ruszyła w stronę swojej ścieżki. Szła pograżona w myślach i zupełnie się nie spodziewała ujrzeć obok siebie Jake'a.

- Dzień dobry - powiedział, tak jakby wczoraj wieczorem nie padło ani jedno złe słowo. - Czy mogę ci towarzyszyć?

- No cóż, właściwie...

- Ładny dzień na spacer. Chłodny, ale słoneczny. Czy jest ci ciepło?

- Tak, ale ja...

- To dobrze. Bo nie chcemy, żebyś przemarzła. Czy w mieście nie tęsknisz za taką otwartą przestrzenią? Bo ja tak.

Zacisnęła zęby. Jake wziął ją pod ramię i szedł obok niej powoli, jak kawaler dotrzymujący pannie towarzysztwa.

- Nie - odrzekła po chwili. - Tęsknię raczej za samotnością.

- Naprawdę? Zaskakujesz mnie. Nigdy bym nie przypuszczał, że lubisz być sama. Na wsi bez trudu można znaleźć samotność.

Widziała wyraźnie, że udaje tępego. Chcąc się go pozbyć, musiałyby powiedzieć mu prosto z mostu, żeby sobie poszedł. Zresztą i to mogłoby nie poskutkować.

- Wiesz, Jake, chciałabym zostać teraz sama - powiedziała i próbowała wyswobodzić ramię.

Osiągnęła tylko to, że jego palce zacisnęły się na nim mocniej.

- Jesteśmy sami, moja droga - rzekł cicho, niemal uwodzicielskim szeptem.

- Dowcipniś z siebie. Wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Tak, wiem. Mogłabyś zabłądzić...

Emily wskazała ścieżkę biegnącą za wzgórze. Była biała w miejscach, gdzie cienka warstewka ziemi odsłoniła wapienne podłoże, odcinała się więc wyraźnie od brązowozłotej trawy.

- Nie zabłądę.

- Mogłabyś też upaść i skrócić nogę - mówił dalej, jakby nie słyszał jej słów. - Nie chcę się o ciebie martwić, wolę pójść z tobą.

Emiły nie miała wyjścia - musiała się roześmiać. Nie była przy tym pewna, czy śmieje się z niego, czy z siebie. No cóż, dzisiaj niech jej towarzyszy, bo Anson na pewno na nią nie czeka. W przyszłości będzie musiała go unikać. Może przyzwyczai się do jej codziennych spacerów i przestanie odgrywać rolę starszego brata?

- Jest jeszcze jedna rzecz, za którą tęskniłem w mieście - powiedział. - Twój śmiech.

- Oj, daj mi spokój, Jake. Nie bądź taki poważny. Takie rzeczy słyszę od innych. Wszyscy traktują mnie jak zagubioną małą dziewczynkę, której trzeba pomóc.

- Zgoda. Obiecuję, że nigdy nie będę poważny.

Być może zraniła jego uczucia. Jeżeli jednak tak było, nie zdradził tego tonem głosu. Szedł dalej, powoli, trzymając ją pod ramię. Już miała zdobyć się na odwagę i spojrzeć mu w twarz, gdy usłyszała stłumiony śmiech.

- O co chodzi? - zapytała zdziwiona.

- Przypomniałem sobie właśnie, jak przyjechałaś tu na lato, kiedy byłaś jeszcze bardzo mała. Mieszkałaś z tatą i braćmi w dużym domu, a ja z moim tatą i mamą w małym. Moja mama była jedyną kobietą w całym naszym towarzystwie. Byłaś wtedy straszłą złośnicą. Przypominałaś Willę. Moja mama chciała, żebyś zamieszkała z nami. Była pewna, że w nocy będzie ci brakowało twojej mamy i że żaden mężczyzna nie potrafi ci jej zastąpić. Przekonała szybko Arlena, twój tata też się prawie zgodził. Christian jednak nie chciał o tym słyszeć. Nie spuszczał cię z oka ani na chwilę.

Emily, idąc powoli, patrzyła na żdźbła trawy chwiejące się w podmuchach lekkiego wiatru.

- A ty miałaś wtedy ile? Pewnie z dziewięć lat? I co sądziłaś o pomysle swojej mamy?

- Byłem przeciw. Uważałem cię za małe dziecko i nie chciałem, żebyś mnie w nocy budziła płaczem. Trzymałem jednak język za zębami. Pozwoliłem, żeby to Christian toczył boje z mamą. I on to robił. A kiedy wszystko zostało już ustalone, powiedziałem mamie, że to był dobry pomysł i że żałuję, że nie będziesz u nas spała.

Emily roześmiała się.

- Zawsze potrafiłaś przypodobać się swojej mamie.

- Jednak nie tak jak ty Christianowi. Umiałaś owinąć go sobie wokół małego palca. Mnie też potrafiłaś namówić do różnych rzeczy. Pamiętasz łódkę, którą mieliśmy popłynąć tamtym strumieniem? - zapytał i wskazał dolinę, którą płynął wąski strumyk odbijający w swych wodach błękit nieba.

- O Boże. Tak. Omal się wtedy nie utopiłam.

- Wcale nie.

Zatrzymał się i popatrzył jej w twarz, biorąc się pod boki, a ona zachichotała.

- Ty tylko wmówiłaś Christianowi, że omal się nie utopiłaś. Zrobiłaś to, żeby brat cię wybronił. A mnie przez cały ten twój szalony pomysł nie pozwolono za karę pojechać do miasta.

- Jeżeli ten pomysł był rzeczywiście taki szalony - powiedziała z udanym gniewem - to dlaczego się na niego zgodziłaś?

- Nie wiedziałem, że jest szalony, dopóki łódka nie utonąła. Ja naprawdę myślałem, że umiem zbudować łódkę. Nie miałem pojęcia, że to będzie takie trudne.

Emily, idąc powoli z rozradowaną twarzą, położyła Jake'owi głowę na ramieniu.

- Kochany Jake! Ty często brałeś na siebie winę za moje grzechy. Na przykład za to, że zjeżdżaliśmy na sankach z dachu lodowni.

- Tak, tak. To było straszne.

- A pamiętasz naszą przygodę na Dzikim Zachodzie?

Jake aż jęknął na to wspomnienie.

- Nie zapomnę jej do końca życia! Uważaliśmy, że po kilkudniowym marszu na zachód znajdziemy się na złotonośnych obszarach Kalifornii. Nie wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy o dwadzieścia lat spóźnieni.

- Ja sobie wyobrażałam, że to będą pola złotej kukurydzy. Dlatego ukradłam nóż Christiana. Chciałam ją nim ścinać.

- Pamiętasz, powiedziałaś Christianowi, że znasz drogę. To nie uchroniło nas przed kłopotami.

- Zdaje się, że wtedy skończyłaś dwanaście albo trzynaście lat. Powinieneś mieć więcej oleju w głowie.

Odwrócił się twarzą w jej stronę i omal nie wziął jej w objęcia. Chociaż nie - pomyślała zaraz Emily - on wcale nie miał takiego zamiaru, to tylko mnie się tak zdawało. Jake tymczasem położył jej ręce na ramionach.

- Otóż to, Emily - powiedział. - Ja miałem olej w głowie. Zapewniam cię, że miałem go sporo. Jednak ty zawsze potrafiłaś mnie do wszystkiego namówić. Posłuchaj...

Słyszając jego ton, Emily cofnęła się o krok.

- Obiecałeś, że nie będziesz poważny - zaprotestowała. Jake uśmiechnął się raczej czule niż przekornie.

- Masz rację - powiedział. - Chcesz wracać?

- Chyba tak.

Milczał przez całą drogę powrotną, a Emily szła pogrążona we wspomnieniach ich wspólnego dzieciństwa. Pomyślała, że w Jake'u była zawsze jakaś łagodność i dobroć, której dawniej tak naprawdę nie doceniała. Pomyślała też, że to szczęście mieć takiego przyjaciela jak on.

Poprowadził ją do drzwi kuchennych, a nie do tylnego wejścia do domu.

- Tutaj będzie ci cieplej - uznał.

Gdy weszli, wziął od niej pelerynę i rękawiczki, a potem oddał ją pod opiekę swojej matki, która zaproponowała filiżankę gorącej herbaty.

Czekając, aż zagotuje się woda, Emily siedziała przy kuchennym stole. Złapała się na tym, że pragnie, by Jake, który poszedł powiesić ciepłe okrycia, wrócił i usiadł do herbaty razem z nią. Lecz on się już nie pojawił. Najwyraźniej wyszedł z domu i zabrał się do przerwanej pracy. Emily, sama nie wiedząc dlaczego, poczuła się bardzo rozczarowana. Wytłumaczyła też sobie zaraz, że to dlatego, iż przy Ja-

ke'u zapomina o swoich zmartwieniach, o tęsknocie za Ansonem.

Obiad przebiegł spokojnie. Ani Christian, ani Jake nie wspomnieli o Ansonie. Trevor wciąż odnosił się do Emily z rezerwą, choć pozwolił, by wzięła go na ręce i nakarmiła. Willa stwierdziła, że uwielbia kluski, które ugotowała Martha, i pałaszując je z zapałem, zapomniała na chwilę o gadaniu. Christian i Lynnette przekomarzali się żartobliwie, powodując, że Emily poczuła się jeszcze bardziej samotna.

Uciekła więc od stołu, zanim podano deser. Poszła do swojego pokoju, a tam, usiadłszy na łóżku, wpatrywała się w przestrzeń niewidzącymi oczami. Atmosfera tego domu, wspomnienia, które się z nim łączyły, wyprowadzały ją z równowagi. W mieście wszystko było prostsze. Tam wiedziała, że kocha Ansona i że Anson ją kocha. Że są dla siebie stworzeni. I że jej wrogami są rodzice, którzy chcą z Ansonem rozdzielić.

Natomiast tutaj ich miłość wydawała się czymś mniej pewnym, a widoki na wspólną przyszłość, na więź małżeńską - taką jak ta, która łączyła Christiana i Lynnette - całkiem odległe. Anson raczej nie przypominał Christiana. Ale z drugiej strony i ona nie była podobna do Lynnette. Stworzą więc związek własny, jedyny w swoim rodzaju, podejmą wspólne życie.

Emily usiłowała przekonać samą siebie, że wszystko się ułoży, ale jakoś nie mogła. Poczwała, że do oczu napływają jej łzy, więc szybko je otarła. Łzy, ciągle łzy! Pojawiały się w najdziwniejszych chwilach. A najprędzej napływały jej do oczu, gdy trzymała w ramionach Trevora.

Tak, wszystko musi się ułożyć. No bo inaczej - co się z nią stanie? Emily, czując ściskanie w gardle, położyła sobie dłoń na brzuchu. Jeżeli Anson po nią nie przyjedzie, to będzie musiała sama wyjechać. Obawiała się wstydu, jaki przyniesie jej konfrontacja z rodziną, a także tego, że rodzina zmusi ją do oddania maleństwa.

Bardzo pragnęła mieć teraz kogoś, z kim mogłaby porozmawiać i kto by jej nie potępił. Myślała o zwierzeniu się Rose, która od tak dawna była jej najlepszą przyjaciółką. Rose miała za męża Arlena, który bardziej niż jej własna matka przestrzegał niewzruszonych zasad przyzwoitości. Arlen z pewnością wyprawiłby ją do specjalnego zakładu, by tam urodziła dziecko, a potem kłamałby na prawo i lewo, że wyjechała do Europy. Siostra z bękartem mogłaby mu przeszkodzić w robieniu politycznej kariery.

Następną osobą, której chciała się zwierzyć, była Lynette. Ona przynajmniej okazałaby zrozumienie. Być może uczyniłby to także Christian. Jednak i od nich Emily nie mogła spodziewać się pomocy. Przecież ani brat, ani bratowa nie mogli jej poradzić, w jaki sposób ma sprawić, by dziecko nie istniało i by odstało się to, co się stało.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - to porzekadło nabrało teraz dla niej nowego znaczenia. Znowu do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je więc gniewnie. Nienawidziła uzalać się nad sobą. Poradzi sobie. Będzie dobrą matką dla swego dziecka bez względu na to, czy będzie miało ojca, czy też nie.

Zresztą ta ostatnia ewentualność nie wchodzi w rachubę, bo Anson po nią przyjedzie, a potem wezmą ślub i jej rodzina, przekonawszy się, że są szczęśliwi, przebaczy jej i przyj-

mie ją z powrotem na swoje łono. Emily spróbowała wyobrazić sobie Boże Narodzenie - rodziców, braci z żonami i dzieci Christiana, bawiące się z jej własnym maleństwem. To było łatwe.

Natomiast rzeczą trudną okazało się włączenie do tej sceny Ansona. Nie mogła bowiem sobie wyobrazić, że Anson siedzi z jej braćmi przy jednym stole i swobodnie z nimi gawędzi. Że pomaga dekorować dom na święta, że śpiewa kołędy i bawi się z dziećmi.

Pokręciła głową, by odpędzić od siebie te myśli. Uznała, że jest wobec Ansona niesprawiedliwa. Z pewnością będzie do nich pasował i wszystko będzie dobrze. Uśmiechnęła się do siebie.

W tej chwili rozległo się pukanie.

- Śpisz?

Emily nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa, słysząc donośny szept Willi. Podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Dziewczynka wpadła do pokoju i rzuciła się w poprzek łóżka. Jej krótka marszczona spódniczka podwinęła się, ukazując rozdartą pończoszkę.

- Nie mogę już wytrzymać w pokoju dzieciennym!

- A co w nim takiego okropnego? - zapytała Emily, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Wszystko! Trevor jest taki malutki, a ja nie mam tam dla siebie miejsca. Przecież wiesz, że dziewczynka musi czasami być sama. Czy mogę zostać tutaj, z tobą?

To rzekłszy, Willa dramatycznym gestem podniosła rękę do czoła. Emily pomyślała, że nauczyła się tego z pewnością od ciotki Rose. Pomyślała też, że obecność bratanicy pozwoli jej zapomnieć o własnych zmartwieniach.

Powiedziała więc:

- Posłuchaj, kochanie, może byś dzisiaj przenocowała w moim pokoju? Ale tylko dzisiaj - dodała, widząc entuzjazm dziewczynki. - Zrobimy sobie takie małe święto.

Willa usiadła.

- Naprawdę? Mogę pójść i zapytać mamę, czy mi pozwoli?

- Nie, nie teraz. Teraz, kiedy Trevor śpi, niech mama sobie spokojnie pisze. Zapytamy później. Jestem pewna, że ci pozwoli.

Emily usiadła na łóżku, a Willa się do niej przytuliła.

- A w co będziesz się chciała pobawić?

Zastanawiała się właśnie, w co może chceć się bawić pięciolatka, kiedy Willa zaproponowała:

- Możemy pisać listy miłosne do naszych chłopców.

Zachichotała, zasłaniając sobie usta dłońmi.

- Do chłopców? A czy ty masz chłopca?

- Możemy go sobie wymyślić - odparła Willa, znów chichocząc. - Albo wiem! Napiszę list do Jake'a.

- Do Jake'a?! - Emily spojrzała na małą ze zdumieniem.

- Czy on nie jest dla ciebie trochę za stary?

Willa wzruszyła ramionami.

- Papa jest starszy od mamy.

- Ale nie o dwadzieścia lat!

Dziewczynka znowu wzruszyła ramionami.

- Jake jest przystojny. I silny. Potrafi wsadzić mnie na konia, ot tak - powiedziała, próbując strzelić palcami.

- Każdy potrafi cię wsadzić na konia - spierała się z nią Emily. - Jesteś przecież taka mała.

Willa podniosła głowę energicznym ruchem.

- Ale Jake robi to najlepiej. Lepiej nawet niż papa.

Emily popatrzyła na nią z poważną miną, z trudem jednak powściągnęła uśmiech. W chwilę później śmiały się serdecznie obie, obejmując się ramionami.

- Dobrze - zgodziła się w końcu Emily. - Napiszemy te listy później. A co chcesz robić teraz? Może upieczemy ciasteczka?

- Tak! Tak! - zawołała Willa głośno, zeskakując z łóżka. Zaraz jednak położyła sobie dłoń na ustach i wyszeptwała: Ojej, muszę być cicho, bo Trevor śpi.

Przez całą drogę pamiętała, że powinna mówić szeptem. Na dole, w kuchni, Jake wygarniał właśnie popiół z pieca. Podniósł wzrok, słysząc chichot dziewczynki.

- Witam panie - powiedział.

Willa, biegnąc do Marthy, żeby zapytać, czy mogą upiec ciasteczka, posłała mu powłóczyście spojrzenie. Emily, zamiast pójść za nią, skierowała się w stronę Jake'a.

- Nie podchodź zbyt blisko - ostrzegł ją. - Pobrudzisz sobie suknię popiołem.

Zatrzymała się, patrząc na Jake'a i myśląc o tym, co powiedziała o nim Willa.

- Dlaczego tak chichoczą? - zapytał Jake.

- Ja nie chichotałam.

- Zdawało mi się, że słyszę dwa chichoty.

- Nie, nie. Słyszałeś tylko jeden. A poza tym to są takie nasze dziewczyńskie sprawy. To nasza tajemnica.

Ostatnie słowa wypowiedziała teatralnym szeptem Willi.

- Aha - odrzekł Jake, również szeptem.

Podeszła do nich Willa z zawiedzioną miną.

- Martha mówi, że nie możemy piec ciasteczek, bo ona przygotowuje teraz różne rzeczy na święta.

- To może jej w tym pomożemy? - zasugerowała Emily. Dziewczynka smutno pokręciła głową.
- Nie, bo ona będzie szykowała cukierki. A przy tym można się poparzyć. Ciociu, co my mamy robić? - zapytała z rozpaczą.
- Nie mam pojęcia - odrzekła Emily.
- Może wybrałybyście się ze mną na konną przejażdżkę?
- zaproponował Jake.
- Naprawdę? Możemy, ciociu, możemy?
- Emily kiwała głową w rytm podskoków dziewczynki.
- Ciocia pozwala - zwróciła się Willa do Jake'a. - Idziemy się przebrać.
- Ja przecież nic nie powiedziałam - zaprotestowała Emily, pozwalając się wyciągnąć z kuchni.
- Ale kiwałaś głową.

Kilka minut później Emily wyszła ze swego pokoju w spódnicy do konnej jazdy. Willa, ubrana w spodenki, już na nią czekała. Zeszły szybko po schodach i skierowały się do holu po wierzchnie okrycia.

Tam zastały Jake'a.

- Potrzebne wam tylko żakiety - powiedział. - Ociepliło się od rana.

Emily pomogła bratanicy ubrać się w ciepły żakiecik i rękawiczki.

- Ja mam tylko pelerynę - powiedziała. - Może mogłabym coś pożyczyć.

Spojrzała na rząd ciepłych okryć wiszących na wieszaku.

- Ta jest moja - oznajmił Jake, biorąc kurtkę podbitą flanelą. - Zostawiłem ją tutaj zeszłej jesieni.

Emily, sama nie wiedząc dlaczego, chciała odmówić, ale Willi najwyraźniej bardzo się spieszyło. Włożyła więc kurtkę Jake'a i pospieszyła za nim i dziewczynką.

Jake miał rację-jak na grudzień było zaskakująco ciepło. Christian i Perry osiodłali konie. Christian pomógł wsiąść Emily, a Jake wsadził na konia Willę.

- Uważaj na nią - poprosił Christian Jake'a, mając oczywiście na myśli swoją małą córeczkę.

Pojechali tą samą ścieżką, którą Emily i Jake spacerowali rano. Jake bardzo poważnie potraktował prośbę Christiana. Jechał tuż obok Willi i gdy ona pochyliła się, żeby podrapać się w nogę, natychmiast wyciągnął rękę, żeby ją ubezpieczać.

Emily patrzyła na nich z uśmiechem. Jej mała, gadatliwa bratanica była tym razem nieśmiała i milcząca. A jednak chciała dziś wieczorem napisać do Jake'a list miłosny. Wszystko to oczywiście miało być zabawą, jednak Emily wiedziała, że Jake, otrzymawszy taki list, za nic w świecie nie zrobiłby dziecku przykrości. Wiedziała, że tak właśnie by się stało, bo nie wyobrażała sobie, by Jake potrafił kogokolwiek zranić.

Poczuła na tę myśl ukłucie zazdrości, zaraz jednak odcznęła głęboko chłodnym, rześkim powietrzem. Od czasu gdy ostatni raz siedziała na koniu, upłynęło parę miesięcy. Latem jazda konna była ulubioną rozrywką mieszkańców rancza. Emily pochyliła się i poklepała swego wierzchowca po szyi.

Jake pokazywał coś Willi, a ona z zapałem kiwała głową. Dziwne, pomyślała Emily. Kiedy pragnę być sama, to zawsze któreś z nich narzuca mi swoje towarzystwo. A gdy chcę побыć z ludźmi, zostaję zupełnie sama. Albo prawie zupełnie.

Teraz, na przykład, wydaje mi się, że oni oboje zupełnie zapomnieli o mojej obecności.

Miała teraz prawie całkowitą pewność, że oczekuje dziecka. Menstruacja spóźniała się już o dwa tygodnie, a dotychczas miewała ją bardzo regularnie. Coraz częściej zdarzały jej się nudności i napady zmęczenia.

Potrzebowała Ansona. I małżeństwa z nim. Koniecznie. O dziwo, równocześnie coraz mniej go pragnęła. Wydawało jej się, że gdyby nie dziecko, nie byłaby zbyt rozczarowana, gdyby Anson nie pojawił się więcej w jej życiu.

No tak, gdyby nie dziecko. Ono było powodem całego jej strapienia. Gdyby nie dziecko, mogłaby udawać, że wizyta na ranczu jest przyjemnymi wakacjami, a nie wygnaniem. Gdyby nie dziecko, nie czułaby, że do oczu napływają jej łzy za każdym razem, kiedy bierze na ręce Trevora. I mogłaby napisać do rodziców, że wie, iż jej związek z Ansonem był pomyłką i prosić ich o przebaczenie.

Mogłaby też flirtować z Jakiem.

Oj, zaraz, zaraz, skąd ta myśl? Prawdopodobnie spowodowała ją Willa. Obserwując bowiem małą jadącą obok przystojnego i silnego Jake'a, widziała jej nieśmiałe uśmiechy i zdawała sobie sprawę, że są one jakąś niewinną formą flirtu.

Jednak ją Jake interesuje jedynie jako przyjaciel. Nie może jechać sama, bo zaczyna jej przychodzić do głowy jeszcze bardziej niedorzeczne pomysły. Doszedłwszy do takiego wniosku, popędziła konia i dołączyła do Jake'a i Willi.

Po powrocie z konnej przejażdżki Willa pobiegła do matki, by jej powiedzieć, że dziś będzie spała w pokoju Emily. Podczas kolacji nie mogła się tego wprost doczekać. Chciała,

żeby matka jak najprędzej pomogła jej się umyć i przyszykować do snu.

Emily natomiast poszła do swojego pokoju, żeby przygotować pióro i papier. Była coraz bardziej ciekawa, jak będzie wyglądał list miłosny w wykonaniu bratanicy. Może dziewczynka poprosi w nim Jake'a, żeby poszedł z nią szukać żab. Albo obieca upiec dla niego ciasteczko w kształcie serca.

Wkrótce rozległo się pukanie do drzwi i do sypialni wpadła Willa z rozpuszczonymi włosami.

- Czy nie chciałabyś, żeby papa przed snem zaplótł ci włosy? - zapytała ją Emily, patrząc z uśmiechem na jej rozradowaną minę.

- Chcę, żebyś ty to zrobiła, ciociu - odrzekła dziewczynka, sadowiac się po turecku na środku łóżka.

Emily wzięła szczotkę do włosów oraz wstążkę.

- Czy wiesz, że kiedy byliśmy mali, twój tata codziennie zaplatał mi warkocze?

- A dlaczego nie robił tego twój tata? - zapytała Willa.

Emily roześmiała się i rozczesała delikatne jasne włosy małej.

- Tatusiowie przeważnie nie zaplatają dziewczynom włosów. Przeważnie robią to mamusie. Kiedy ja byłam mała i mieszkałam na ranchu, mojej mamusi z nami nie było. Dlatego robił to twój tata.

- Dzisiaj ja powinnam to zrobić. Ale twoje włosy już są zaplecione.

- Przepraszam, powinnam była z tym poczekać - odrzekła Emily, wplatając wstążkę w sięgające ramion włosy Willi.

- To nic, i tak nie umiem pleść warkoczy. Kiedy zaczniemy pisać listy?

- Możemy zacząć od razu - powiedziała z zapałem Emily. - Kto zaczyna? Ty czy ja?

- Ja zaczynam, ja! - zawołała Willa, podskakując na łóżku. - Będę mówić, a ty pisz!

- Dobrze - zgodziła się Emily i usiadła przy biurku. - Jak mam zacząć? „Kochany Jake'u”?

- Nie - zaprotestowała Willa i uklękła, przyciskając do serca obie dłonie. - „Najdroższy Jake'u”. Albo nie. „Mój Jedyny, Najdroższy Jake'u”. Tak, tak napisz.

Emily zamoczyła pióro w kałamarzu i pochyliła się nad kartką.

- Czy mama czyta ci swoje książki?

- Nie - odrzekła Willa, nie zauważając uśmiechu Emily. - Napisz mu, że jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Emily uśmiechnęła się.

- Najprzystojniejszym na świecie, aha. I co jeszcze mam napisać?

- Że jest najodważniejszy i najsilniejszy.

Willa wypowiadała te słowa powoli, dając Emily czas na ich napisanie.

- I że ja chcę, żeby mnie pocałował.

To powiedziawszy, zatkała sobie usta dłonią, tłumiąc chichot.

- Naprawdę tego chcesz? - przekomarzała się z nią Emily.

Dziewczynka pokręciła energicznie głową.

- Nie pisz tego. Co będzie, jeżeli on naprawdę mnie pocałuje?

- A czy my wyślemy ten list?

Willa zastanowiła się.

- Nie. Nie wyślemy. A jeżeli nie wyślemy, to mogę mu napisać wszystko.

Oddechnęła głęboko.

- Twoje oczy są jak niebo.

- Jego oczy są zielone - zauważyła Emily.

- Naprawdę? No dobrze. Twoje oczy są jak... trawa. Twój uśmiech jest jak światło słońca. Twój pocałunek jest jak miód.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

Willa zachichotała.

- Napisz to - rozkazała, a potem dodała: - Twoje silne ramiona mogą mnie unieść daleko.

Padła na łóżko na wznak.

- Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłaś? - zapytała Emily, zapisując szybko wszystkie jej słowa.

- Przez tydzień byłam u cioci Rose. Ciocia pisze wiersze.

I kiedy myśli, że jest sama, mówi je najpierw głośno.

- Więc ciocia mówi głośno swoje wiersze?

- Tak. I niektóre są bardzo romantyczne.

- Ale przecież ciocia jest mężatką.

Wybuchnęły obie śmiechem.

- A jak chcesz zakończyć list? - zapytała po chwili Emily.

Willa zastanowiła się.

- Może: „Twoja jedyna miłość, Willa” - zdecydowała się wreszcie.

- Świetnie - pochwaliła Emily.

Gdy skończyła, zakręciła kałamarz i wytarła pióro.

- A ty nie napiszesz swojego?

W głosie Willi zabrzmiało rozczarowanie.

- Nie, kotku. A teraz, co byś powiedziała na bajkę?

- Ale ja chciałam wiedzieć, co ty byś napisała do swojego chłopca.

Dziewczynka popatrzyła na nią z ukosa, wysuwając do przodu dolną wargę.

Emily wstała z krzesła i zapaliła lampę.

- A może byśmy tak weszły pod kołdrę? I wtedy bym ci to powiedziała?

- Dobrze, i udawaj, że ten list jest do Jake'a.

- Do Jake'a?

- Tak. Powiedz mi, co byś do niego napisała.

Emily ułożyła się w łóżku obok Willi. Próbowwała spełnić jej życzenie, jednak obrazy, które ta zabawa wywoływała, sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej samotna. Skierowała więc rozmowę na inne tory.

W końcu Willa zasnęła. Emily natomiast leżała z otwartymi oczami, nie mogąc zapomnieć o Jake'u. Jego oczy, głos, usta, muskuły i cała jego postać były bowiem przed chwilą przedmiotem jej rozmowy z Willą. Nie mówiły tylko o jego uprzejmości, dobroci i poczuciu humoru.

Emily z westchnieniem przewróciła się na bok i pomyślała, że teraz, kiedy miałyby ochotę posłuchać paplaniny dziewczynki, ta jak na ironię słodko śpi, zostawiwszy ją na pastwę samotności.

Na drugi dzień powtórzyło się to, co ostatnio jej się wciąż zdarzało. Gdy chciała pobyć sama, zawsze pojawiał się Trevor, Jake albo Willa. A kiedy zapragnęła z kimś pobyć i uciec od smutnych myśli, wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Zaczęła nawet podejrzewać, że to jej własna wina, że ona zawsze gdy ma jedno, pragnie drugiego. To przez zamęt, jaki ma w głowie.

Tymczasem głupiutki list, napisany wczoraj pod dyktando Willi, leżał na jej biurku. Wciąż zapominała zapytać dziewczynkę, co chce z nim zrobić. Równocześnie nie mogła się zdobyć na to, by list wyrzucić.

Jake czekał na Emily oparty o wrota stodoły. Przez ostatnie dwa dni nieodmiennie wyruszała na spacer, jak tylko słońce pokazało się na niebie, a on jej towarzyszył, choć zaczynało to dla niego być prawdziwą torturą. Widział bowiem, jak ona, z tęsknoty za swoją miłością, popada w coraz większą melancholię.

Tym razem wyszła z domu otulona w pelerynę tak szczelnie, że kto inny nie byłby w stanie jej rozpoznać. On jednak tak dobrze znał jej chód i ruchy, że poznał ją od razu.

Emily ruszyła w stronę ścieżki. Gdy się zbliżyła, Jake wyszedł z cienia.

- Dzień dobry, Emily - powiedział.

Emily zatrzymała się nagle.

- Nie mam dzisiaj ochoty na towarzystwo - oznajmiła.

- To mi dopiero niespodzianka - zażartował, bo przecież ona nigdy nie życzyła sobie, żeby z nią szedł na spacer. - Którędy dziś idziemy, dołem czy górą?

- Ty idź tędy - powiedziała, wskazując w lewo - a ja pójdę tędy. Spotkamy się tutaj przed obiadem.

Uśmiechnął się do niej, ale ona w odpowiedzi zacisnęła usta.

- No przecież nie jest ze mnie aż taki zły kompan.

Odetchnęła głęboko, starając się opanować złość.

- Nie chodzi o ciebie, Jake - powiedziała. - Ja po prostu chcę być sama. I proszę cię, żebyś to uszanował.

Jej ostry ton go otrzeźwił.

- Przecież codziennie spacerujemy razem. Dlaczego się złościysz?

- Bo nie chcę, żebyś ze mną szedł. Nigdy tego nie chciałam. - Tupnęła drobną stopą tak mocno, że kaptur zsunął jej się z głowy. - Niepotrzebny mi drugi cień!

Jake stał w miejscu oszołomiony, tymczasem Emily szybko go wyminęła. Przez chwilę chciał pójść za nią, lecz potem odwrócił się i ruszył wolno w stronę stodoły. Ojciec z pewnością doceni jego pomoc. A on poczeka na powrót Emily.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Emily po raz drugi wyruszyła na spacer bez Jake'a. Czuła się winna, że wczoraj odezwała się do niego tak ostro. Nie miała jednak innego wyjścia, musiała tak postąpić, inaczej do Jake'a by nie dotarło, że nie życzy sobie jego towarzysztwa, a ona nie mogła pozwolić na to, by wciąż z nią chodził. Co by się bowiem stało, gdyby Anson na nią czekał i nie mógł się pokazać?

Nie widziała się Jakiem od czasu, gdy potraktowała go tak ostro i prawda była taka, że go jej brakowało. Uśmiechnęła się, gdy to sobie uświadomiła. Jak może jej brakować kogoś, kto jest tak denerwujący? - zastanowiła się.

Myślenie o Jake'u pochłonęło ją tak bardzo, że ocknęła się dopiero na zakręcie ścieżki, zdziwiona, że doszła aż tutaj. Może po powrocie odszuka go i zaproponuje wspólne popołudniowe zajęcie?

Nagle na ścieżce pojawiła się wysoka postać. Emily, zaskoczona, cofnęła się o krok. Przez moment myślała, że to Jake, wyprzedzwszy ją, wyszedł teraz na ścieżkę.

Lecz myśl ta zniknęła tak prędko, jak się pojawiła.

- Anson?

Był szczuplejszy, niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. I bledszy. Emily stała bez ruchu, wpatrując się w niego jak urzeczona.

- Dziwi cię mój widok - powiedział, obrzucając ją bacz-
nym spojrzeniem szarobłękitnych oczu. - Czyżbyś się spo-
dziewała kogoś innego?

- Ależ nie - odrzekła, odzyskując mowę. - Tylko nie
wiedziałam, czy przyjedziesz.

Jego oczy złagodniały. Objął ją ramionami.

- Moja maleńka. Czy myślałaś, że cię opuszczę? Jakże
bym mógł po takim liście? Przyjechałem tak szybko, jak
mogłem.

Jego ramiona wydały się znajome, a równocześnie obce.
To Anson, ojciec jej maleństwa. Wszystko będzie dobrze.

- Wyjedziemy stąd razem? - zapytała, bojąc się zarazem
i twierdzącej, i przeczącej odpowiedzi.

- Dziś wieczorem - odparł, odsuwając ją nieco od siebie.
- Czy możesz przynieść mi coś do jedzenia? Potem wszystko
obmyślimy.

- Nie wiem. Spróbuję, ale...

Omali nie wymieniła imienia Jake'a.

- Oni mnie tutaj pilnują.

Podprowadził ją do kamienia, na którym mogli usiąść.

- Na wszelki wypadek powiem ci teraz, jaki mam plan.
Jak tylko się ściemni i wszyscy pójda spać, spotkamy się tu-
taj. Potrzebny ci będzie koń, jedna torba z ubraniem, trochę
jedzenia i trochę pieniędzy.

- Jedna torba? - powtórzyła.

Tak długo czekała na tę chwilę, a teraz, kiedy ona przysz-
ła, pragnęła ją opóźnić.

- Tak, jedna torba. Pojedziemy pociągiem do Emporii.
Tam się przesiądziemy na pociąg, który jedzie do Missouri,
Kansas i Teksasu. Nie będziemy mieli wiele czasu na prze-

siadkę. W Junction City przesiądziemy się na Kansas Pacific, który dowiezie nas do Denver.

- Do Denver?

Co będą robili w Denver?

- Potrzebne nam będą pieniądze - powiedział. - Weź ich jak najwięcej.

- To znaczy mam jak najwięcej ukraść Christianowi?

- Posłuchaj, Emiły - powiedział miękko, przyciągając ją do siebie. - Oni nas do tego zmusili. Ani tobie, ani mnie to się nie podoba, ale musimy to zrobić, bo nie ma innego sposobu, żebyśmy byli razem. - Ścisnął ją za ramię. - A poza tym, nawet oni nie chcieliby, żebyś głodowała, prawda?

Emily pokręciła głową. Wszystko działo się zbyt szybko, choć jeszcze wczoraj nie mogła się tego doczekać. Podniosła głowę i spojrzała Ansonowi w twarz, a on uśmiechnął się do niej. W jego oczach nie było śladu złości, była natomiast jakaś tajemniczość. Najwyraźniej on także miał wątpliwości co do tej ucieczki, ale równocześnie wiedział, że nie ma innego sposobu. Emily poczuła, że za tę niepewność kocha go jeszcze bardziej.

Anson pochylił się i szybko ją pocałował.

- Wracaj teraz, żeby nie zaczęli cię szukać. Przynies mi coś do jedzenia, jeżeli to możliwe.

Jake osiodłał konia. Wybierał się do miasta. Było późne popołudnie, a on zamierzał spędzić noc w domu i wczesnym rankiem wrócić na ranczo.

Nie mógł znieść myśli o tym, że zostawia Emily, choć dawno już się zorientował, że jego towarzystwo nie przynosi jej pocieszenia. Mimo to wyobrażał sobie, że spacerując z nią

każdego ranka, dodaje jej odwagi. Było tak aż do wczoraj, kiedy mu oświadczyła, że nie potrzebuje drugiego cienia.

Dziś rano patrzył, jak odchodziła, a potem niecierpliwie czekał na jej powrót. Nawet nie spojrzała w stronę stodoły.

Cień, pomyślał, dosiadając teraz konia. To dobre określenie na to, czym był dla Emily. Na coś, co było obecne, lecz czego się nie zauważało. Bo było nieważne, na nic nieprzydatne.

No cóż, wobec tego stanie się przydatny gdzie indziej. Poprosi szefa o wiadomości z Topeki, a potem wróć i jak najprędzej i znowu będzie jej cieniem.

Emily była pewna, że przed zmrokiem nie uda jej się przemycić jedzenia. No bo jak usprawiedliwiłaby przed Jakiem, że ma ochotę na drugi spacer?

Otuliwszy się szalem, poszukała schronienia na swoim balkonie. Patrząc z góry na dolinę, czuła się bezpieczna, wolna od obecności przystojnego ideału Willi.

Dlaczego ta mała musiała zwrócić jej uwagę na wszystkie tak męskie cechy Jake'a? Przecież ona dotychczas widziała w nim tylko towarzysza zabaw, chłopca, który się z nią przekomarzał i kłócił i który popadał przez nią w tarapaty.

Wczoraj rano odezwała się do niego tak ostro. Dziś wieczorem odejdzie i być może nigdy już go nie zobaczy. Trudno jej było to sobie wyobrazić.

Może za ileś lat wróci, żeby spotkać się z rodziną. Ciężko jej było na sercu, gdy myślała, że Trevor i Willa będą rośli bez niej, ale równocześnie mówiła sobie, że z pewnością jeszcze ich zobaczy.

Jak jednak będzie z Jakiem? Gdzie będzie, gdy ona wróci? Czy się ożeni?

Odsunęła od siebie tę głupią myśl. Przecież cała rzecz polegała na tym, że to ona będzie wtedy mężatką i matką. Więz z Jakiem wywodziła się z dzieciństwa, i to wszystko. Mimo to żałowała, że ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała, były przepojone gniewem.

Przejęta nagłym chłodem, otuliła się szczerzej szalem. Odnajdzie go jeszcze dzisiaj, porozmawia z nim i pożartuje, zakończy wszystko przyjemniejszą nutą. Może nawet go przeprosi, bo przecież jutro już tu jej nie będzie.

Dobiegł ją tętent końskich kopyt. Wychyliła się przez barierkę i zobaczyła przejeżdżającego Jake'a. Czyżby z jakichś powodów jego urlop nagle się skończył? Czy wróci na święta? Czy wyjeżdża, bo ma dość jej gniewnych reakcji?

Weszła z westchnieniem do pokoju. To przecież nie ma sensu. Nie ma sensu przypisywać sobie aż takiego wpływu na Jake'a. Poza tym teraz to już jest bez znaczenia. Szansa na pogodzenie się przepadła. Musi przestać się nim zajmować, musi myśleć o swojej przyszłości.

Tak, powinna myśleć o Ansonie. Teraz, kiedy Jake wyjechał, łatwiej będzie dostarczyć mu jedzenie. Anson pewnie umiera z głodu.

Nikogo nie było, gdy weszła do kuchni. Zapakowała chleb i mięso, które zostały z południowego posiłku. Robiła to w wielkim pośpiechu, bo wiedziała, że w każdej chwili może pojawić się Martha.

Z westchnieniem ulgi wyszła z kuchni z zawiniątkiem pod pachą. A potem ukryła je pod peleryną. Modląc się, by nie zauważył jej Christian, otworzyła tylne drzwi i wyszła.

Nikt jej nie pozdrowił, gdy mijała stodołę, udając, że idzie na jeden ze swoich spacerów. Mimo to gdy obok niej przechodziła, serce waliło jej jak młotem.

Ansona nie było w miejscu, w którym go rano zostawiła. Emily, bojąc się go zawołać, rozejrzała się tylko wokoło. Myśl, że odjechał, nie zabierając jej ze sobą, wcale nie wywołała paniki.

Po chwili okazało się zresztą, że jego koń pasie się w dolinie nad strumieniem. Emily ostrożnie skierowała się w tamtą stronę. Anson spał. Gdy podeszła bliżej, drgnął i natychmiast się obudził.

- Przyniosłam ci coś do zjedzenia - powiedziała.

- Świetnie.

Nie podniósł się, tylko wyciągnął do niej rękę. A ona odwiązała sobie zawiniątko od pasa i podała mu je.

- Nie przyniosłaś butelki? - zapytał.

Nie przyszło jej to nawet do głowy.

- Miałam szczęście, że udało mi się wynieść to - powiedziała.

- W porządku.

Uśmiechnął się i poklepał ziemię obok siebie.

Usiadła tuż przy jego wyciągniętych nogach i patrzyła, jak rozpakowuje swój posiłek. Jego elegancko przystrzyżone włosy i ładna, gładko wygolona twarz nie pasowały do otoczenia, do tych nagich, zimowych drzew i brunatnej trawy. Naturalnym środowiskiem Ansona był jego własny, bogaty dom oraz miejskie kluby. Rezygnował więc dla niej z nie byle czego.

- Co będziemy robili w Denver? - zapytała.

Wzruszył ramionami i przełknął, zanim odpowiedział.

- Jest mnóstwo możliwości. Bary są tam legalne. Mogę rozdawać karty, być barmanem, mogę się też postarać zostać właścicielem baru. A ty będziesz przyciągała klientów - dodał, mrugając do niej.

Przyciągała klientów? Być może jest to właściwa chwila, żeby mu powiedzieć o ciąży.

Anson roześmiał się, sprawiając, że policzki Emily pokrył rumieniec.

- Powinnaś teraz zobaczyć swoją twarz. Ja przecież cię nie proszę, żebyś z nimi chodziła na górę! A ty co? Myślałaś, że to mam na myśli?

Pokręciła głową, ale nie była pewna, czy jej uwierzył. Zapomniała o tym, że lubił wprawiać ją w zakłopotanie.

- Ansonie, muszę z tobą porozmawiać.

Roześmiał się znowu i pochylił, żeby poklepać ją po kolanach.

- Nie martw się, kochanie. Już ja się tobą zaopiekuję. Wierzysz mi?

Jego uśmiech był tak czarujący, spojrzenie tak szczere, że nie miała wyboru - musiała pokiwać głową. Pochylił się w jej stronę i wsunął ręce pod pelerynę, biorąc ją w ramiona. To było miłe, ale nie dało jej takiego poczucia bezpieczeństwa, jakiego pragnęła.

- Dziękuję, że przysłałaś - wyszeptał. - Zobaczymy się po zmroku. Nie zapomnij: tylko jedna torba i pieniądze. A teraz powinnaś już wracać, zanim się zorientują, że cię nie ma - powiedział, a potem pocałował ją mocno w usta, dodał: - Chociaż wolałbym, żebyś została.

Jego dłonie jeszcze chwilę pieściły jej piersi. Emily poczuła się nieswojo. Jego dotknięcia nigdy nie budziły

w niej takiego podniecenia, jakie w swoich książkach opisywała Lynnette, ale nigdy też nie podziały na nią tak odpychająco jak tym razem. Być może dlatego, że oczekuje dziecka.

Wypowiedziawszy cicho „do widzenia”, ruszyła pod górę. W drodze do domu złapała się na tym, że myśli o książkach Lynnette. Ich bohaterki zawsze tęskniły za dotknięciami kochanka, a intymne zbliżenia - choć nie opisane szczegółowo - były nieodmiennie źródłem radości dla obu stron. Emily dziwiła się, jak jej szwagierka - znając już prawdę - może nadal wypisywać takie rzeczy.

Była tak zamyślona, że omal nie zapomniała o ostrożności. Na szczęście nikt jej nie zauważył, a jeżeli nawet, to o nic jej nie pytał, wróciła więc bezpiecznie do swego pokoju, żeby się spakować.

Gdy pojawił się Jake, szeryf Tom Chaffee wychodził akurat z gmachu sądu.

- Miałem właśnie kogoś do ciebie posłać - powiedział, gdy Jake zsiadł z konia. - Wejź do środka.

Jake pomyślał, że te słowa nie zapowiadają niczego dobrego. Ruszył za szeryfem do środka i zszedł na dół, do jego biura, próbując ukryć niecierpliwość.

- Co się stało? - zapytał, zamykając drzwi.

Tom odpowiedział dopiero wtedy, gdy usiadł za biurkiem.

- Twój przyjaciel Berkeley wpakował się znowu w tarapaty. Wygląda na to, że zażądał pieniędzy od swego ojczulka, ale stary mu odmówił. Więc spakował manatki i oświadczył, że nie wróci więcej do domu. Na co usłyszał: „No i dobrze”. Wybuchła awantura. Tego samego wieczora policja

została zawiadomiona, że właściciel szkoły tańca został obrabowany.

- Właściciel szkoły tańca? - przerwał szeryfowi Jake. - A ile w takiej szkole mogło być pieniędzy?

Tom uniósł znacząco brwi.

- No cóż, w tej szkole odbywały się „nocne zajęcia”. Wiesz pewnie, co mam na myśli.

- Więc to był szynk?

- Tak, szynk. Wyobrażasz sobie? W naszym kochanym stanie Kansas, gdzie alkohol jest zakazany. Trudno w to uwierzyć, co?

Tom mrugnął do Jake'a, a potem mówił dalej:

- Ten gość zaryzykował i przyszedł na policję. Mówi, że rozpoznał Berkeleyya jako... no... jako studenta, który kiedyś narozrabiał w jego lokalu. Nie dał mu zabrać wiele. Zaledwie parę dolarów. Chce go jednak oskarżyć o napad.

Jake poczuł w sercu ukłucie strachu. Tom nie uzyskał przecież tych informacji z depeszy, która przysłała przed chwilą.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Przedwczoraj w nocy. Dziś po południu dostałem szczegółowy meldunek.

- Więc on mógł wczoraj wsiąść tutaj do pociągu - przeraził się Jake. - Być może w tej chwili jest już na ranczu!

- Spokojnie, synu. Obaj wiemy, że to mało prawdopodobne. Natomiast bardzo prawdopodobne jest, że nasz ptaszek gdzieś się ukrył. Myślę też, że będzie się ponownie starał zdobyć pieniądze i że tym razem zostanie złapany. Albo zastrzelony.

Jednak słowa szeryfa wcale Jake'a nie uspokoiły. Był zadowolony, że uzyskał wszystkie te informacje, ale równo-

cześnie gorzko żałował, iż zostawił Emily na ranczu. Nie zdąży wrócić przed zmrokiem, a po zachodzie słońca robi się bardzo zimno. No cóż, będzie musiał pojechać po zmroku. Nie był to zbyt dobry pomysł, jednak nie miał lepszego.

Tom przerwał mu rozmyślania, mówiąc:

- Przysłano mi ten meldunek oczywiście z powodu dziewczyny. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że zwróci się do niej po pomoc.

- Pewne prawdopodobieństwo! - powtórzył Jake i zaklął pod nosem.

Tom roześmiał się.

- Odelegrowałem, że mamy już dziewczynę pod ścisłym nadzorem.

Jake popatrzył przeciągle na szefa. Tom miał skłonność do dowcipkowania na najdziwniejsze tematy.

- Dziś nie - przypomniał.

Szeryf wstał i wyszedł zza biurka.

- Odpręż się, synu. Ten chłopak nie pojedzie tak daleko po dziewczynę. Ma dość dziewczyn bliżej. A poza tym tam jest jej brat. Jest też cała rodzina. On nie może się pojawić niezauważony.

Jake wstał. Zabierał się do odejścia, choć chciał wierzyć, że szeryf ma rację.

- Mimo to, szeryfie, ja już pojadę.

Tom klepnął go po plecach.

- Zamarzniesz na koniu, a wtedy już się do niczego nie nadasz - powiedział i ruszył ze śmiechem w stronę drzwi.

Jake szedł powoli za nim. No cóż, szeryf się śmieje, ale to on ma problem. Anson ucieka przed policją. A kto jest bardziej skłonny do udzielenia pomocy niż niewinna dziewczyna-

na? Niewinna i bogata. Tak, ona jest dla niego łatwym łupem. Na dodatek to przecież on sam wysłał tamten list.

Podprowadził konia do koryta z wodą i niecierpliwie czekał, aż zwierzę zaspokoi pragnienie. Przyszło mu do głowy, że dobrze by było coś zjeść, ale zaraz zrezygnował z tego zamiaru. Najpierw musi się przekonać, że Emily jest bezpieczna. Jedzenie może poczekać.

Kilka minut później znajdował się już w drodze na ranczo. Z trudem powstrzymywał się od zmuszania konia do galopu. Wiedział, że nie może go zmęczyć, bo to wcale nie skróci podróży. Z drugiej strony nie mógł się uwolnić od myśli, że Anson już jest na ranczu.

Było prawie ciemno, gdy wjechawszy na wzgórze, zobaczył przed sobą w dole jakiś powozik. Był stary i zniszczony i stał przechylony na bok na poboczu drogi. Gdy Jake się nieco zbliżył, z jego wnętrza wyskoczył jakiś człowiek i pozdrowił go.

- Ma pan kłopoty? - zapytał Jake, zatrzymując konia.

Mężczyzna był mniej więcej w jego wieku, szczupły i skromnie ubrany.

- Tak. Okulał nam koń. Jak daleko stąd do miasta?

- Jakieś dziesięć, dwanaście mil. Na piechotę to spory kawał zwłaszcza w ciemnościach.

Jake zsiadł z konia.

- Nie dojdziemy, to wykluczone - powiedział mężczyzna. - Moja żona niedomaga.

- Wcale nie - zaprotestował zniecierpliwiony głos z wnętrza powozu.

Mężczyzna potarł sobie dłonią nos, uśmiechając się szeroko.

- Oczekuje dziecka - oznajmił donośnym szeptem.

- Merle! Czy chcesz, żebym umarła ze wstydu?

Merle stłumił śmiech.

- Czy w pobliżu jest jakaś farma, gdzie moglibyśmy otrzymać pomoc?

Jake pokręcił głową przecząco.

- W pobliżu nie.

Nie wygląda też na to, żeby w tych ciemnościach w pobliżu znajdowali się jeszcze jacyś inni głupcy - pomyślał. Uświadomił sobie, że może zrobić tylko jedną rzecz. Odwrócił się w stronę swojego konia i z westchnieniem zaczął zdejmować siodło.

- Jestem panu niezmiernie zobowiązany - powiedział nieznajomy i pospieszył do powoziku. - Wszystko będzie dobrze, Mildred. Ten pan nam pomoże.

Jake przeklinał swoje niewydarzone szczęście. W powoziku jest pewnie miejsce tylko dla dwóch osób. Więc on będzie musiał, idąc piechotą, odprowadzić kulawego konia do miasta. A gdy już to zrobi, będzie wraz z własnym koniem potrzebował odpoczynku. I zejdzie mu w mieście do rana.

Emily patrzyła przez szybę drzwi balkonowych. Niebo od dawna było ciemne. Pora iść. Już jakiś czas temu słyszała, że wszyscy się rozeszli do swoich sypialni. Wiedziała też, że Martha i Perry poszli do siebie. Jake'a nadal nie było.

Mimo to zaczekała jeszcze parę minut. Chciała zapalić lampę i rozejrzeć się po pokoju po raz ostatni. Uznała jednak, że lepiej będzie przyzwyczać oczy do ciemności. Zaczęła cicho chodzić po pokoju, dotykając mebli. Wzięła też na chwilę z półki swoją lalkę.

Gładząc narzutę na łóżku, znalazła liściki, które zostawiła dla Willi i Trevora. Pisała w nich, że ich kocha i że będzie za nimi tęskniła, a także że pewnego dnia ich odwiedzi. Za pośrednictwem tych liścików chciała także poinformować Christiana i Lynnette oraz swoich rodziców - że wyjechała z własnej, nieprzymuszonej woli. Ciekawe, zastanowiła się, kiedy oni zrozumieją, iż nie wrócę, i oddadzą Willi mój pokój.

Uśmiechnęła się. Miło było pomyśleć, że wprowadzi się tu ta żywa mała dziewczynka. Jej list do Jake'a tkwił ukryty za obwolutą „Dumy i uprzedzenia”. Za kilka lat Willa, chcąc przeczytać tę książkę, znajdzie go tam. I przypomni sobie, jak go pisała z ciocią Emily.

Wzięła dywanikową torbę i podeszła bezszelestnie do drzwi, po czym wyszła z pokoju, zostawiając drzwi uchylone w obawie, że szcęk zamka zwróci czyjąś uwagę. Dom był pogrążony w ciszy, gdy szła przez salon do gabinetu brata. Wiedziała, gdzie Christian trzyma pieniądze, ale w ciemności nie mogła ich znaleźć. W kieszeni miała zapałki. Zapaliła jedną i znalazła lampę dającą słabe światło.

Gdy wyjmowała metalową kasetkę z szuflady, drżały jej ręce. Nigdy w życiu nie przyszłoby jej dó głowy, że okradnie własnego brata. W kasetce było więcej pieniędzy, niż się spodziewała. Od czasu ostatniej wyprawy do banku Christian musiał sprzedać kilka koni.

Emily nie mogła pozwolić sobie na zastanawianie się nad tym, co robi. Wyjęła pieniądze i już zamierzała zamknąć kasetkę, jednakże, wiedziona nagłym impulsem, wrzuciła do niej z powrotem kilka banknotów. I dopiero potem wsunęła ją do szuflady. Złożyła banknoty i wetknęła je głęboko do torby, zdmuchnęła lampę i wyszła z gabinetu.

Przy tylnym wyjściu znalazła pelerynę i szal, a także rękawiczki. Miała na sobie ciężką spódnicę do konnej jazdy, a pod nią dwie pary pończoch i halki. Pod żakiet włożyła dwie bluzki. Uczyniła tak, żeby ochronić się przed zimnem, ale także dlatego, że pragnęła mieć więcej ubrań - nie tylko te, które się zmieściły do dywanikowej torby. Wyszła na dwór i poczuła na twarzy podmuch zimnego powietrza.

Trafiła do stajni niemal po omacku. Przesuwając dłoń po chropawym drewnie, wymacała skobel i uchyliła wrota na tyle, by wślizgnąć się do środka. Zamknęła wrota za sobą i znieruchomiała, nasłuchując. W ciemnościach słyszała, jak poruszają się konie.

Nie mogła osiodłać konia, bo było za ciemno. Zapaliła więc kolejną zapałkę i znalazła latarnię wiszącą na ścianie. Modliła się o to, by nikt nie zauważył światła sączącego się przez okienka stajni.

Nagle coś ją tknęło. Poczuła, że musi się spieszyć. Przyniosła siodło ze składziku i podeszła do wałacha, na którym jeździła parę dni temu. Parę dni temu? - zastanowiła się. Ależ upłynęło od tego czasu całe jej życie! Życie, w którym był obecny Jake, zanim przyjechał po nią Anson.

Zdjęła pelerynę, po czym zabrała się do siodłania konia. Liczne warstwy ubrania chroniły przed chłodem, ale krępowały ruchy. Po kilku długich minutach koń był gotów i Emily mogła przytroczyć torbę do siodła. W ostatniej chwili postanowiła wziąć latarnię ze sobą. Zawiesiła ją na łąku.

Spojrzała po raz ostatni na dom, ledwie widoczny na tle ciemnego nieba, i odwróciła się w stronę ścieżki, na której miała spotkać Ansona, a także własną przyszłość.

Drgnęła, gdy dobiegł ją donośny szept:

- Emily, czy to ty?

Przez chwilę myślała, że ją przyłapano, jednak zaraz uświadomiła sobie, że to głos Ansona.

- Tak - odrzekła również szeptem.

Usłyszała, że Anson się zbliża. Szedł pieszo, prowadząc konia.

- Podszedłem do stajni przed zmrokiem. Sądziłem, że poczekasz, aż wszędzie księżyc.

- Bałam się, że przy księżycu ktoś mnie zobaczy - odrzekła.

- Będziemy i tak musieli poczekać, bo w ciemności pozabijalibyśmy się na tej ścieżce.

Emily zsiadła z konia, myśląc o latarni, i znalazła się w ramionach Ansona.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - szepnął jej do ucha. - Masz pieniądze?

- Mam trochę - odpowiedziała. - Wzięłam też latarnię.

- Świetnie - powiedział cicho, wypuszczając ją z uścisku. - Zapal ją. Poprowadzimy konie przy jej świetle.

Posuwali się powoli. Anson trzymał latarnię wysoko, oświetlając ścieżkę. Emily westchnęła z ulgą, gdy znaleźli się za zakrętem. Teraz nikt już nie mógł dostrzec światła na zboczu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Anson.

Objął ją ręką trzymającą lejce, zmuszając konie do stłoczenia się na ścieżce.

Emily odwróciła się, by je uspokoić.

- Tak, u mnie tak. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki się nie oddaliliśmy.

- Ale oddaliliśmy się już, prawda?

Uśmiechnął się nie tyle uspokajająco, co z rozbawieniem.

- W Denver, dziecinko, będziemy się świetnie bawić.
- Czy ożenisz się ze mną w Denver, Ansonie?
- Ożenić się?!

Jego ton świadczył o tym, że jest zdziwiony. Emily poczuła się niemile zaskoczona. Wpatrywała się w wyboistą ścieżkę.

- Posłuchaj, dziecinko, jeżeli tego chcesz, mogę się z tobą ożenić. Po prostu nie zastanawiałem się nad tym.

Przez kilka minut milczeli, po czym Anson zapytał:

- Czy tego właśnie chcesz?
- Sądzę, że tego potrzebuję, Ansonie.
- No cóż, moja maleńka, ja pragnę, żebyś miała wszystko, czego potrzebujesz. Będę dumny, żeniąc się z tobą w Denver.

W jego głosie brzmiała przesadna wesołość. Zresztą może to nie ma znaczenia. Skoro się pobiorą, dziecko będzie już nosiło jego nazwisko, wszystko się jakoś ułoży.

- Dziękuję ci, Ansonie.

Szli dalej aż do miejsca, gdzie ścieżka zaczęła gubić się na prerii. Emily prowadziła w stronę głównego traktu, mając nadzieję, że nie zabłądzi w tej ciemności. W chwili gdy zaczęli schodzić w dół po stromym zboczu, płomień zamigotał i latarnia zgasła.

Anson zaklął i potrząsnął latarnią.

- Czy potrzebne ci zapałki? - zapytała Emily, sięgając do kieszeni.

- A na co się one, u diabła, się zdadzą? Zabrakło nafty. Emily aż się skuliła, słysząc brzęk tłuczonego szkła.
- Dlaczego jej nie nalałaś, zanim wyruszyłaś w drogę?!

Gniewny ton Ansona sprawił, że Emily miała ochotę się cofnąć. Ponieważ jednak znajdowali się na zboczu, zawieszeni w ciemnościach nad stromizną, bała się ruszyć.

- Przepraszam - powiedziała, wstydząc się, że jej głos drży. - Nie pomyślałam o tym.

- Oczywiście - stwierdził sarkastycznie. - Za bardzo byłaś zajęta planami matrymonialnymi. Wszystko inne jest na mojej głowie. A ty nigdy nie myślisz!

Emily poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Była zadowolona, że w ciemności tego nie widać.

- Jesteś niesprawiedliwy - wyjąkała.

Anson zaklął pod nosem.

- No to ugrzęźliśmy. Musimy tu tkwić do wschodu księżyca. A skoro tak, to spróbujmy odpocząć.

Emily usłyszała, że Anson siada na ziemi i że spod jego nóg toczą się kamyki. Przykucnęła ostrożnie, macając ręką, żeby się przekonać, czy nie ma ostrych kamieni i kaleczącej suchej trawy. Po chwili poczuła ręce Ansona, który przyciągnął ją do siebie, obejmując.

- Nie chciałem na ciebie krzyczeć, maleńka - szepnął jej do ucha. - Wkrótce wszędzie księżyc i ruszymy dalej. A poza tym czas na mały odpoczynek.

Roześmiała się.

- Wybaczysz mi, dziecinko?

- Oczywiście.

Przytuliła się do niego i zamknęła oczy. O śnie nie może być mowy, zwłaszcza że nad ich głowami sapia i parskają konie, jednak Anson ma rację - potrzebny jej odpoczynek.

Anson jednak nie myślał o odpoczynku. Pocałował

Emily, przeciągnął wargami po jej szyi, a potem odchylił pelerynę.

Chwyciła go za rękę.

- Ansonie, zamarzniemy!

Stłumił śmiech.

- No dobrze, zostawię pelerynę w spokoju.

Gdy poprawiała ją na sobie, on sięgnął do rąbka jej spódnicy. Wsunął pod nią rękę.

- Ansonie, ja mówię poważnie - pisnęła, podciągając kolana pod brodę i obejmując nogi ramionami. - Jest za zimno.

- Nie będziemy się przecież rozbierali.

- Ty się nie będziesz rozbierał, a ja zamrznę.

- Ja cię rozgrzeję - powiedział cicho, uwodzicielskim tonem.

Emily miała ochotę dać mu w twarz.

- Ansonie, proszę cię. Nie chcę tego robić na ziemi, pod końskimi nogami.

Wypowiedziawszy te słowa, usłyszała szelest suchej trawy i jego cichy krzyk.

- Ansonie? Co się stało?

- Rozumiem teraz, co miałaś na myśli. - Jego głos dobiegał z pewnej odległości. - Twój cholerny koń przewrócił mnie na ziemię. Czy ty go w ten sposób wytrenowałaś?

Emily z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- A może sama mnie popchnęłaś? W tych ciemnościach trudno się zorientować.

Przyczołgał się do niej i wziął ją znowu w ramiona.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w podejrzeniu, że to ty. I wiesz co? Ja mogłem stoczyć się na sam dół ze zbocza!

- Nie zrobiłabym czegoś takiego - powiedziała Emily.

Czy Anson zrezygnował z zamiaru wzięcia jej natychmiast, tu i teraz? Bała się odprężyć i oprzeć o niego, choć czuła się bardzo zmęczona.

- Chcesz powiedzieć: „Nie pomyślałam o tym”. Ty przecież nigdy nie myślisz, moja mała.

Przyciągnął ją do siebie. A ona usiłowała udawać, że jego słowa nie sprawiły jej przykrości.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Było już dobrze po północy, gdy Jake znalazł się znowu w mieście. Jego koń nie był przyzwyczajony do chodzenia w zaprzęgu, narowił się więc przez całą drogę. Jake musiał w końcu przywiązać drugiego, kulawego konia do powoziku i zabrać się do powożenia.

Posuwali się naprzód powoli, zwłaszcza przed wschodem księżyca. Powozik miał latarnie, ale tylko w jednej była nafta. Jej nikłe światło umożliwiło im jednak jazdę.

Znalazłszy się w mieście, Jake zatrzymał się przed małym, tanim pensjonatem.

- Pani Barstow ma lekki sen - powiedział. - Wystarczy zadzwonić do drzwi, a zaraz przyjdzie i znajdzie dla was miejsce do spania, choćby miała wam oddać własne łóżko.

- Był pan dla nas naprawdę bardzo uprzejmy, szeryfie - odezwała się Mildred, której mąż pomagał właśnie wysiąść z powoziku.

- Jestem zastępcą szeryfa - poprawił ją Jake po raz co najmniej czwarty.

- Ile jesteśmy panu winni? - zapytał z wahaniem Merle. Jake pokręcił głową.

- To, co zrobiłem, należy do moich obowiązków.

- Jesteśmy panu bardzo zobowiązani - oznajmił Merle.

- Proszę wejść do środka. Ja tymczasem zostawię powóz i konia w stajni.

- Za chwilę tam przyjdę i zajmę się jego nogą - odrzekł Merle.

Oba konie zostały nakarmione, napojone i wyszczotkowane, zanim zjawił się Merle. Okazało się, że jego koń zgubił podkowę, ale nic więcej mu się nie stało. Jake zasugerował, by Merle zajął się podkową, gdy będzie już widno, i pożegnał się.

Był zmarznięty, znużony i głodny. Na dodatek nadal nie miał pojęcia, co dzieje się z Emily. Nie miał też sznas na to, by szybko się tego dowiedzieć.

Wróciwszy do siebie, rozpalił ogień w małym piecyku i, siedząc przy nim, zaczął jeść fasolę z puszki. Stopy miał obolałe po długim marszu, ale był zbyt zmęczony, by zdjąć buty. Posiliwszy się, zapadł w kamienny sen.

Kiedy się obudził, w pokoju było już jasno. Wyskoczył z łóżka i aż jęknął, tak go bolały zeszywniałe mięśnie. Idąc pospiesznie do kuchni, spojrzął przez okno wychodzące na wschód i z wielką ulgą zauważył, że słońce dopiero przed chwilą wyłoniło się znad horyzontu. Obawiał się bowiem, że zasnął. Nie chcąc tracić czasu, nie usiadł do śniadania, tylko zapakował trochę jedzenia do skórzanych toreb przytraczanych do siodła i wyszedł, żeby osiodłać konia. Zamierzał zjeść w drodze.

Kilka minut później jechał już w stronę Strong. Gdy dotarł do stacji, jego dobrze wyćwiczone oczy zaczęły wędrować od jednej grupki ludzi do drugiej. Na widok ciemnej główki z niesfornymi lokami wymykającymi się spinkom ściągnął lejce tak gwałtownie, że jego koń prawie stanął dęba.

Stała tyłem do niego. Kaptur peleryny zsunął jej się na plecy. Nad nią pochylał się wysoki blondyn. Jake patrzył, jak Emily przechyla głowę, jak niknie w ramionach mężczyzny. Położyła głowę na jego ramieniu, tak jakby była bardzo zmęczona - albo zakochana.

Jake zapatrzył się na nich i poczuł, jak ogarniają go zarazem strach i gniew. Z trudem nad sobą zapanował. Najchętniej rzuciłby się i wyrwał Emily z objęć tego oszusta. Rozległ się przeraźliwy gwizd. Na stację wjeżdżał właśnie pociąg. Za chwilę ten pociąg odjedzie... uwożąc Emily!

Zsiadł z konia, zamierzając zaaresztować Berkeleyya i bojąc się równocześnie reakcji Emily. Doszedł do wniosku, że jednak lepiej będzie się z tym wstrzymać. Tak, lepiej będzie na razie po prostu ich śledzić.

Złapał za rękaw przechodzącego obok wyrostka. Ten spojrział na niego zaskoczony.

- Anthony... Dobrze, że to ty.

Anthony był porządnym chłopcem. Można mu było zaufać.

- O, pan Rawlins - odrzekł nieco zmieszany. - Czy coś się stało?

- Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

Jake wyprostował się, odwiązując torby od siodła.

- Zaprowadź mojego konia do szeryfa. Powiedz mu... powiedz mu, że śledzę podejrzanego. W pociągu. Szeryf będzie wiedział, co zrobić.

Anthony trzymał już lejce.

- Czy coś jeszcze, proszę pana?

Jake, obserwując pociąg i wsiadającą parę, szukał w kieszeni monety.

- Nie, nic więcej. Masz, to dla ciebie.

Wręczył Anthony'emu pięć centów.

- Dziękuję - powiedział jeszcze, biegnąc już do pociągu.

Nasunął kapelusz na twarz, nie chcąc, żeby Emily i Berkeley go rozpoznali. W chwili gdy pociąg przyspieszył, wskakiwał właśnie na stopnie wagonu znajdującego się tuż za tym, którym oni jechali. Zachwiał się, ale zaraz się podciągnął i już był w wagonie.

Usiadł, postanowiwszy przejść do sąsiedniego wagonu dopiero wtedy, gdy pociąg rozwinie swoją normalną prędkość. Czekając na konduktora, od którego chciał kupić bilet, zorientował się, że pociąg jedzie na wschód, w stronę Topeki. Czyżby Berkeley postanowił wrócić? Czy Emily namówiła go, żeby się oddał w ręce policji?

Na tę myśl Jake odczuł rozczarowanie. Nie chciał bowiem, żeby Berkeley postąpił szlachetnie, nie chciał, by zrobił cokolwiek, co sprawi, iż stanie się godny Emily. Życzył sobie, by postąpił tak, żeby on sam czuł się usprawiedliwiony, wybijając mu zęby.

Patrzył właśnie z wściekłością na zamknięte drzwi sąsiedniego wagonu, gdy ktoś stuknął go w ramię. Odwrócił się gwałtownie, sięgając po rewolwer.

- Bilet proszę?

Twarcz konduktora nie zdradzała zdziwienia. Najwidoczniej był przyzwyczajony do pasażerów, którzy zachowują się nerwowo.

- Tak, chcę kupić bilet - odparł Jake, sięgając po pieniądze.

- Dokąd?

To dobre pytanie. Dokąd oni jadą? Jake pozwolił konduktorowi przyjrzeć się swojej odznace.

- Śledzę kogoś, kto jest w sąsiednim wagonie - powiedział cicho.

- To nie ma znaczenia. I tak musi pan zapłacić.

- Wiem - powiedział Jake, hamując gniew. - Nie wiem tylko, dokąd ten ktoś jedzie.

Konduktor kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Najbliższe duże miasto to Emporia. Może tam ten ktoś będzie chciał się przesiąść.

- Dobrze - powiedział Jake. Chciał już być jak najbliżej swoich podopiecznych, którzy przecież mogliby wcześniej opuścić pociąg. - Proszę o bilet do Emporii.

Z torbami przerzuconymi przez ramię przeszedł ostrożnie do sąsiedniego wagonu. Kapelusz nasunął na oczy i miał nadzieję, że zobaczy Emily, zanim ona go zauważy.

Usiadł szybko na wolnym miejscu tuż przy drzwiach, skąd mógł dyskretnie obserwować pasażerów. Zobaczył ich natychmiast. Siedzieli w połowie wagonu, odwróceny do niego tyłem.

Gdyby przedtem miał jakiegokolwiek wątpliwości, do kogo należały ciemne loki, wątpliwości te w tej chwili natychmiast by zniknęły. Emily siedziała odwrócona bokiem, widział jej profil. Rozmawiała ze swoim towarzyszem. Jake wiedział, że trzyma jedną nogę podciągniętą pod siebie. W dzieciństwie omal nie zrobił sobie krzywdy, próbując naśladować tę jej ulubioną pozę.

Uśmiechała się, a on na myśl o tym, jak bardzo ją kocha, poczuł się jak uderzony obuchem. Jak to wytrzyma? Jak zdoła się powstrzymać od rozkwaszenia nosa Berkeleyowi? A kiedy już zrobi, co do niego należy, jak będzie dalej żył, widząc nienawiść w pięknych oczach Emily? -

Zaraz doszedł do wniosku, że tymczasem może tylko ich śledzić. I modlić się o to, by Berkeley popełnił jakiś błąd, by dał mu szansę na uratowanie Emily.

Emily roześmiała się. Nie usłyszał jej śmiechu, bo w wagonie panował zbyt duży hałas, ale zobaczył, że się śmieje. Pochyliła się, opierając czoło na ramieniu Berkeleya. Dłoń Berkeleya pieściła jej loki na karku.

Jake pomyślał z bólem, że nikt nie mógłby wymyślić dla niego gorszej tortury.

- Jesteś bardzo zmęczona, dziecinko - szepnął jej Anson do ucha.

- Wiem - powiedziała niewyraźnie, przytulając twarz do jego płaszcza. - I dlatego wszystko jest takie zabawne.

- Usiądź wygodniej. Możesz się przespać, opierając się na moim ramieniu.

- Czuję, że mogłabym zasnąć, opierając się nawet o tamto okno.

Wyprostowała nogę i poprawiła się na siedzeniu, nie podnosząc głowy z jego ramienia.

- Mnie się wydaje, że mogłabyś spać nawet na koniu. Zachichotała.

- Prawie spałam, prawda?

- Bałem się, że ten człowiek w stajni pomyśli, że chcę cię sprzedać razem z końmi.

Emily wyprostowała się gwałtownie.

- Sprzedałeś także konia Christiana? Przecież miałeś sprzedać tylko...

- Nie, nie. Sprzedałem tylko swojego.

Przyciągnął ją do siebie.

- Koń twojego brata będzie na niego czekał w mieście.
Ile udało ci się wziąć?

- Wziąć? Czego?

- Pieniądzy. Od brata. Mówiłaś, że masz pieniądze.

- Tak, mam trochę.

Poczuła się nieswojo, ale była zbyt wyczerpana, by zastanawiać się nad tym uczuciem.

- Lepiej daj je mnie - szepnął.

- Co?

Usiadła, przecierając oczy.

- Lepiej daj mi te pieniądze. Będą bezpieczniejsze.

Emily przyglądała się jego ładnej twarzy, zbyt zmęczona, by myśleć. Anson sięgnął po dywanikową torbę. Emily jednak chwyciła ją pierwsza.

- Dobrze-powiedziała.

Po omacku znalazła w środku zwitek banknotów. Oddzieliła kilka i wyciągając je, resztę złożyła ponownie.

- To wszystko, więcej nie było - powiedziała, modląc się, by się nie zorientował, że kłamie.

Właściwie nie miała pojęcia, dlaczego tak postępuje.

- To wszystko? - syknął. - Cholera.

Emily zauważyła jego marsową minę, gdy liczył pieniądze pod koszulą, a potem zobaczyła, jak podnosząc głowę, zmienia wyraz twarzy. Uśmiechał się teraz, patrząc na nią.

- Zrobiłaś, co mogłaś, dziecinko - powiedział. - Nie powinienem ci zawracać tym głowy. Musisz odpocząć.

Przytuliła się znowu do jego ciepłego ramienia. Musi zasnąć, bo zwymiotuje. A może dziwne uczucie w żołądku to strach? Anson sprzedał konia Christiana. Mogłaby się zało-

żyć, że tak zrobił, a z powodu pieniędzy rozzłościł się bardziej, niż się spodziewała.

Jednak biletów na pociąg nie dostał przecież za darmo. Z kolei w Denver będą musieli płacić za jedzenie i dach nad głową aż do chwili, gdy Anson znajdzie pracę. Wykazał więc tylko zmysł praktyczny.

Co by powiedział, wiedząc, że schowała przed nim resztę pieniędzy? Czy będzie jej wystarczająco wdzięczny, aby zapomnieć, że go okłamała, gdy ona przyzna się do tego wtedy, kiedy znajdą się sytuacji krytycznej? Czy może powinna wówczas powiedzieć mu, że banknoty rozdzieliły się przez przypadek, iż nie miała zamiaru ich przed nim ukrywać? Nie, takie kłamstwo byłoby wiarygodne tylko wtedy, gdyby przy pierwszym otwarciu torby ujawniła, iż ma jeszcze pieniądze. Z jakiegoś powodu nie chciała Ansonowi oddać wszystkich pieniędzy.

A z drugiej strony wolała nie kłamać! Co prawda, kiedyś potrafiła to doskonale. Mimo zmęczenia uśmiechnęła się na tę myśl. Zaraz jednak uznała, że okłamywanie Ansona jest czym innym niż jej dawne okłamywanie Christiana czy nawet Jake'a. Najgorszą rzeczą, jaka ją mogła za to spotkać, była jakaś żartobliwa zemsta z ich strony.

Boże drogi, jak oni jej pobłażali. Emily poczuła, że na to wspomnienie po policzku spływa jej łza. Otarła ją ukradkiem. Nie upłynęło jeszcze dwanaście godzin od ucieczki, a ona już tęskni za domem. Nie. Nie będzie o nich myślała. Będzie myślała o Ansonie. O tym, jak bardzo on ją kocha, i o tym, jak będzie wyglądało ich wspólne życie.

Jednak w zmęczonej głowie pojawił się zaraz inny obraz

Ansona - wściekłego na jednego z przyjaciół. Było to wtedy, gdy wybrali się do klubu z dwiema innymi parami. Nie mogła sobie przypomnieć, od czego to wszystko się zaczęło, ale pamiętała, że Anson wybuchnął. I zanim inni go uspokoili, wybił temu drugiemu mężczyźnie, swojemu przyjacielowi, dwa zęby, a także złamał mu nos.

Uspokoił się tak szybko, że Emily prawie przekonała samą siebie, że zdarzenie to w ogóle nie zaszło albo że wyglądało zupełnie inaczej. Przypomniała sobie teraz, że od tamtego czasu była wobec Ansona trochę mniej ufna.

Wszystko będzie dobrze, uspokajała samą siebie. Ojciec dziecka jest przy niej. Stworzą razem rodzinę. A ona powstrzyma Ansona od picia. Zresztą nie mają pieniędzy na alkohol.

Poczuła, że myśli jej się mącą, i zasnęła.

Obudziło ją nagłe szarpnięcie. Z jej świadomości zniknęło mgliste wspomnienie jakiegoś niepokojącego snu, zanim zdołała się nad nim zastanowić. Naokoło panował hałas. Przetarła oczy. Usiadła prosto i natychmiast poczuła mdłości. Przez chwilę zdawało jej się, że zwymiotuje. Jednak żołądek miała pusty.

Opadła z jękiem na siedzenie.

- Emily! Obudź się. Zaraz musimy wsiąść.

Spojrzała na Ansona jednym okiem. Aha, pociąg. Uciekają. Pieniądze. Wszystko znowu stało się rzeczywiste. Poczuła, że burczy jej w brzuchu.

- Muszę coś zjeść - powiedziała.

Pociąg się zatrzymał. Anson wstał, biorąc ją za ramię.

- Weź torbę. Musimy się dostać na inny dworzec. Nie wiem, jak daleko on jest. Nie wiem też, ile mamy czasu. Bę-

dziemy się martwić o jedzenie dopiero wtedy, gdy do niego dotrzemy.

Kiedy już wstała, oparła się na chwilę o siedzenie. Chwycała dywanikową torbę, a Anson, ciągnął ją za rękę, wyprowadził z pociągu.

Jake obserwował ich pilnie na każdej stacji. Berkeley pozwolił Emily spać, dopóki pociąg nie zaczął dojeżdżać do Emporii. Wtedy potrząsnął ją za ramię i obudził. Jake wzmógł czujność. Oni tu wysiądą i przesiądą się do innego pociągu. Nie miał co do tego wątpliwości. Będzie musiał uważać, żeby ich nie zgubić w tłumie. A także - żeby go nie zauważyli. I to drugie będzie nawet trudniejsze.

Patrzył na profil Emily, gdy się budziła. Była blada, wyglądała na chorą. Ogarnęła go taka złość, że z trudem się oparował. Zmusił się, by pozostać na miejscu. Nie mógł pozwolić, by wściekłość na Berkeleya lub strach o Emily zamąciły mu zdolność osądzenia sytuacji.

Gdy pociąg zatrzymał się z mocnym szarpnięciem, Emily i Berkeley wstali. Jake poczekał, aż ruszą w stronę wyjścia, a potem on także wstał i wysiadł drugimi drzwiami. Odczekał, zorientował się, w którą idą stronę, i ruszył za nimi w bezpiecznej odległości.

Wyglądało na to, że Berkeley nie wie, dokąd iść. Sprawdził Emily z peronu i zaczął się rozglądać. Jake szybko schował się za grupę podróżnych, obserwując uciekającą parę ostrożnie ponad ramieniem młodej kobiety. Ta prychnęła zniecierpliwiona i popatrzyła na niego ze złością. Jake rozchylił płaszcz, pokazując jej swoją odznakę i patrząc na nią tak, że znieruchomiała. A potem, przestraszona, przysunęła

się do jednego ze swoich towarzyszy. Jake nie tracił czasu na uspokajanie jej, bo Berkeley wraz z Emily właśnie ruszył na przód.

Musiał poczekać w pobliżu dworca Santa Fe, bo przechodzili przez pusty obszar między dwiema stacjami. Gdyby się obejrzeni, dostrzegliby go natychmiast. Jake nie miał odwagi iść za nimi nawet wtedy, gdy zniknęli już w budynku dworca. Mogli zobaczyć go przez okno.

Rozejrzał się, usiłując zdecydować, jak przejść przez tory. Zauważył wolno poruszający się wózek na bagaże. Był dość daleko, ale posuwał się we właściwym kierunku. Jake podbiegł i ukrył się za nim. Pozostawał w ukryciu, dopóki nie nadarzyła się okazja, by pobiec w stronę budynku. Dostrzegł napis: „Missouri, Kansas i Teksas”.

Oparł się o ścianę, zastanawiając się, jak długo będzie musiał czekać, i modląc się, by oni zostali na stacji.

Czy Berkeley chce zawieźć Emily do Meksyku? A może do Kanady? Czy jadą do Junction City, żeby się tam prześiąść? Gdyby ich teraz stracił z oczu, bardzo trudno byłoby mu później wpaść na ich ślad.

Cierpliwość nie była cnotą Jake'a. Musi się dowiedzieć, czy ich nie zgubił. Zaryzykował i wyjrzał zza budynku. Na peronie panował spokój. Nie było śladu Emily.

Wyszedł ostrożnie na peron, trzymając się blisko ściany. Musi podejść do okna i zajrzeć do środka. Oczywiście niezauważony, nie zwracając na siebie uwagi podróżnych. Zsunął torby z ramienia i położył na ziemię, mając nadzieję, że pozbywszy się ciężaru, będzie wyglądał na bardziej odprężonego.

W chwili gdy miał zajrzeć przez okno, w drzwiach budyn-

ku stanął Anson. Jake sprężył się, gotowy zniknąć natychmiast z peronu. Jednak nie ruszył się z miejsca, ponieważ za Ansonem nie pojawiła się Emily. A ten typ przecież go nie znał.

Obserwował Ansona spod runda kapelusza. Ten przywołał ruchem ręki chłopca wałęsającego się po stacji.

- Chłopcze - zwrócił się do niego. - Tu jest pięć centów. Dam ci je, jeżeli pójdziesz do najbliższej restauracji i przyniesiesz mi dwa obiady.

- W pudełku, tak żeby można je było zabrać do pociągu, proszę pana? - zapytał chłopak.

- Tak, tak. I pospiesz się. Nie możemy czekać cały dzień.

- Już lecę, proszę pana.

Chłopiec odwrócił się, ale zanim się oddalił, Berkeley złapał go za koszulę i powiedział:

- Tylko wróć, słyszysz? Jeżeli uciekniesz z pieniędzmi, to oddam cię policji.

Chłopak, przestraszony, pokręcił głową.

- Niech się pan nie martwi, proszę pana.

Berkeley puścił go i otrzepał dłonie. A potem odwrócił się. Jego wzrok padł na Jake'a.

Jake nasunął kapelusz na oczy i skrzyżował ręce na piersi, udając, że odpoczywa. Po kilku sekundach Berkeley skierował się do budynku dworca. Jake odetchnął z ulgą. A więc są tutaj i pociąg nie odjedzie tak prędko, inaczej Berkeley nie zamówiłby obiadów.

Po kilku minutach wziął swoje torby i zeskoczył z peronu, a potem usiadł na ziemi w pobliżu budynku. Pozostawanie na peronie byłoby zbyt ryzykowne. Przecież Emily mogła w każdej chwili wyjść na zewnątrz.

Rozmowa Berkeleyya z chłopcem przypomniła Jake'owi, że sam także od rana nic nie jadł. Wyjął więc z torby puszkę brzoskwiń i otworzył ją nożem, a następnie, posługując się tym samym nożem, jadł owoce, nasłuchując.

Zaczeka. Wskoczy do pociągu w ostatniej chwili, tak jak poprzednim razem. Najlepiej do sąsiedniego wagonu. Kupi bilet do jakiejś stacji, kierując się radą konduktora, a potem z drugiego końca wagonu będzie obserwował Emily. Kiedy oni wysiądą, on ruszy ich śladem.

Nie miał pewności, co zrobi później. Bardzo spodobała mu się myśl o natychmiastowym zaarrestowaniu Berkeleyya i odstawieniu go do Topeki. Obawiał się jednak, że Emily stanęłaby z zapalonym po stronie zbiega. Z drugiej strony na myśl, że miałyby zaczekać, aż Berkeleyy ją zrani albo przestraszy, Jake'a przebiegał zimny dreszcz. Przypomniał sobie, jak przerażony był tamten chłopak na peronie, gdy Berkeleyy zagroził mu policją, i wyobraził sobie, że na pięknej twarzy Emily pojawia się taki sam wyraz.

Poczuł, że bezwiednie ściska w dłoni blaszaną puszkę. Rozluźnił dłoń. Nie, nie pozwoli Berkeleyyowi skrzywdzić Emily. Będzie w pobliżu i nie dopuści do tego. Znajdzie sposób, żeby zaarrestować tego łobuza i nie stracić przy tym Emily.

Omiał nie roześmiać się w głos. Od kiedy to Emily należy do niego? Od kiedy wolno mu myśleć, że może ją stracić? Czy nie doszedł do wniosku, że nie jest jej wart?

Emily podniosła głowę znad książki i patrzyła, jak Anson chodzi w tę i z powrotem po poczekalni. Jeszcze na ranczu, gdy pakowała książkę do torby, przyszło jej do głowy, że po-

stępuje głupio, bo przecież książka zajmie w torbie cenne miejsce, ale teraz była z tego zadowolona.

Anson co jakiś czas pytał ze złością, gdzie się podział ten chłopak z obiadem. Nie pomagało jej to zapomnieć o głodzie. W pewnej chwili zaproponowała, że da mu książkę, żeby sobie poczytał, ale on warknął coś tylko i krążył dalej. Emily wiedziała, że gdy ma taki humor, najlepiej nie zwracać na niego uwagi.

Próbowała skupić się na treści książki. Była to jedna z powieści Lynnette, z własnoręczną dedykacją autorki. Bohaterem okazał się szeryf z Dzikiego Zachodu. Emily złapała się na tym, że wyobraża go sobie jako Jake'a, choć mężczyzna, którego losy opisała jej szwagierka, był blondynem.

W pewnej chwili Anson stanął przed Emily. Podniosła wzrok dopiero po jakimś czasie i uśmiechnęła się pytająco.

- Gdzie, u diabła, jest ten chłopak? - zapytał niecierpliwie.

Emily westchnęła.

- Posłuchaj, Ansonie, o tej porze restauracje są pełne. Sam mówiłeś, że mamy mnóstwo czasu.

No tak, Anson zdążyłby sam przynieść posiłek.

- Ja przecież myślę tylko o tobie - burknął. - Kiedy wysiedliśmy, omal nie zemdlałaś z głodu.

- Mnie się zdaje, że moje złe samopoczucie spowodował także ruch pociągu - powiedziała z udaną cierpliwością. - Teraz czuję się dobrze. Chociaż zjem obiad z chęcią. Zapewniam cię, że się go doczekamy.

Jej uśmiech nie uspokoił Ansona. Zaczął znowu niespokojnie chodzić w tę i z powrotem. Emily jeszcze raz przeczytała trzy ostatnie akapity, niewiele z nich rozumiejąc. Gdy

Anson ponownie stanął przed nią, wstrzymała oddech i omal nie jęknęła.

- Ukradł mi pieniądze, ten...

- Ansonie!

Jej ostry ton zaskoczył go do tego stopnia, że zamilkł. Emily odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Idź na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem, a mnie pozwól czytać.

Na te słowa Anson bez chwili wahania wyrwał jej książkę z ręki i cisnął ją w drugi koniec poczekalni. Emily zerwała się, chcąc ją podnieść, ale on popchnął ją tak, że usiadła z powrotem.

- Mogłabyś okazać trochę więcej zrozumienia - syknął - zamiast marnować czas na te bzdury. To dzięki nim tak się palisz do małżeństwa.

Odwrócił się do niej tyłem i znowu zaczął chodzić. Emily wstała powoli, obserwując Ansona. Gdy się zorientowała, że na nią nie patrzy, podeszła zdecydowanym krokiem do miejsca, gdzie leżała pognieciona książka. Podniosła ją i troskliwie rozprostowała kartki oraz okładkę. Okazało się, że powieść łączyła ją z przeszłością silniej, niż się mogła spodziewać.

Nie patrząc na Ansona, ruszyła w stronę drzwi. Wyszła na wąski peron. Przedtem, wchodząc do budynku, zdjęła z siebie pelerynę. Nie mając jej teraz na sobie, poczuła, że przez liczne warstwy ubrania przenika ją chłód. Nie było jednak tak zimno, by nie mogła przez parę minut pobycć na powietrzu. A poza tym chłód sprawił, że opuściła ją złość.

Anson miał rację. Powinna była okazać mu więcej zrozumienia. Nie mieli zbyt wiele pieniędzy, a on zamówił obiad

przede wszystkim ze względu na nią. Tymczasem ona wtknęła nos w książkę, pozwalając, żeby sam martwił się o jej dzenie. A nawet ukryła przed nim pieniądze. Jednak...

Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się szybko. Popatrzyła na ludzi na peronie. Wszyscy wydawali się zajęci własnymi sprawami. Jednak uczucie, że ktoś ją obserwuje, pozostało.

Może to Anson przypatruje się jej przez okno albo przez drzwi poczekalni. Może czeka, aż wróci, żeby się z nią pogodzić. Jednak czy to nie on winien jest jej przeprosiny? Przecież to on rzucił książkę na podłogę, to on zachowywał się okropnie. Emily z westchnieniem pomyślała, że z pewnością nie spojrzaliby na to wszystko w ten sposób. Uważałyby, że to ona go sprowokowała.

Gdzieś na prawo od siebie zauważyła jakiś ruch. Spojrzała w tym kierunku, ale nie zobaczyła nikogo. Może po prostu ktoś tamtędy przeszedł. Albo się tam ukrywał. Poczowała, że przechodzi ją dreszcz. Nie chciała dociekać, jak było naprawdę.

Właściwie to było jej zimno. Gdy się odwróciła, żeby wrócić do poczekalni, na peron wszedł chłopiec z dwoma białymi pudełeczkami w rękach. Uśmiechając się do niego, weszła do budynku.

Anson przystanął i zmierzył ją ponurym spojrzeniem. Jego twarz nie rozjaśniła się także na widok chłopca, który szedł za nią.

- No, jesteś. Najwyższy czas - burknął.
- Spieszyłem się bardzo, proszę pana. Gdyby pan dał trochę więcej pieniędzy, to kucharz na pewno by się pośpieszył.

- Tak myślisz? Ale sam się nie pospieszyłeś, choć obiecałem ci pięć centów.

Wziął pudełka i dał jedno z nich Emily. Po czym, nie zwracając uwagi na chłopca, usiadł i zabrał się do jedzenia.

- Napracowałem się, proszę pana - powiedział chłopiec tak głośno, żeby usłyszeli go wszyscy w poczekalni. - Obiecał mi pan pięć centów.

Anson żuł właśnie kęs smażonego kurczaka.

- Za długo to trwało - odparł z pełnymi ustami.

- Na miłość boską!

Emily odstawiła pudełko. Z małej torebki przytroczonej do paska wyjęła chusteczkę do nosa, a potem zaczęła w niej szukać monety. Obawiając się, że Anson ją powstrzyma, podeszła szybko do chłopca.

- Dziękuję bardzo - powiedziała miękko. - Bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc.

- Dziękuję, śliczna panienko - odrzekł chłopak, po czym, spoglądając spod oka na Ansona, odwrócił się na pięcie i wybiegł z poczekalni.

- Masz za miękkie serce - orzekł Anson, ale się uśmiechnął.

- Dziękuję ci za to, że mnie doceniłeś - odparła, odwzajemniając mu się serdecznym uśmiechem. - A ty jesteś okropnym zrzęda.

- Piękne dzięki, moja droga. Miło mi, że się rozumiemy.

Mrugnął do niej, a ona zachichotała. Znowu był czarujący.

- To zadziwiające, jaki wpływ na twój humor ma jedzenie.

- A na twój działalność charytatywna.

Postanowiła zignorować tę uwagę i skupić się na posiłku. Była bardzo głodna, ale bała się jeść zbyt łapczywie. Nie wiedziała, ile czasu mają do przyjazdu pociągu. Anson nigdy nie informował jej dokładnie. Z pewnością się nią zaopiekuje. Ona nie musi się więc o nic martwić.

Jedzenie było tłuste, ale jeszcze ciepłe i było go sporo. Jadła powoli, przerywając często. Nie chciała się kompromitować, wymiotując w miejscu publicznym. Ostatnio jej żołądek był bardzo wrażliwy.

Skończyła posiłek i zaczęła marzyć o lemoniadzie. Gwizdnęła lokomotywa.

- Czy to nasz? - zapytała, wstając.

- Tak. Weź swoje rzeczy. Nareszcie stąd wyjdziemy.

Stali na peronie, czekając, aż pasażerowie wysiądą z pociągu. Emily znowu miała wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Rozejrzała się, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Doszła więc do wniosku, że to wyobraźnia płata jej figle. Ich źródłem musi być poczucie winy z powodu ucieczki. W głębi serca najwyraźniej pragnę, żeby ktoś nas śledził - uznała w duchu.

Zaraz jednak odsunęła od siebie tę myśl i wsiadła wraz z Ansonem do pociągu. Wybrał miejsca w przedniej części wagonu. Przepuścił ją, pozwalając jej usiąść przy oknie. Emily nie chciała, by się zorientował, że jest zdenerwowana, zachowała więc milczenie. Jednak nawet gdy pociąg ruszył, nie opuściło jej tamto dziwne uczucie.

Siedzi ją jej własne sumienie. Bo przecież okradła własnego brata i okłamała bliskich. Uświadomiła sobie, że właściwie nie miała innego wyjścia. Poza tym być może jej su-



mienie byłoby spokojniejsze, gdyby ciało miało się lepiej. Wstała i zdjęła ciepłą pelerynę. Składając ją i podkładając sobie pod głowę, zauważyła w drugim końcu wagonu znajomą postać.

Jake!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Emily odwróciła się szybko i usiadła z impetem. Co Jake robi w pociągu? Kapelusz miał nasunięty na twarz. Chyba jej nie widział? Ależ nonsens! Widział ją! Na pewno! To przecież on ją śledził! Jaki mógłby być inny powód jego obecności? To on ją obserwował w Emporii.

Nagle przyszło jej do głowy, że Jake jest wytworem jej wyobraźni. Miała ochotę obejrzeć się, żeby się upewnić, czy jest jeszcze w pociągu. Nie była jednak w stanie się ruszyć. Najlepiej, by się nie zorientował, że ona go zauważyła. Boże! Myśli jej się płątały, a równocześnie zdradzieckie serce śpiewało: „On pojechał za mną! Pojechał!”

- Co się dzieje, dziecinko? - zapytał Anson.

- Nic - odrzekła aż nazbyt pospiesznie.

Natychmiast przestraszyła się, że Anson czegoś się domyśli. Oparła się wygodnie, udając, że chce zasnąć. Czy to naprawdę Jake siedzi tam, za nią? A jeżeli tak, to co? Dlaczego właściwie miałyby być zadowolona z tego, że za nią pojechał? Powinna być tym przerażona. Przecież jej jedyną nadzieją na przyszłość jest Anson. Jedyną nadzieją dla niej i dla dziecka.

Musi się przekonać, czy naprawdę widziała Jake'a. Zaczęła się kręcić, udając, że stara się przybrać wygodną pozycję.

Po chwili wstała i zaczęła poprawiać pelerynę. Rzuciła okiem w stronę drugiego końca wagonu.

Jake nadal tam był. Robił co mógł, by pozostać niezauważonym. Siedział skulony, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Ale jej to nie przeszkodziło - i tak nie mogła się pomylić. Rozpoznała ciemnobrązowy kapelusz i płaszcz, rozpoznała też kształt jego ramion. Ona czuła jego obecność. Czuła ją nawet tam, na stacji w Emporii.

Anson przyglądał jej się uważnie. Zaczęła ponownie udawać, że usiłuje zasnąć, ale on jej przeszkodził. Pochylił się nad nią i spytał po cichu:

- Zobaczyłaś tam kogoś, prawda?

Pokręciła głową przecząco.

Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Nie kłam. Kto to jest?

Nienawidziła go, gdy był zły. Przerazał ją wtedy.

- To Jake - wyszeptała pośpiesznie. - Po prostu znajomy.

- I powiesz mi pewnie, że to tylko zbieg okoliczności, co?

Wpatrywał się w nią z groźną miną.

- Sama w to nie wierzysz, prawda?

Emily wzruszyła ramionami. Zdradziła Jake'a. Starła się jednak odsunąć od siebie poczucie winy. Przecież to Ansonowi winna była lojalność.

- Powiedz mi o nim coś więcej - zażądał Anson.

Spróbowała uwolnić ramię, ale jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Wychował się na ranczu - wygadała się.

- Na ranczu?

Anson zmrużył oczy.

- Czy on pracuje u twojego brata? Czy jest możliwe, że to twój brat posłał go w pogoń za nami?

Pokręciła głową.

- Kiedy opuszczaliśmy ranczo, Jake był w mieście. Pracuje teraz jako zastępca szeryfa. - Za późno ugryzła się w język.

Anson puścił jej ramię i wziął za rękę.

- Posłuchaj uważnie. On nie śledzi ciebie, tylko mnie.

Emily już chciała zaprzeczyć, ale Anson uciszył ją, kręcąc gwałtownie głową.

- Prześladowuje mnie policja z Topeki. Wypuścili mnie z więzienia i od razu wymyślili na mnie coś następnego. Twój znajomy czeka na okazję, żeby mnie zaarrestować.

- Jeżeli to prawda, to dlaczego jeszcze tego nie zrobił?

Anson wzruszył ramionami.

- Może boi się o ciebie. Kto wie, jakie słyszał kłamstwa na mój temat. Może chce mnie zabić... może chce mnie dopaść, kiedy będę sam.

Emily zamierzała cofnąć rękę, ale zdecydowała się tego nie robić.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Uśmiechnął się do niej, więc zaczęła się uspokajać.

- Ty jesteś taka ufna.

Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek.

- Kocham cię za to.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - poprosiła. - Zmuszę go, żeby mi powiedział, co zamierza.

- Nie. Nie można przyspieszać biegu wypadków. Siedź przez chwilę cicho i daj mi się zastanowić.

Siedziała więc w milczeniu, podczas gdy Anson rozważał wszystkie ewentualności. Emily chciała jeszcze raz zaproponować, że porozmawia z Jakiem. Przecież tyle razy w życiu udawało jej się namówić go do różnych rzeczy. Może i teraz jej się powiedzie. Poza tym, chciała skorzystać z okazji i pożegnać się z Jakiem.

- Wsiadam - wyszeptał w końcu Anson.

- Co?

Gestem dłoni nakazał jej milczenie.

- Na następnej stacji, na chwilę przed odjazdem pociągu, wysiądę. Ty zatrzymasz swojego znajomego w wagonie.

- On wysiądzie na kolejnej stacji.

Dlaczego Anson ucieka? Dlaczego ją opuszcza?

- Oczywiście, ale ja zdążę uciec.

- A co będzie ze mną, Ansonie?

Co będzie z ich planami? Co będzie z dzieckiem?

- Powiedz mu coś, co go zmyli. Ja będę się starał dotrzeć do Denver. Spotkaj się tam ze mną, kiedy już nikt cię nie będzie śledził.

Dlaczego ten plan wprawiał ją w taki popłoch?

- A czy nie moglibyśmy wrócić do Topeki i przeciwstawić się tym oskarżeniom? Czy przed rozpoczęciem nowego życia nie moglibyśmy przywrócić ci dobrego imienia?

- Nie bądź dzieckiem, Emily. Oni mnie nie będą słuchać. Ja już przez coś takiego przeszedłem. Po prostu zaufaj mi i zrób tak, jak ci mówię.

Emily chwyciła go za rękę. Jeżeli Anson ją teraz opuści, to nigdy się nie połączą. Dlaczego ta myśl jest taka natrętna? Musi mu powiedzieć o dziecku.

- Ansonie, zanim odejdiesz...

^wCiiiyw

- Americus! - zawołał głośno konduktor.
- Otwórz okno - powiedział Anson.
- Co? Po co?

Dlaczego on nie chce słuchać?

- Wskoczę w ostatniej chwili. Kiedy pociąg będzie ruszał, wyrzucisz przez okno mój bagaż.

Patrzyła na niego, nie mogąc zrozumieć, co mówi. Pociąg wtoczył się na stację ze zgrzytem hamulców i przeraźliwym gwizdem.

- Posłuchaj - powiedział Anson, biorąc Emily za ramię - musisz to zrobić. Poczekam, aż inni wysiądą. Potem się wymknę. A ty...

Potrząsnął lekko jej ramieniem.

- Zrób tak, żeby za mną nie poszedł. Zatrzymaj go za wszelką cenę, nawet gdybyś musiała podstawić mu nogę. Kiedy pociąg ruszy, wyrzuc moją torbę. Ubrania będą mi potrzebne. Rozumiesz, co mówię?

- Ansonie...
- Nie mam czasu. Zrób, jak powiedziałem.

Emily kątem oka zauważyła kilku pasażerów, którzy zebrali swoje rzeczy i wysiedli. Jakiś mężczyzna wszedł do ich wagonu i znalazł sobie miejsce.

- Proszę wsiadać! - rozległ się głos konduktora.

Anson odczekał jeszcze minutę. Emily wydało się, że czuje, jak w kotłach lokomotywy zbiera się para. Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

Okno! Omal nie zapomniała. Odwróciła się i otworzyła je w chwili, gdy Anson ruszył do wyjścia. Biegł w stronę drzwi, kiedy pociąg ruszył. Wskoczył. Musiał się zachwiać, ale gdy Emily wyjrzała przez okno, stał już mocno na nogach.

Chwyliła jego torbę i rzuciła ją przez okno, a potem obejrzała się, chcąc się upewnić, czy Jake jest w pociągu.

Stał i wpatrywał się w nią z groźną miną.

Jake nie mógł w to uwierzyć. Emily pomogła Berkeleyowi uciec! No cóż, nie powinno go to dziwić. Wiedział od początku, że pojechała z Berkeleym z własnej woli. Nie dała mu żadnych podstaw do przypuszczeń, że postawi prawo, nie mówiąc już o nim samym, przed swoim ukochanym Ansonem.

Nie spuszczać jej z oka, wziął torby i ruszył na przód wagonu. W oczach Emily dostrzegł strach, jednak starał się go zignorować.

- Mogę? - zapytał, gdy ona usiadła na miejscu opuszczonym przez Berkeleya.

- Dlaczego mnie śledzisz? - zapytała Emily.

- Berkeley jest ścigany, bo dopuścił się napadu rabunkowego - wyjaśnił. - Dokąd on się udał?

Emily wzruszyła ramionami.

- On nic złego nie zrobił. Policja z Topeki go prześladowa. - Głos jej się załamał.

Więc to taką wersję przedstawił jej Berkeley. A teraz Emily sama nie wie, czy w nią wierzyć.

- Czy masz przy sobie jakieś pieniądze? - zapytał Jake łagodniejszym tonem.

- Och, mężczyźni! Co się z wami dzieje? Czy tylko to jest ważne? To, czy mam pieniądze?

Skąd ten wybuch? Pewnie wziął się z czegoś, co jej powiedział Berkeley. Jake położył rękę na zaciśniętych dłoniach Emily, starając się ją pocieszyć.

- Chcę tylko wiedzieć, czy masz na bilet powrotny.

W jej oczach pojawił się wyraz skruchy.

- Bądź spokojny, poradzę sobie. A ty, co masz zamiar zrobić?

- Po prostu wrócić do domu - odrzekł.

Spojrzał w jej ukochaną twarz i omal jej nie pocałował.. Chwilę później zerwał się na równe nogi i pospieszył w drugi koniec wagonu.

Emily patrzyła zdumiona za Jakiem. Dokąd on poszedł? Spodziewała się, że będzie jej towarzyszył, przynajmniej do następnej stacji. Albo do chwili gdy przyjedzie pociąg zdążający w przeciwnym kierunku. Dlaczego z nią nie został? Czy tak jej nie cierpi, że nie może znieść jej obecności?

Pomyślała, że pójdzie za nim i zapyta, dlaczego jest taki okrutny. Ale przecież wcale nie musi o to pytać. Wie dlaczego. Dlatego, że on ją kocha. W głębi duszy wiedziała o tym już przedtem, choć nie chciała przyznać, że tak jest. To, że wyjechała z Ansonem, niezmiernie go zraniło. Zraniło go tak bardzo, że nie może na nią patrzeć.

Nie może patrzeć? To świetnie! Niech robi, co chce! Jego miłość nie jest jej potrzebna. Dlaczego jednak tak bardzo żaluje ją jego zniknięcie?

Pogrążona w myślach Emily nie zauważyła, że pociąg zwalnia. Z zamyślenia wyrwały ją gorączkowo zadawane pytania.

- Chyba podmyło most - powiedział ktoś.

- A może chodzi o napad?

Po tym pytaniu rozległy się krzyki.

Emily w jednej chwili zrozumiała, co zaszło. Otóż z pew-

nością odznaka Jake'a wystarczyła, żeby maszynista zatrzymał pociąg.

Emily chwyciła torbę i pelerynę i ruszyła wzdłuż przejścia. Potrąciła torbą jakąś kobietę. W następnej sekundzie ze swego siedzenia wychyliło się jakieś dziecko. Musiała zaczekać, aż matka każe mu się cofnąć.

Co będzie, jeżeli pociąg tylko zwolni, ale nie przystanie? Podbiegła do drzwi. Pociąg jechał teraz powoli. Spojrzała w dół i zobaczyła ziemię uciekającą spod stóp. Wolniej, wolniej, modliła się.

Będzie tak jak wtedy, gdy skakała ze strychu na siano.

No tak, tylko że wtedy skakała w miękką stertę. A strych się nie ruszał.

A poza tym na dole czekał na nią Jake.

No tak, Jake.

Pociąg zwolnił. Jechał teraz bardzo powoli. Emily wyrzuciła torbę i pelerynę. Szepcząc modlitwę, zrobiła krok w przód.

Ziemia podskoczyła. Jej stopy spotkały się z nią prędzej, niż się spodziewała. Emily potoczyła się tak jak wtedy, gdy koń zrzucił ją z grzbietu. Dziecko! Przycisnęła brzuch dłońmi. Nie czuła w środku żadnego bólu. Nabrała pewności, że nic jej się nie stało. No, może najwyżej trochę się potłukła.

Pociąg przyspieszył i zostawił ją w tyle. Jake stał po przeciwnej stronie torów, otrzepując kapelusz z kurzu. Na jego widok Emily poczuła ulgę. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że Jake mógł nie wysiąść z pociągu, a ona mogła znaleźć się sama, całkiem opuszczona, w obcej okolicy.

Emily wstała i patrzyła, jak Jake wkłada kapelusz. Zrobił

dwa duże kroki, podniósł swoje torby i zarzucił je sobie na ramię, a potem zrobił dwa następne w stronę Americus i nagle zauważył torbę Emily. Znieruchomiał na chwilę, a jej się wydało, że z jego gardła wydobył się stłumiony krzyk.

- Jake! - zawołała.

Odwrócił się błyskawicznie.

- Nie chciałam cię przestraszyć - powiedziała.

- A co chciałaś zrobić?

Czuła się winna, że zdradziła jego obecność Ansonowi. A równocześnie odczuwała ulgę i zadowolenie, widząc go po drugiej stronie torów. A potem, gdy się przekonała, że on się o nią martwi, zalała ją fala radości. Zaczynała zapominać, jakie ma ceł. Otrzeptała spódnicę z kurzu.

- Ścigasza Ansona - powiedziała. - Będę ci towarzyszyć.

Jake pokręcił głową.

- Dlaczego po prostu nie wysiadłaś razem z nim?

Wyprostowała się dumnie.

- Moim zadaniem było zatrzymać cię w pociągu.

Wziął się pod boki i przyjrzał jej się uważnie. Nie spodobało jej się to. Minęła go i podeszła do leżącej na ziemi peleryny. Zimne powietrze, a może i jego wzrok sprawiły, że zadrżała.

- A kiedy ci się to nie udało, postanowiłaś przyczepić się do mnie i opóźnić pościg, tak?

W rzeczywistości wcale o tym nie pomyślała, chociaż powinna tak zrobić. Otrzeptała pelerynę i zarzuciła ją na ramiona.

- Nie mogę ci ufać. Jeżeli dogonisz Ansona, możesz z zadróżki zrobić mu krzywdę.

Było to poważne oskarżenie i Emily spodziewała się, że

Jake zaprzeczy. Jednak nie usłyszała zaprzeczenia. Jake powiedział tylko:

- Chytra jesteś.

I minął ją.

Podszedł do jej torby podniósł ją, a potem odwrócił się, wyciągając rękę.

- Idziemy?

Znajdowali się w szerokiej dolinie. Nagie drzewa rosły tu wzdłuż potoków i prawie zasłaniały wzgórze widoczne w oddali. Na prawo drzewa rosły gęściej, co świadczyło o tym, że tędy płynie rzeka. Emily szukała wzrokiem jakiejś farmy, ale nie spostrzegła żadnych domów, choć były tu pola uprawne.

- Czy wrócimy do Americus piechotą? To chyba z pięć mil!

- A więc twoje codzienne spacerowanie na coś ci się przydadzą. Masz wprawę w marszach, prawda?

Wciąż czekał, by się do niego przyłączyła. Uczyniła to z ociąganiem. Objął ją i tak ruszyli przez prerię wzdłuż torów.

A więc zrobiła to po raz drugi- Po raz drugi skoczyła - tym razem w sensie dosłownym - zanim zdążyła się zastanowić. Zrobiła to, lecz cóż innego jej pozostawało? Nie mogła przecież po prostu wrócić do domu, tak jak sugerował Jake. Gdy opuścił pociąg mogła pojechać do Denver. Bała się jednak, że Anson nigdy się tam z nią nie spotka.

Szła pogrążona w zadumie i po pewnym czasie złapała się na tym, że się uśmiecha.

- Zaskoczyłam cię.-, prawda? Tym skokiem z pociągu.

- Żaden twój postępek nie może mnie zaskoczyć.

- Może i nie. A jednak zaskoczył.

- Tylko na moment.

Szli dalej w milczeniu. Emily wpatrywała się w nierówny grunt pod nogami. Każdy krok sprawiał jej trudność. Po nocnym marszu mięśnie nóg miała zmęczone i sztywne. A ból pięty wskazywał na to, że pękł pęcherz, którego się wtedy nabawiła.

- Wydaje mi się, że coś słyszę. W pobliżu musi być droga

- powiedział Jake.

Do uszu Emily także dobiegały jakieś dźwięki. Z tyłu, zza ich pleców. Przypominały odgłosy walki kogutów.

Jake zmusił ją, by przypadła do ziemi w chwili, gdy pomiędzy drzew wyjechał wóz.

- Śpiewają - szepnęła, zakrywając sobie usta dłonią i tłumiąc śmiech.

- Są pijani - poprawił ja Jake.

- Mogliby nas podwieźć!

Chciała wstać, ale Jake przyciągnął ją do ziemi.

- Mnie mogliby podwieźć. Ale nie ciebie. Ty nie pojedziesz wozem pełnym pijaków.

- Przecież nie zostawisz mnie tutaj?

- Oczywiście że nie!

Najwyraźniej go obraziła.

Po chwili Emily zaryzykowała i spojrzała w stronę wozu. Droga biegła w pewnej odległości, a ona z dołu widziała ponad wysoką trawą tylko głowy jadących. Nic nie wskazywało na to, że ci ludzie zauważają ją i Jake'a. Robili bowiem tyle hałasu, że mogliby zagłuszyć atakujących Indian.

- Możemy usiąść wygodnie. I tak nas nie zobaczą - powiedziała.

Jake również usiadł.

- Powiedział ci, że jest poszukiwany, bo dokonał napadu rabunkowego? - zapytał.

Nie musiał przy tym wyjaśniać, kogo ma na myśli.

Emily najpierw podciągnęła nogę i rozwiązała sznurowadło.

- Powiedział, że policja się na niego uwzięła. Czy powinienś zajmować się tą sprawą? Czy przypadkiem nie wykacza to poza twoje obowiązki?

- Ścigany człowiek pojawił się w moim hrabstwie. Ruszyłem więc za nim w pościg, żeby go aresztować.

- Aha. A dlaczego go nie aresztowałeś?

Zdjęła but, próbując nie urazić się w obolałą piętę. Na pończosze była zaschnięta krew. Emily odciągnęła pończochę od skóry i zaraz pomyślała, że źle robi. Palce u nóg miała zimne, a pięta była rozpalona. Włożyła but, zdecydowana nie zwracać uwagi na ból. Zawięzała sznurowadło.

- Jake?

Gdy spojrzała na niego, odwrócił głowę. Skulony obserwował wóz. Okrzyki pijanych cichły w oddali.

- Zaraz przejadą na drugą stronę potoku i znikną nam z oczu - powiedział.

- Czy nie moglibyśmy odpocząć trochę dłużej?

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Przecież dopiero wyruszyliśmy.

- Chcę, żeby Anson miał więcej czasu.

Jake wstał z gniewnym pomrukiem. Emily, już stojąc, zobaczyła jeszcze, jak wóz znika między drzewami. Ruszyli w tamtą stronę. Jake wziął wszystkie torby. Emily domyśliła się, że za drzewami znajduje się miasto Americus.

Jake wziął ją za łokieć. Nie była pewna, czy chce, by szła szybciej, czy może zauważył, że kuleje. Wydawało się jej, że idą teraz wolniej. Bliskość Jake'a działała na nią uspokajająco. Nie chciała tego psuć żadnymi słowami, więc milczała.

Jake zwolnił kroku, żałując, że nie może nic poradzić na obtartą piętę Emily. Co prawda, mógłby chwycić ją w ramiona i nieść, ale przecież nie przez całą drogę.

Nie powinien jej współczuć. Przecież sama chciała tej ucieczki. Nie prosił jej, żeby wyskoczyła z pociągu. Zapewne do końca życia nie zapomni swojego przerażenia na widok jej torby i peleryny leżących przy torach. Pomyślał wtedy, że pod peleryną znajduje się jej nieruchome ciało. Teraz chwycił ją mocniej za łokieć, pragnąc czuć, że jest przy nim.

Ulęgę, jaką odczuł na widok całej i zdrowej Emily, ukrył pod maską gniewu. Nietrudno było zresztą gniewać się na Emily, bo ona nigdy mu niczego nie ułatwiała. Gdyby zrobiła, jak jej kazał, on byłby już zapewne w Americus. Choć trzeba przyznać, że jej towarzystwo jest lepsze od towarzystwa tamtych pijaków.

Gdy doszli do potoku, pomógł jej wejść na niewielką pochyłość, a potem na tory. Musieli przejść przez nie na drugą stronę. Jake puścił Emily i zaczął stąpać ostrożnie, tak żeby obcas nie uwiązał mu między podkładami. Ona natomiast, na swych drobnych stopkach, przeskakiwała zręcznie z podkładu na podkład.

- Czy pamiętasz, jak w dzieciństwie poszliśmy do cyrku?
- zapytała.

Obejrzał się i zobaczył, że idzie po szynie, z rękami wyciągniętymi w bok, dla utrzymania równowagi.

- Emily!

Ruszył w jej stronę, ale jej nie dotknął. Peleryna, zapięta tylko pod szyją, rozchyliła się i powiewała.

- Chciałam wtedy chodzić po linie - powiedziała.

Szedł obok niej, gotowy jej pomóc, gdyby się zachwiała lub potknęła.

- Chciałam wykonywać ćwiczenia na trapezie. Chciałam robić wszystko.

- Pamiętam, że próbowałam stanąć na grzbiecie konia.

- Bałam się go puścić i wyprostować.

- I Bogu dzięki.

Roześmiała się, jak zawsze, kiedy on się martwił. Pomyślał, że nigdy nie będzie należała do niego, bo pragnie silnych podniet, takich, jakich mógł jej dostarczać Anson.

Jake patrzył na jej twarz, podczas gdy ona skupiła uwagę na szynie. Nie chciał dostarczać jej podniet, pragnął ją chronić, osłaniać. Gasić jej zapał. Nic więc dziwnego, że tak często się na niego złościła.

Gdy w końcu znaleźli się po drugiej stronie potoku, Jake zaczął iść o kilka kroków za Emily. Zatrzymała się w pewnym momencie, rozejrzała naokoło i jęknęła.

- Wyobrażałam sobie, że zaraz za potokiem będzie Americus. A tymczasem nic podobnego.

Jake roześmiał się.

- Biedna Emily. Nie cieszy cię twoja przygoda?

Wiatr wiejący od strony drzew był przejmująco zimny, Jake pomógł więc Emily otulić się peleryną, pomógł jej też włożyć kaptur. Przesunął przy tym palcami po jej włosach. Wziął ją znowu pod ramię i ruszyli naprzód.

- To jest prawdziwa przygoda. Pomyśleć tylko: dwaj

mężczyźni usiłują mnie skłonić, abym pojechała w dwóch różnych kierunkach, a kończy się na tym, że maszeruję przez prerię.

- A powiedz mi... gdyby nie ja - podjął wątek Jake - to dokąd byś teraz zmierzała?

- Nie powiem ci.

- No cóż, musiałem spróbować to z ciebie wydobyć.

Milczeli przez kilka minut, a potem Emily zapytała:

- Czy obchodziłoby cię, czy Anson zostanie złapany, gdybym ja nie próbowała z nim uciec?

Jake zdecydował się na ostrożną odpowiedź.

- Gdyby sprawa nie dotyczyła twojej rodziny, to prawdopodobnie nic bym o niej nie wiedział - stwierdził.

- Nie rozlepiono plakatów zawiadamiających, że jest poszukiwany?

- Nie.

Dlaczego ona nie zamilknie?

- Więc dlaczego nas śledziłeś? Nie mogłeś nam po prostu pozwolić odjechać?

W jej pytaniu, będącym właściwie prośbą, brzmiała też ciekawość. Emily chciała się dowiedzieć, co Jake myślał, gdy wskakiwał do pociągu.

- Posłuchaj, Emily, nie mogłem pozwolić ci z nim odejść. On by cię zranił. To było dla mnie ważniejsze niż złapanie Berkeleya.

- Wiedziałam! To idiotyczne oskarżenie to tylko pretekst. Być może wymyślony przez moją rodzinę. A ty jesteś taki jak oni. Dlaczego wy wszyscy nie pozwolicie mi żyć tak, jak chcę?

Odwróciła się do niego plecami i poszła naprzód. A on

patrzył, jak maszeruje zdecydowanym krokiem. Pomyślał, że takie tempo nie posłuży obtartej pięcie. Wiedział o tym dobrze, bo jego własne buty tak samo nie nadawły się do marszu, jak jej trzewiki. Gdy zauważył, że utyka, zrównał się z nią.

- Odpocznijmy trochę - zaproponował.

- Szkoda, że nie napiłam się wody z potoku - powiedziała, opierając się o niego i siadając na ziemi. - Jak myślisz, ile już uszliśmy?

- Pewnie z milę.

Jęknęła i położyła się na wznak.

- Może powinniśmy iść bliżej drogi i być mniej wybredni, jeżeli chodzi o towarzyszy podróży.

Droga była pusta od chwili, gdy zniknął tamten wóz. Szli wystarczająco blisko, by zwrócić na siebie uwagę jadących, gdyby budzili zaufanie. Gdyby szli bliżej drogi, nie schowaliby się przed podejrzanymi typami, którzy mogliby się zainteresować Emily. Dlatego Jake wołał iść w takiej odległości jak dotychczas.

Rozglądając się, zauważył, że na północ od nich leży farma. Chcąc tam zajść, musieliby trochę zboczyć. Jeżeli jednak Emily boli noga, to powinni to zrobić i poprosić o pomoc.

- Na farmie na pewno dostaniemy wodę - powiedział.

- Na farmie?

Emily rozejrzała się. A potem pobiegła wzrokiem za wskazującym palcem Jake'a. Wznosiła się tam w powietrze smużka dymu.

- Ale to jest tak daleko jak do następnego potoku - zaprotestowała.

- To prawda. Niewykluczone jednak, że właściciel farmy zawiezie nas do miasta.

Zdaniem Jake'a do farmy była miła, jednak przez prerię i pola uprawne szli wolniej niż po ubitej ziemi w pobliżu torów. W ciągu trwającego pół godziny marszu mówili niewiele.

Gdy podeszli, Jake'a ogarnęły złe przeczucia. Zabudowania były w opłakanym stanie. Dach domu się zapadł, a drzwi wisiały krzywo na zawiasach. Na zarośniętym chwastami podwórku walały się połamane narzędzia.

Emily zatrzymała się, pełna obaw.

- Wygląda na to, że brak tu kobiecej ręki, prawda?

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Przynajmniej dostaniemy wody - powiedział, ruszając na przód. - Dzień dobry!

Zza domu wyszedł mężczyzna w obszarpanych spodniach i marynarce. Dźwigał drewno na opał.

- Czego chcecie? - zapytał, podchodząc do drzwi.

Jake spojrzał pytająco na Emily.

- Ja nie wejdę do środka - wyszeptała.

- Czy moglibyśmy się napić? - zawołał Jake, podchodząc bliżej i również nie mając ochoty przekraczać progu tego domu.

- Mam tylko tyle, żeby przetrwać zimę - brzmiała odpowiedź.

Jake zmarszczył brwi i spojrzał na Emily, a ona wzruszyła tylko ramionami.

- Ja mówię o wodzie - powiedział.

- A. Wodę to mam.

Mężczyzna wskazał im wiadro stojące koło drzwi.

- Napijcie się.

Jake patrzył na Emily, a ona z wahaniem podeszła do wiadra.

- Czy pan ma studnię? - zapytała.

- Nie. Przynoszę wodę codziennie z potoku - powiedział mężczyzna z dumą.

Emily zanurzyła dłoń, usunęła jakieś paprochy pływające po wierzchu, a potem się napiła.

- Dobra, prawda? - zapytał farmer.

- Pyszna.

Odwróciła się do niego plecami i wzniosła oczy do nieba, patrząc na Jake'a.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Jesteśmy panu bardzo zobowiązani - powiedział, pochodząc do wiadra. - Zastanawiamy się, czy moglibyśmy podjechać do Americus.

- Nie ma tu dylizansu - odpowiedział mężczyzna. - Za blisko do kolei.

- A czy pan nie mógłby nas podwieźć?

- Ja mam tylko muła - odrzekł mężczyzna.

Jake znów spojrzął na Emily. Wkładała właśnie rękawiczki, które wyjęła z torby.

- Nie mogę wam dać muła - mówił dalej farmer. - Potrzebny mi jest na farmie.

- A czy nie mógłby pan go nam pożyczyć? Ta pani jest bardzo zmęczona.

Emily trochę się zgarbiła.

- Wyrzucili was z pociągu, co?

- Niezupełnie - odrzekł Jake. - Ja ścigam podejrzanego, który wyskoczył z pociągu.

Odpiął płaszcz i pokazał mężczyźnie odznakę, mając nadzieję, że skłoni go tym do pożyczenia muła.

Mężczyzna roześmiał się.

- A ona też jest szeryfem? Nie. Po mojemu wyrzucili was z pociągu. Za bardzo się migdaliliście, co?

Jake pokręcił głową.

- Nic podobnego. Ja ścigam podejrzanego, a ona... no... ona mi towarzyszy.

- Jeżeli ma pan ochotę, to może ją pan zostawić tutaj.

Mężczyzna usiłował złapać kozę. Jake postanowił nie zwracać na to uwagi. Spojrzał na Emily. Wyglądała na wściekłą.

- Bardzo pana proszę, niech pan nam pożyczy tego muła. Zostawię go potem w Americus, a pan go będzie mógł odebrać.

- A jak ja się tam dostanę? Musiałbym iść piechotą. Dla mnie nie będzie to łatwiejsze niż dla was.

- Ale tą pani...

- Nie. To was nauczy, jak trzeba zachowywać się w pociągu. Ale możecie się jeszcze napić.

To powiedziawszy, mężczyzna odwrócił się i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi.

Emily zrobiła krok naprzód i skrzywiła się.

- Ukradnijmy tego muła.

Jake wziął ją za ramię i poprowadził w stronę drogi.

- No cóż, ty i Berkeley tworzycie dobraną parę.

Wyszarpnęła ramię.

- Jesteś niesprawiedliwy, Jake. Ja żartowałam.

Jake pomyślał, że i on żartował, jednak po zastanowieniu doszedł do wniosku, iż chyba mówił poważnie. Emily nie

chciała przyznać, że Berkeley jest przestępcą, a on chciał ją przekonać, że tak jest.

Może jednak nie powinien tego robić. Prawdopodobnie ona i tak nie chce przyjąć do wiadomości, że się omyliła co do Berkeleya. A na pewno nie powie tego głośno w jego obecności. Poza tym na dłuższą metę lepiej być z nią w dobrych stosunkach. Bo dzięki temu, nie słuchając, co prawda, głosu rozsądku, przynajmniej naprawi zło, które się dotychczas dokonało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy przechodzili przez niewielki most, mając w końcu przed oczami Americus, Emily była tak zmęczona, że szła oparta o Jake'a. Stawianie jednej stopy przed drugą wymagało od niej wysiłku i skupienia. Nawet widok ładnych domków nie dodał jej energii.

Od chwili gdy wyruszyli w drogę spod zrujnowanej farmy, prawie wcale za sobą nie rozmawiali. Każde z nich obawiało się bowiem, że jego słowa, jakiegokolwiek by były, rozgniewają to drugie. Emily nie bardzo wiedziała, skąd się u niej wzięło to wrażenie. Zresztą zmęczenie nie pozwalało jej zastanawiać się nad tym głębiej.

Na widok miasteczka Jake odzyskał energię. Gdy weszli na jego główną, szeroką ulicę, przyspieszył kroku. Emily uczyniła wysiłek, by rozejrzeć się wokół. Zauważyła dużo różnych sklepów, co jednak nie wzbudziło jej entuzjazmu, ponieważ była ledwo żywa.

Bardzo pragnęła, żeby Jake zwolnił kroku.

- „M.W.Gibson” - przeczytała głośno, próbując go do tego skłonić. - „Pogrzeby i Maszyny do Szycia”.

Ten szyld wydał jej się bardzo zabawny.

- Dlaczego nie napiszą „Trumny i Produkcja Ubrań”? - spytała i roześmiała się głośno.

Wiedziała, że jej śmiech brzmi histerycznie, ale to pogłębiało jeszcze absurdalność sytuacji.

- Nie, nie. Lepiej będzie: „Śmierć i Krawiectwo” - powiedziała znowu.

Usłyszała, że Jake się krztusi. Bardzo chciała, żeby roześmiał się w głos.

- „Sztynni i Szwy” - zasugerowała.

Jake pochylił się i wziął ją pod kolana. Ucichła, gdy poczuła, że przyciska ją do piersi. Jake tymczasem szedł dalej ulicą, niosąc ją w ramionach.

- O - powiedziała cicho z ustami przy jego szyi - to świetny pomysł. Szkoda, że nie wpadliśmy na niego dużo wcześniej.

Nie odpowiedział, a ona położyła mu głowę na ramieniu. W tym momencie coś zwróciło jej uwagę.

- Zatrzymaj się! - zawołała.

- Co się stało? - zapytał, odwracając głowę.

Jego usta znalazły się o cal od jej warg. Emily na moment zapomniała, co zaprzątnęło jej uwagę. Miała natomiast ogromną ochotę zakosztować tych ust. Patrząc na nie, oblizała swoje.

- Emily?

Jej twarz owionął jego oddech. Zadrzała.

- Emily?

Tym razem w głosie Jake'a było błaganie. Emily otrzeźwiała.

- Tam - powiedziała, wskazując palcem. - Czy to jest krowa?

Krowa pasła się spokojnie na pustej działce. Jake popatrzył na nią, a potem ruszył przed siebie.

- Tak - potwierdził.

- To dobrze - stwierdziła Emily, kładąc mu głowę na ramieniu - myślałam, że zwariowałam.

- Ja też tak myślałem - mruknął Jake.

Emily postanowiła nie zastanawiać się, co miał na myśli, i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero, gdy poczuła, że Jake wchodzi po schodach. Postawił ją przed pomalowanymi na biało drzwiami.

- Dutton House - oznajmił.

- To miła wiadomość - odrzekła.

Jake otworzył drzwi, a ona poszła przodem i opadła na pierwsze krzesło, które zobaczyła. Słuchała, jak Jake dźwięcznym głosem zamawia pokoje i ciepłą kąpiel. Chwilę potem zwrócił się do niej:

- Nasze pokoje są na górze.

Przez moment Emily pragnęła, żeby ją tam zaniósł. Zaraz jednak się podniosła. Jake wziął ją pod ramię i pomógł jej wejść na wąskie, słabo oświetlone schody. Otworzył drzwi w połowie korytarza i wstawił do środka jej torbę.

- Za parę minut przygotowują ci kąpiel, a potem przyniosą tacę.

Emily chwyciła go za ramię.

- Nie będziesz, już dziś ściągał Ansona, prawda? Nie zostawisz mnie tutaj?

Wydało jej się, że zanim odpowiedział, upłynęła wieczność. Była zdecydowana mu towarzyszyć, lecz wiedziała, że zmęczenie by jej na to nie pozwoliło.

- Nie - powiedział w końcu. - Mam zamiar sprawdzić, czy dziś po południu ktoś widział, jak Berkeley wysiada z pociągu. Dopóki się nie dowiem, w którą stronę się skierował, nie mogę go ściągać.

- Ale... ale jeżeli się tego dowiesz, to nie pojedziesz za nim dzisiaj?

- Emily...

- Proszę cię, Jake.

Gdyby znała jego myśli, byłoby jej może łatwiej przekonać go, żeby zaczekał i wziął ją ze sobą. Wpatrzyła się w jego twarz. W mdłym świetle lampy zielone oczy wydawały się czarne, jednak gdy na nią spojrział, pojawiła się w nich czułość. Emily poczuła, że serce bije jej szybciej, a ciało przebiega dreszcz. A potem zatoneła w jego spojrzeniu, zapomniała o całym świecie, była świadoma jedynie bliskości Jake'a, tak silnie, wręcz magnetycznie na nią oddziaływała.

Podniosła dłoń, by dotknąć jego ust, lecz w tym momencie on powiedział:

- Sprawdzę, czego będę się mógł dowiedzieć, i wrócę. Nie ruszę w pościg, nie zawiadamiając cię o tym.

To powiedziawszy, odwrócił się, otworzył drzwi po przeciwnej stronie korytarza i wstawił do pokoju swoje torby. A potem, kiwnąwszy w jej stronę głową, zbiegł po schodach.

Emily patrzyła za nim. Co tu się wydarzyło? Dlaczego jej ciało zareagowało w ten sposób? To na pewno zmęczenie zaćmiło jej umysł. Odwróciła się i weszła do swojego pokoju.

Był mały i dość szkaradny - z białymi ścianami i gołą podłogą. Było tu bardzo mało mebli i brakowało szafy, zamiast tego w ścianę wkręcono kilka haczyków. Jednak łóżko wyglądało wręcz zachęcająco.

Zaledwie Emily zdążyła zdjąć buty i pończochy, usłyszała pukanie. A potem do pokoju weszła kobieta z dużym czajnikiem w dłoni. Niosła także ręczniki. Za nią pojawił się chłopak z mosiężną wanną i dwie dziewczyny z kolejnymi czaj-

nikami. Gdy napełniały wannę, chłopak rozpalał ogień na kominku.

- Nazywam się Dutton, jestem właścicielką - wyjaśniła kobieta. - Kiedy pani sobie życzy kolację?

Emily, jakby w odpowiedzi na to pytanie, zaburczało w żołądku.

- Tak prędko jak to tylko możliwe - odrzekła, zbyt zmęczona, by się certować.

- Proszę bardzo, panienko.

Pani Dutton wyprowadziła swoich pomocników i zamknęła za sobą drzwi.

Z wanny unosiła się para. Emily rozebrała się szybko, niecierpliwiąc się, że musi zdejmować z siebie tyle warstw, a potem zanurzyła się cała. Westchnęła z ulgą, gdy gorąca woda zaczęła koić jej obolałe mięśnie.

Umyła się pospiesznie, namydlając włosy dwukrotnie, i zanurzyła się ponownie. Wanna była niewielka, ale ona zdołała usadowić się wygodnie, z głową opartą o krawędź. Właśnie zaczynała się odprężyć, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Z jej gardła wyrwał się jęk protestu.

- Kto tam? - zawołała.

- Przyniosłem kolację, proszę pani.

Emily zmarszczyła brwi. Nie miała ochoty tak prędko kończyć kąpieli.

- Proszę zostawić tacę pod drzwiami. Wezmę ją za chwilę.

- Dobrze, proszę pani.

- Aaach. Kolaaacja - mruknęła, odprężając się ponownie. - Jestem głodna jak wilk.

Jako wracał już do hotelu, załatwiwszy wszystko, co było konieczne. Po pierwsze, wysłał telegram do szeryfa. Prosił, by zawiadomił Christiana, że jego siostra jest bezpieczna. Następnie poszedł do lekarza po jakieś lekarstwo na obtartą piętę Emily. A potem prawie pół godziny zeszło mu na szukaniu kolejarza, który po południu pełnił dyżur na stacji. Trud jednak się opłacał.

Człowiek ten bowiem dobrze pamiętał Berkeleya. Okazało się, że pytał o najbliższy pociąg jadący na północ. Gdy się dowiedział, że będzie musiał czekać dwa dni, bo w niedzielę pociągi nie kursują, wpadł we wściekłość. Kiedy się uspokoił, zapytał, gdzie mógłby kupić konia. Dyżurny polecił mu pobliską stajnię.

Jake odszukał właściciela stajni i dowiedział się, co było dalej. Otóż Berkeley kupił konia i wyjechał z miasta, kierując się na zachód. Był to ostatni koń w tej stajni. Jej właściciel poradził Jake'owi, żeby spróbował w innej - tej należącej do Dutton House.

Zbliżając się do hotelu, Jake był bardziej pochłonięty myślami o Emily niż o koniu, którego chciał kupić, i o uciekinierze, którego ścigał. Nie powinien brać jej na ręce. Jednak przez całą drogę tak bardzo pragnął jej bliskości, że nie mógł się od tego powstrzymać. A potem, gdy odwrócił głowę i zobaczył, jak ona zwilża usta różowym językiem, przepadł z kretesem.

Tak bardzo pragnął ją pocałować. Nadal męczyło go to pragnienie. Przedtem, w hotelu, też omal jej nie pocałował. Jest to jeden z wielu powodów, dla których powinien odesłać ją do domu. W przeciwnym razie się nie powstrzyma. A jej się to nie spodoba.

A może powinien ją pocałować, jeżeli nie będzie chciała wrócić do domu? Pocałunek na pewno rozżłości ją tak, że postanowi się z nim rozstać. Wchodząc do stajni, Jake uśmiechał się szeroko. Kupił konia i siodło, a potem poszedł do Emily.

Pod jej drzwiami stała taca z kolacją. Zapukał cicho do drzwi, chcąc się dowiedzieć, czy Emily dobrze się czuje, ale równocześnie nie chcąc jej budzić, gdyby się okazało, że zasnęła. W pokoju panowała cisza.

- Emily? - powiedział Jake cicho, otwierając drzwi i zaglądając do środka.

I zamarł w progu. Emily rzeczywiście zasnęła, ale w kąpiele, z głową opartą o krawędź wanny. Błyszczące w blasku ognia włosy spływały prawie na podłogę. Jedną rękę trzymała na piersiach, jakby chcąc je zasłonić. Jednak wcale ich nie zasłaniała. Różowe koniuszki, ściągnięte od chłodu, naigrywały się z Jake'a.

Z całych sił starał się zwalczyć palącą pokusę. Nie może jej tak zostawić, bo się przeziębii. Nie może też jej obudzić, bo umrze ze wstydu. Spojrzał po raz ostatni na piersi, których nigdy nie zakosztuje, i wycofał się z pokoju.

Odetchnął głęboko, starając się opanować pożądanie. Postawił ciężko na ziemi jedną stopę.

- Emily! - zawołał i zapukał bardzo energicznie.

Usłyszał cichy okrzyk i plusk.

- Chwileczkę!

- Czy wszystko w porządku? - zapytał głośno, wyobrażając sobie równocześnie, jak ona wychodzi z wanny, jak po jej ciele spływają błyszczące strumyczki wody.

- Tak. Właśnie skończyłam się kąpać. Poczekaj.

Wyobraził sobie, jak Emily ręcznikiem wyciera bladą skórę, która różowieje w świetle podającym od kominka. I staje się taka jak koniuszki jej gładkich, miękkich piersi.

Zaczął przeklinać własną wyobraźnię. Jego ciało domagało się zaspokojenia. Schylił się i podniósł tacę, starając się bardzo, żeby wszelkie dowody pożądlivych myśli ukryły się pod płaszczem.

Emily otworzyła drzwi. Miała na sobie skromną koszulkę, na którą narzuciła pelerynę.

- Zimno ci? - zapytał Jake.

- Nie mam szlafroka - odrzekła.

Postawił tacę na stoliku obok łóżka.

- Wygląda na to, że jest tu dość jedzenia dla dwojga. - Emily usiadła na łóżku. - Przysuń sobie krzesło i pomóż mi jeść. Możesz mi też powiedzieć, czego się dowiedziałeś.

Odrzuciła pelerynę do tyłu, odsłaniając ręce i zaczęła robić sobie kanapkę z zimnej wołowiny i chleba.

Jake w tej chwili pamiętał tylko, jaki kolor mają koniuszki jej piersi. Otrząsnął się jednak i przysunął sobie krzesło. Spojrzał na szklanekę z zimną wodą, mając ochotę chlusnąć sobie w twarz.

- Czy ktoś widział Ansona? - zapytała Emily, podnosząc kanapkę do ust.

Jake z wysiłkiem oderwał wzrok od jej warg. No tak, Berkeley. Myśli tylko o tym łotrze.

- Tak - potwierdził, starając się ukryć gorycz. - Berkeley kupił konia i pojechał na zachód.

- Więc my zrobimy to samo - oznajmiła z pełnymi ustami.

- Ja rzeczywiście to zrobię.

Wziął sobie kawałek mięsa, starając się na nią nie patrzeć.

- Ale ja chcę pojechać z tobą.

- Wiem, że chcesz - powiedział łagodnie. - Podróż będzie dla ciebie zbyt męcząca. Nie wiem, co on zamierza i ile czasu zajmie mi pogoń. Powinnaś wrócić do domu.

Emily ugryzła kanapkę i pokręciła głową. Zachowywała się tak, jakby wiedziała, że on skapitułuje. To sprawiło, że Jake stał się bardziej stanowczy.

- Jutro pociągi nie kursują - dodał, pochylając się w jej stronę. - Możesz tu zostać, spać, czytać, spacerować i liczyć mleczne krowy.

- Mleczne krowy? - powtórzyła. - To jest ich tutaj więcej?

- Jest ich pełno w całym mieście - odrzekł. - W miasteczku znajduje się wytwórnia serów, więc każdy trzyma kilka krów i sprzedaje mleko do wytwórni.

Emily roześmiała się, wręczając mu kanapkę, którą dla niego przygotowała.

- To brzmi wspaniale, ale ja wolę jechać z tobą.

Pomyślał, że nie powinien siedzieć z nią tutaj. Jej koszula była naprawdę skromna, zakrywała ją od szyi aż po kostki. Jednak była to koszula nocna, a to sprawiło, że Jake wyobrażał sobie Emily w łóżku - z ciemnymi włosami rozsypnymi na poduszce i ramionami wyciągniętymi w geście zaproszenia.

- Jake?

Dłoń wyciągnięta w jego stronę trzymała kanapkę. Obraz prysnął, a on został z niczym - cierpiący i zaskoczony własną głupotą.

Przez chwilę byłeś gdzieś daleko - zauważyła Emiły z uśmiechem.

Gdyby wiedziała, o czym myślał... Odchrząknął.

- W poniedziałek wsiądziesz w pociąg i wrócisz do Emporii. A stamtąd albo na ranczo, albo do domu, do Topeki. Sama zadecydujesz dokąd. Jeżeli nie chcesz być ze swoją rodziną, to możesz pojechać do rodziców Berkeleyya. Kiedy go złapię, zawiozę go do Topeki i tam się zobaczycie.

- Pozostawiasz mi wybór? Nie mogę w to uwierzyć.

Jake'owi wydawało się, że Emiły zaczyna się zastanawiać nad tymi możliwościami.

- Wybieram... podróż z tobą - powiedziała nagle.

Nie był zaskoczony.

- Nie zrobię mu nic złego, chyba że będę zmuszony się bronić.

- Wiem - odrzekła.

Uśmiechnęła się słodko, ale on wiedział, że nie oznacza to zgody.

- Mimo to chcę być z tobą w chwili, kiedy go dogonisz.

- Takiej możliwości nie przewiduję.

Spiorunowała go wzrokiem, a potem wróciła do jedzenia. Podzielili się szarlotką, a kiedy na tacy nic już nie zostało, Emiły zaniósł ją pod drzwi. Gdy się pochyliła, stawiając tacę na podłodze, Jake nie mógł się powstrzymać - podziwiał jej pupę.

Stanowczo musi ochłonać.

- Czy moglibyśmy zanieść tę wannę do mojego pokoju?
- zastanowił się na głos.

- Łatwiej byłoby zamienić się pokojami.

Spojrzał powątpiewająco na porozrzucane naokoło ubra-

nie, a potem na Emily. Roześmiała się i zaczęła zbierać części garderoby i zarzucać je sobie na ramię, nie zauważając, że niektóre powinna raczej schować.

- Zrobione. Widzisz?

Uśmiechnął się do niej, biorąc z łóżka pelerynę.

- Zdumiewasz mnie.

Wziął jej torbę i odprowadził ją do drzwi drugiego pokoju. Otworzył je, wstawił jej torbę, a wziął swoje bagaże.

- O, omal nie zapomniałem.

Wyjął z kieszeni małą buteleczkę.

- Lekarz powiedział, żebyś smarowała tym piętę. Przynajmniej cztery razy dziennie.

- Dziękuję - odrzekła, biorąc lekarstwo.

Jej uśmiech był serdeczny i słodki. Wzruszyła ją chyba ta troska. A on poczuł, że znowu jest podniecony. Odwrócił się, żeby wyjść.

Chwyciła go za ramię.

- Zobaczmy się jutro, zanim wyruszysz w drogę?

Pokręcił głową przecząco.

- Chcę wstać o świcie. A ty powinnaś się wyspać.

- Więc to jest pożegnanie?

Wydało mu się, że Emily pochyła się lekko w jego stronę. Ależ nie to wyobraźnia płatała mi figle, ponieważ to on sam pragnął być przy niej blisko.

- Do widzenia, Emily - rzekł krótko.

- Jake.

Cofnął się o krok. Nie może się do niej zbyt zbliżyć.

- Tak?

- Chyba będziesz musiał poprosić o gorącą wodę. Bo ta w wannie jest już zimna.

Kiwnął głową i zamknął drzwi, mrużąc do siebie:

- Mam nadzieję, że tak jest.

Emily obudziła się w środku nocy z ciałem rozgrzanym od snu. Śniła o Jake'u. Gdy już oprzytomniała, zdumiała ją wyrazistość tego snu.

- Widocznie zjadłam za dużo - mruknęła, obracając się na bok i usiłując ponownie zasnąć.

Jake.

Wczoraj wieczorem była gotowa pozwolić mu odjechać. Nie miała pewności, czy sama wróci na ranczo, czy do Topeki, ale wiedziała, że na podjęcie decyzji ma całą niedzielę. Jednak teraz myśl o powrocie do rodziny ją przygnębiała. Czy ma tam pojechać po to, żeby siedzieć w domu i czekać? Słuchać w milczeniu, co oni mówią? Jak ją potępiają? I zamartwiać się o przyszłość?

Anson, jeżeli uda mu się uciec, z pewnością pojedzie do Denver, spodziewając się, że ona tam się z nim spotka. Jeżeli natomiast dogoni go Jake, to będzie musiał wrócić do Topeki. Coś jej podpowiadało, że stanie się to drugie.

Czy będąc przy pojmaniu Ansona, byłaby w stanie przekonać Jake'a, żeby pozwolił im odejść? Może. Gdyby mu powiedziała, że nosi pod sercem dziecko Ansona. Tylko że Anson byłby tą wiadomością zaskoczony, a to mogłoby sprawić, że Jake uznałby ją za kłamstwo.

Emily przewróciła się na wznak. Bez względu na tu, czy jej plan by się powiódł, czy nie, wolałaby pojechać z Jakim. Nie chciała wracać do domu. Coś jej bowiem mówiło, że jeśli Anson zdołałby uciec, mógłby wcale nie pojechać do Denver, a gdyby dał się złapać, nie mógłby oczyścić się z zarzu-

tów. Dlatego jedynym wyjściem było wykorzystać Jake'a do odnalezienia Ansona, a potem namówić go, żeby pozwolił im odejść. Tylko to pozwoliłoby jej poślubić ojca swojego dziecka.

Ale to może osiągnąć jedynie pod warunkiem, że będzie towarzyszyła Jake'owi.

Wstała i po omacku zaczęła szukać torebki. Znalazła ją na komodzie, wyjęła zegarek i w słabym świetle księżycy sprawdziła, która godzina. Dziesięć po piątej. Jake wyruszy pewnie za godzinę.

Ze zdwojoną determinacją Emily włożyła na siebie dwie bluzki, w które była ubrana poprzedniego dnia, a do tego spódnicę do konnej jazdy. Wszystkie inne ubrania, z wyjątkiem peleryny, zapakowała do torby.

W korytarzu zatrzymała się na chwilę pod pokojem Jake'a. Z początku chciała tu na niego poczekać, ale zaraz pomyślała, że on z pewnością zacznie z nią dyskutować, używając tych samych argumentów co wczoraj. Nie, powinnam być gotowa do wyjazdu, a to oznacza, że musi zdobyć konia.

Zeszła po cichu na dół i rozejrzała się po pustym holu. Na kontuarze paliła się lampa, a obok niej stał dzwonek, którym mogli posługiwać się spóźnieni goście. Emily podeszła do dzwonka, lecz w tej samej chwili jej uwagę przykuł jakiś hałas.

Przeszła więc przez ciemną jadalnię i przekonała się, że hałas dobiega z następnego pomieszczenia. W szparze pod drzwiami widać było światło, a zza drzwi wydobywał się zapach jedzenia. Emily otworzyła te drzwi bardzo ostrożnie.

Buchnął na nią zapach smażonego boczku. Natychmiast poczuła, że żołądek jej się kurczy. Podniosła dłoń do ust, wycofując się do jadalni. Drzwi zamknęły się same. Oddychając głęboko, Emily opanowała mdłości.

Drzwi otworzyły się znowu i zapach zaatakował ją jeszcze raz. Tym razem mdłości zwyciężyły. Przebiegłszy przez jadalnię i hol, Emily wypadła z domu i wymiotowała pomiędzy krzewami rosnącymi przy schodach. Oparła się z jękiem o ścianę i czekała, nie wiedząc, czy żołądek się uspokoi, czy zbuntuje ponownie.

- Moje biedactwo - rozległ się z nią jakiś głos.

Emily obejrzała się i zobaczyła panią Dutton stojącą w drzwiach.

- Przepraszam - wyjąkała, a potem otarła sobie dłonią wilgotne czoło i zadrżała z zimna.

- Niech pani wejdzie do środka, moje dziecko.

Kobieta objęła ją za ramiona, pomogła jej usiąść na krzesło w holu i zamknęła drzwi.

- Wydawało mi się, że ktoś zajrzał do kuchni. A potem zobaczyłam pani torbę na podłodze. Nie miałam pojęcia, co o tym myśleć. Czy już pani lepiej?

Emily kiwnęła głową, nie mając pewności, czy rzeczywiście czuje się lepiej.

- Kiedy ma się urodzić dzieciątko?

Emily spojrzała na nią ostro.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że... Ja zawsze wymiotowałam, gdy rano zapachniało jedzenie. Czy ojcem jest ten miły młodzieniec?

Emily już miała powiedzieć, że wymiotuje, bo zjadła coś nieświeżego, ale zmieniła zamiar. Kobieta na pewno wiedzia-

łaby, że kłamie. Nie pamiętając, jakie było ostatnie pytanie, kiwnęła głową.

- Ale przecież on wynajął dwa pokoje.

Pani Dutton robiła wrażenie osoby próbującej rozwicknąć trudny problem.

- Zrobił to pewnie dlatego, że dba o pani reputację - stwierdziła po namyśle. - Skoro tak, to dlaczego kupił tylko jednego konia? - Pani Dutton poklepała Emily po ramieniu. - Kochanie, pani mężczyzna chce panią porzucić.

Emily spojrzała na nią i miała ochotę roześmiać się na widok jej oburzonej miny. Zaraz jednak pomyślała, że zamiast się śmiać, powinna raczej przyłożyć do oczu chusteczkę.

- Dlatego wstałam tak wcześnie - powiedziała. - Muszę kupić konia i przygotować się do drogi.

- To się nazywa mieć charakter! - pochwaliła ją pani Dutton. - Powiem mężowi, żeby wybrał najlepszego. Czy potrzebuje pani czegoś jeszcze? Może przyniosę szklanę wody?

- Chętnie się napiję.

Kobieta podreptała w stronę kuchni, a Emily złapała się za głowę. Nie miała zamiaru nikogo oszukiwać, jednak to kłamstwo rozwiązało problem. Przygotują jej teraz konia, a ona poczeka trochę, wsłuchując się w swój zbuntowany żołądek. Mdłości miną, wtedy zachce jej się jeść. Powie Jake'owi, że ze zmartwienia nie pomyślała o śniadaniu.

Wróciła pani Dutton, niosąc szklanę wody.

- Mąż przygotowuje konia. Przyjdzie i zawiadomi panią. Emily chciała wstać.

- Mam pieniądze w torbie.

Jednak pani Dutton posadziła ją z powrotem na krześle.

- Ja ją przyniosę. Proszę siedzieć.

Pani Dutton nie wracała przez dłuższy czas. Emily pomyślała więc, że pewnie poszła do kuchni. Zamknęła oczy i oparła się wygodnie. Nie wypoczęła dostatecznie po wczorajszym zmęczeniu.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak Jake wziął ją na ręce. Poczuła podniecający dreszcz, który zaraz ogarnął ją całą, od stóp do głów. Przez chwilę przypominała sobie, jak ciepłe było jego mocne ciało i jak pachniała jego skóra.

Pograżona w tych wspomnieniach, odetchnęła głęboko. Poczuła zapach nafty i słabą woń boczku. Żołądek znowu jej się skurczył. Zerwała się z krzesła i wybiegła na dwór. A potem reszta zawartości jej żołądka znalazła się na ziemi.

Jęknęła, opierając się o ścianę domu. Jak okropnie Pan Bóg żartuje sobie z kobietami - pomyślała.

Niepewnym krokiem wróciła na krzesło. Wypiła resztkę wody, chcąc pozbyć się gorzkiego smaku w ustach.

W parę minut później pojawiła się pani Dutton z jej torbą.

- Włożyłam tam małe co nieco na później - powiedziała.

- Da pani sobie radę?

- Tak - odrzekła Emily ochryplym głosem, ale zaraz odchrząknęła. - To zaraz przejdzie.

Pani Dutton uklękła obok niej.

- Kochanie, mogłabym poprosić męża, żeby porozmawiał z pani mężczyzną...

- Nie! - zawołała Emily i zauważyła wyraz zdumienia na twarzy pani Dutton. - To znaczy: nie, dziękuję. Wszystko będzie w porządku.

Mogła sobie wyobrazić reakcję Jake'a na słowa pana Duttona!

- Dobrze. Jak pani chce. - Poklepała Emily po ramieniu. - A teraz niech pani odpocznie, zanim pojawi się mój mąż.

Gdy odeszła, Emily zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, jak pan Dutton, z bronią w ręku, zarzuca Jake'owi, że porzuca w jego hotelu nieszczęsną kobietę. Jake uznałby ją wtedy za kłamczuchę. I właściwie nie myliłby się w tej ocenie.

Zastanowiła się, która jest godzina, ale nie chciało jej się szukać zegarka w torebce. Była pewna, że od jej wyjścia z pokoju upłynęło sporo czasu. Jake lada chwila zejdzie na dół i znajdzie ją tutaj. Wolałaby, żeby zastał ją w stajni, gotową do drogi. Bo to utrudniłoby mu dyskusję.

Włożyła pelerynę i wzięła torbę. Na dworze spojrzała z obrzydzeniem na cały bałagan, którego narobiła. Cięża to coś okropnego. Zadziwiające, że kobiety chcą przez to przechodzić więcej niż raz w życiu.

W stajni jakiś człowiek siodłał pięknego gniadego wałacha.

- Czy pan Dutton?

- Ach, to pani jest damą, która potrzebuje konia - powiedział mężczyzna i podszedł, żeby uścisnąć jej dłoń. - Czy ten się pani podoba?

- Wygląda na świetnego wierzchowca - odrzekła Emily i poklepała konia po szyi.

- Tak, to dobry koń. Pani towarzysz chciał go kupić, ale cena była dla niego za wysoka. Dla damy oczywiście trochę ją obniżę.

Emily uśmiechnęła się. Biedny Jake. Musi mu brakować gotówki. Zapłacił za oba pokoje i posiłek, a także za lekarstwo, a teraz ona dostanie lepszego konia. No cóż, gdy będą już w drodze, mogą się zamienić.

Pan Dutton podał cenę, która wydała jej się bardzo rozsądna. Wyjęła więc z torby zwitek banknotów i odliczyła żądaną sumę, dziękując Bogu, że nie oddała wszystkich pieniędzy Ansonowi.

- Czy nie będzie pani wygodniej poczekać w domu? - zapytał pan Dutton.

- Wolałabym zaznajomić się z moim nowym wierzchowcem.

- No dobrze. Proszę wsiadać. Dopasuję strzemiona.

Pan Dutton pomógł jej dosiąść konia i zajął się strzemieniem.

- Dokąd państwo jadą?

- Do Denver - odpowiedziała Emily bez zastanowienia.

- To bardzo daleko. Ciężka podróż dla młodej damy.

Zwłaszcza konno. Najlepiej by było poczekać na pociąg.

Pan Dutton, dopasowawszy jedno strzemie, wsunął w nie stopę Emily, a potem obszedł konia naokoło.

- Jake chciał, żebym pojechała pociągiem - powiedziała Emily, nie chcąc, żeby pan Dutton zaczął pouczać Jake'a. - Ale... ale po drodze... chcemy kogoś odwiedzić.

- O, to dobrze - odrzekł pan Dutton. - Powinniście się zatrzymać na kilka dni, żeby odpocząć. Moja Wilma, gdy oczekiwała maleństwa, nie miała siły nawet iść do sklepu. A o takiej podróży przez pół kraju nie mogło być mowy. Pamiętam, jak pewnego razu...

W drzwiach stajni zamajaczyła wysoka postać. Emily nie

usłyszała zakończenia opowieści pana Duttona. W chwili gdy Jake zbliżał się do niej powoli, w jej głowie brzmiały powtarzające się słowa: „Gdy oczekiwała maleństwa”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie powinien się dziwić, widząc Emily w stajni na grzbiecie drogiego wałacha. Jednak był zaskoczony.

Pan Dutton, zauważywszy wreszcie, że Emily przestała go słuchać, przerwał swoją opowieść.

- Osiodłam pańskiego konia w jednej chwili - zwrócił się do Jake'a.

Gdy się oddalił, Jake podszedł do Emily. Już miał ją zapytać, co właściwie tutaj robi. Powstrzymał się jednak, bo przecież bardzo dobrze znał odpowiedź na to pytanie. Emily była krnąbrna i uparta. Chciał jej zabronić tego wyjazdu, lecz wiedział, że to na nic. Nie mógł jej niczym przekupić ani niczym zagrozić. Był całkiem bezsilny. Nie miał nad nią żadnej, ale to żadnej władzy.

Uświadomiwszy sobie to wszystko, zapytał w końcu:

- Czy dobrze spałaś?

Odczuwał przy tym satysfakcję, myśląc, że ona nie spodziewała się takiego pytania.

- Niezbyt - odrzekła.

- To niedobrze - powiedział i zaraz dodał: - A może to z powodu wyrzutów sumienia?

Podniósł jej torbę z ziemi i przytoczył ją do siodła. Sprawdził długość strzemion, poprawiając jedno z nich. Ileż razy wykonywał te czynności na ranczu jej brata!

Pogładził jej konia po szyi. Wałach stał bez ruchu, co było dobrym znakiem. Zapowiadało bowiem, że Emily będzie miała spokojną jazdę.

Jake podniósł wzrok i przekonał się, że Emily go obserwuje. Światło latarni padało na jej twarz - bladą i mizerną. Jednak z pewnością nie z powodu jego uwagi na temat wyrzutów sumienia.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytał.

Kiwnęła głową w milczeniu.

W tej chwili obok nich pojawił się pan Dutton, prowadząc prawie białą klacz, którą kupił Jake.

- Oto ona, proszę pana. Jak już panu mówiłem, siodło jest trochę podniszczone. Mimo to sędzę, że będzie dobrze panu służyło.

- Dziękuję. - Jake ujął w dłonie wodze, a potem zarzucił na grzbiet klaczy swoje torby i przymocował je do siodła.

- Napełniłem menażkę, tak jak pan sobie życzył. Przyniosłem też drugą dla pani.

Jake patrzył, jak pan Dutton uśmiecha się do Emily, wręczając jej mokrą menażkę. Wziął swoją, mamrocząc słowa podziękowania.

- Jak już mówiłem pięknej pani - ciągnął pan Dutton - nie ma to jak rodzina. Tak, proszę pana. Wspaniale jest patrzeć, jak maluchy rosną. I mieć żonę. Swoją własną żonę.

Jake spojrzał na niego z ukosa. Dziwne rzeczy mówi ten człowiek. A może... może to dlatego, że przedtem dowiedział się czegoś od Emily?

- Proszę ode mnie podziękować żonie - odezwała się Emily, a jemu wydało się, że swoimi słowami próbuje zmusić Duttona do milczenia.

Jake dosiadł swojego konia.

- Gotowa? - zapytał.

Gdy Emily kiwnęła głową potakująco, ruszył z miejsca i przez wysokie wrota stajni wyjechał na cichą ulicę. Świtało. Pograżone w cieniu domy i nagie gałęzie zaczynały nabierać barw w nikłym świetle wschodzącego słońca. Panował chłód, lecz nie był to przejmujący chłód śnieżnej zimowej burzy. Pogoda, jak dotąd, zdecydowanie im sprzyjała. Jake zaczekał, aż Emily go dogoni, a potem ruszył ulicą prowadzącą do bitego traktu biegnącego na zachód.

- Gdybyś miała choć kroplę oleju w głowie, spałabyś teraz spokojnie. - Nie mógł sobie odmówić tej uwagi.

- No cóż - odrzekła - nikt nigdy nie twierdził, że mam olej w głowie. Pewnie dlatego jestem z tobą.

Jake żałował, że nie widzi zasłoniętej kapturem twarzy Emily. Zastanowił się, czy ukryła ją, by ochronić się przed chłodem, czy też może po to, by on nie dostrzegł jej miny.

Emily nie podtrzymała rozmowy, więc zostawił ją jej własnym myślom. Tym bardziej że on sam miał się nad czym zastanawiać. Ścigał oto uciekiniera, którego z łatwością już wczoraj mógł aresztować. Nie uczynił tego za sprawą kobiety, która jechała konno u jego boku. Być może on też nie ma ani kropli oleju w głowie.

Kilka mil za miastem przepawili się wpływ przez rzekę. Potem zsiadli z koni, żeby je napoić i trochę odpocząć. Woda była bardzo zimna, więc Emily własnym szalem wytarła koniom nogi. Jake patrzył na to nieco zaskoczony.

Przywiązawszy zniszczony szal do siodła, Emily zapytała:

- Skąd mamy pewność, że jedziemy za Ansonem? Przecież on mógł skrócić.

- To dobre pytanie. Myślę, że podjedziemy do pierwszego napotkanego domostwa i zapytamy, czy ktoś nie widział Berkeleya. Jeżeli okaże się, że nie, będziemy pytać w kolejnych, aż się dowiemy, w którym kierunku podążył.

Emily podniosła głowę, żeby spojrzeć na Jake'a. Kaptur zsunął jej się na plecy, ukazując błyszczące w słońcu włosy.

- A on tymczasem odjedzie już daleko - zauważyła.

- Ale będzie się musiał gdzieś zatrzymać. Muszę cię ostrzec, że cały ten pościg może potrwać kilka tygodni, a nawet miesięcy.

Emily otworzyła szeroko oczy. Jake pomyślał, że powinien jej teraz powiedzieć prawdę. Że gdyby tak rzeczywiście było, to on zrezygnowałby z pościgu. Berkeley nie był wart takiego zachodu. Nie powiedział tego jednak, bo chciał, żeby Emily wróciła do domu. Miał nadzieję, że perspektywa długiej pogoni za Ansonem ją do tego skłoni.

- Więc lepiej już jedźmy - orzekła Emily, wkładając stopę w strzemię.

Jake z ciężkim westchnieniem pomógł jej, a potem sam dosiadł swojego konia. Powinien wiedzieć, że Emily niełatwo się zniechęca.

Przez następne pół godziny Emily myślała o tym, czego dowiedziała się od Jake'a. Przedtem wyobrażała sobie, że bardzo szybko dogonią Ansona na szlaku. Teraz uświadomiła sobie, jaka była głupia. Mimo to musi odnaleźć Ansona. Zdawała sobie równocześnie sprawę, że im dłużej potrwa pościg, tym trudniej będzie namówić Jake'a, żeby pozwolił im obojgu spokojnie odjechać.

Znaleźli się na wzgórzu i dostrzegli przed sobą małe mia-

steczko. Gdy do niego wjechali, Emily rozejrzała się ciekawie. Wszystkie sklepy były zamknięte, niektóre nawet zabite deskami. Jest niedziela, przypomniała sobie. Jednak to nie wyjaśnia sprawy do końca.

- Gdzie są ludzie? - zastanowiła się głośno.

- Moim zdaniem wszyscy przeprowadzili się do Americus, kiedy zbudowano drogę - odrzekł Jake. - Ale, ale, ktoś tu jest.

Podjechał w stronę szopy, z której wyszedł właśnie jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry - zawołał.

Mężczyzna pomachał im ręką i podszedł bliżej.

- W czym mogę państwu pomóc? - zapytał.

- Czy widział pan może młodego człowieka... - zaczął Jake, zsiadając z konia.

Emily także zsiadła, chcąc rozprostować nogi.

- Mógł tędy przejeżdżać wczoraj po południu - mówił dalej Jake. - Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, jest średniego wzrostu, szczupły, o prostych jasnych włosach. Ubrany w ciemnoszary płaszcz i jasnoszary kapelusz. Dosiada czarnego wałacha z białą gwiazdką. Prawdopodobnie się spieszy.

Usłyszawszy ten szczegółowy opis, Emily była nieco zdziwiona. No, ale Jake to w końcu stróż prawa - pomyślała zaraz. Zdjęła rękawiczki i otworzyła swoją dywanikową torbę, po czym wyjęła z niej jedzenie, które zapakowała pani Dutton. Poranne mdłości minęły już jakiś czas temu, mogła więc teraz coś zjeść.

- Rzeczywiście, przejeżdżał tędy ktoś taki - odrzekł mężczyzna. - I pojechał dalej. Ta droga kończy się tam, przy

omentarzu, ale mnie się zdawało, że on chce się tamtędy dostać na jedno z rancz.

- Bardzo jesteśmy panu wdzięczni za tę informację - powiedział Jake.

Gdy się odwrócił, by dosiąść konia, zauważył, co robi Emily.

- Chyba trochę za wcześnie na obiad, nie sądzisz?

Emily zamarła, podnosząc do ust kawałek boczku.

- Ale akurat dobra pora na śniadanie - odparła, po czym ugryzła kawałek i zapytała:

- Chcesz?

- Nie, dzięki.

Jake podszedł do niej i przymocował jej torbę do siodła.

- Czy możesz jeść, jadąc?

- Oczywiście.

Wręczyła mu kanapkę i włożyła nogę w strzemię.

Chciała mu pokazać, że potrafi sama dosiąść konia, ale on, trzymając kanapkę w lewej dłoni, prawą ręką pomógł jej usadowić się w siodle. Po czym oddał jej kanapkę. Chwyciła go za rękę, zanim zdążył ją cofnąć.

- Ja nie próbuję opóźnić pościgu, Jake - zapewniła go.

Kiwnął głową, lecz ona z wyrazu jego oczu wyczytała, że przyjmuje jej zapewnienie nieco sceptycznie. Starła się nie czuć z tego powodu urazy. No bo, rzeczywiście, z jakiego powodu on miałby jej wierzyć? Gdy Jake wsiadł na konia, podjechała bliżej. Znaleźli się tuż obok siebie. Na głównej ulicy zabrała się do jedzenia.

- Czy pani Dutton dała ci śniadanie? - zapytała Emily między jednym kęsem a drugim.

- Można to tak nazwać.

- Nie było smaczne? Bo moje jest pyszne.

- Jedzenie było w porządku, ale ona zachowywała się niezbyt przyjaźnie. Co ty jej powiedziałaś?

Emily spojrzała na niego z ukosa, starając się udawać, że jest bardzo spokojna.

- Nie wiem, o czym mówisz - odrzekła.

- Akurat.

Jake popędził konia. Wjeżdżali właśnie pod górę i Emily omal nie straciła ostatniego kawałka kanapki, gdy jej koń ruszył z kopyta, starając się dotrzymać kroku klaczy Jake'a.

- Nie jestem odpowiedzialna za wnioski, do jakich doszli państwo Dutton - oznajmiła.

A potem, widząc jego uniesione pytająco brwi, dodała:

- Jakiegokolwiek by one były.

Jake roześmiał się. Ten śmiech zabrzmiał bardziej cynicznie, niż się mogła spodziewać. Przypomniawszy jej także, że do zeszłego tygodnia nie widzieli się przez długi czas. Ona sama w tym czasie dorosła. Było oczywiste, że i on się zmienił. Pomyślała nagle, że chciałaby się dowiedzieć, jak wygląda jego obecne życie. Zanim jednak zdążyła go o to spytać, on powiedział:

- Być może nie okłamałaś państwa Dutton, jednak założę się, że wiedziałaś, co oni myślą i nie zrobiłaś niczego, żeby wyprowadzić ich z błędu.

Spojrzał na nią w taki sposób, że nie śmiała zaprzeczyć. Zamiast tego powiedziała, naśladowując głos pani Dutton:

- Co z niego za mężczyzna, jeżeli porzuca damę wśród obcych?

Po czym pokręciła głową i cmoknęła, tak jak jej zdaniem cmoknęłyby pani Dutton. Nie chciała, żeby Jake przypomniał

sobie uwagi na temat życia rodzinnego wypowiedziane przez pana Duttona.

Połknęła ostatni kęs, otrzepała dłonie z okruchów i włożyła rękawiczki, po czym, ująwszy wodze, rozejrzała się wokół. Jechali teraz ponad doliną rzeki, w krainie surowszej niż ta, która otaczała ranczo jej brata. Wzdłuż potoków rosły tutaj drzewa, ale poza tym wszędzie rozciągała się zimowa martwa preria. Posuwali się na zachód kompletnym bezdrożem.

Jeżeli Anson przejeżdżał tędy, to musiał się czuć rozpaczliwie samotny - pomyślała Emily. Starąta się wypatrzeć jakiegokolwiek oznaki życia i zobaczyła smużkę dymu nad szczytem jednego ze wzgórz.

- Założę się, że Anson pojechał tam - powiedziała, wskazując dym palcem.

- Ja też tak sędzę - odrzekł Jake. - Na pewno szukał miejsca na nocleg.

- Ty też rozglądałeś się za dymem? - zapytała.

- Tak. Rozglądałem się za czymś, co mogło wskazywać, że może tu być farma albo ranczo.

- Czy przedtem ścigałeś kiedyś kogoś podejrzanego o przestępstwo? - zapytała Emily po dłuższej chwili.

- Parę razy, ale nigdy w tak czarującym towarzystwie.

Wiedziała, że się z nią droczy, ale się uśmiechnęła.

- Opowiedz mi, jak to jest być stróżem prawa.

Jake przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem.

- To jest coś, co zawsze chciałem robić. Zawsze, od dzieciństwa.

Nie dodał, że jest to coś, czego nie chce robić do końca życia. Emily pragnęła, by ją swoim opowiadaniem zabawił,

więc z pewnością nie chciałyby słyszeć o żadnych rozczarowaniach.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Zawsze myślałam, że będziesz hodował konie. Tak jak Christian.

- No cóż, przyznaję, że trochę mi tego brakuje. A nie mówiłem o tym chyba dlatego, że nie sądziłem, bym kiedyś opuścił ranczo.

Dopóki nie zdał sobie sprawy, że wyrosła na piękność, której nigdy nie zdobędzie. Wtedy musiał odejść.

- No więc jak to jest? Czy już kogoś zastrześliłeś?

Jake udał, że nie słyszy ostatniego pytania. Nie chciał mówić o tym jednym, jedynym człowieku, którego zabił.

- Właściwie to wszystko jest trochę nudne - powiedział.

- Czasami wzywają człowieka, by wysłuchiwał żalonych kłótni między sąsiadami. Jednak niekiedy ma się poczucie, że się komuś pomogło.

Gdy wjechali na szczyt najbliższego wzgórza, okazało się, że dym unosi się zza następnego.

- Teraz zapewne się nudzisz - domyśliła się Emily. - Opowiedz mi, w jaki sposób pomagałeś ludziom.

Jake uśmiechnął się.

- Posłuchaj, jeżeli już się znudziłaś, to nie wytrzymasz tego pościgu, bo, jak wiesz, może potrwać całe tygodnie.

Emily wzruszyła ramionami.

- No dobrze.

Z począdku chciał jej opowiedzieć, jak pomógł temu małżeństwu, którego koń zgubił podkowę. Zaraz jednak uświadomił sobie, że nie działał wtedy jako zastępca szeryfa. Opowie Emily o czymś innym.

- W zeszłym tygodniu uratowałem kota. Zdjąłem go

z drzewa. - Próbował zachować powagę, gdy Emily wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, dla ciebie to pewnie nic, ale pewna mała dziewczynka była pod wrażeniem mojego wyczynu.

- No oczywiście! I napisali o tym w gazetach? Już widzę te tytuły: "Bohaterski zastępca szeryfa ratuje biedne zwierzę".

Jake pokręcił głową.

- Droga Emily, jak nie szukam sławy - powiedział dramatycznym tonem. - Ja tylko chcę służyć.

To wywołało kolejny wybuch śmiechu. Gdy zjeżdżali w dół, w stronę rancza, Jake próbował sobie przypomnieć kolejne historie, które mogłyby rozśmieszyć Emily. A równocześnie przez cały czas pragnął jej opowiedzieć o swoich marzeniach.

Zbliżali się stopniowo do rancza, które Emily widziała coraz lepiej. Zbudowany z kamienia dom nie był tak duży jak dom Christiana, ale dość okazały. Patrząc na niego, można było mieć pewność, że jego właścicielom dobrze się powodzi. Pozostałe zabudowania były porządne i zadbane.

Między Emily a Jakiem od pewnego czasu panowało milczenie. Zniknęła też chwilowa bliskość, którą Emily czuła, gdy się razem śmiali. Wkrótce dowiedzą się, czy Anson tędy przejeżdżał.

Gdy wjechali na podwórze, z domu wyszedł młody człowiek w wieku Emily i pozdrowił ich grzecznie. Za nim ukazała się para starszych ludzi.

- Dokąd prowadzi droga? - zapytał młodzieniec, pomagając Emily zsiąść z konia, po czym stanął tak blisko, że musiała cofnąć się o krok.

Jake zsiadł ze swojego wierzchowca i podszedł do dwojga starszych ludzi.

- Chcemy kogoś dogonić - powiedział, po czym bardzo dokładnie opisał Ansona.

Starsi ludzie pokiwali głowami.

- To Eldon Starky - powiedziała kobieta. - Przenocował u nas. Bardzo miły młodzieniec.

Emily zerknęła na Jake'a, chcąc się przekonać, jak zareaguje na te słowa. Przyjemnie jej było słyszeć, że Anson jest miły, jednak cały efekt popsuł fakt, iż podał zmyślane nazwisko.

Jake nie spojrzał na Emily, tymczasem młody człowiek patrzył na nią z nieukrywanym zachwytem. Emily zostawiła swego wałacha w jego rękach i podeszła szybko do Jake'a.

- Słyszałaś, kochanie? - powiedział Jake, obejmując ją ramieniem. - Od Eldona dzieli nas mniej niż pół dnia.

Wydawał się zadowolony z takiego stanu rzeczy, jednak napięcie w jego ramieniu kazało jej się zastanowić, czy nie zauważył przypadkiem awansów młodego człowieka. Jego zaborczość była zapewne na pokaz.

- Nazywam się Jake Rawlins. A to jest Emily - dokonał prezentacji Jake.

Mężczyzna podał mu rękę.

- Garvey. Mam na imię Will, a to moja żona, Opal.

- Zostaniecie na obiedzie - oznajmiła kobieta. - Billy nakarmi wasze konie. Proszę, wejdźcie.

W środku Emily spojrzała pytająco na Jake'a. Pozwolił Garveyom wierzyć, że jest jego żoną, i nie zamierzał wyprowadzić ich z błędu.

Emily zdjęła zakurzoną pelerynę i, bojąc się zabrudzić

aksamitne poduszki kanapy, przewiesiła ją przez oparcie krzesła, a potem sama na nim usiadła. Jake także zdjął płaszcz oraz rękawiczki i stanął obok kominka.

- Nie możemy tu długo zabawić - zwrócił się do gospodarza.

- Ale musicie zjeść obiad.

Will usiadł w dużym, krytym skórą fotelu. Widać było, że to jego ulubiony fotel, bo tuż obok stał stolik, na którym leżała fajka i kapciuch.

- Dobra pogoda na podróż - mówił dalej. - Chociaż nie wiadomo, jak długo się utrzyma.

- Ja też się nad tym zastanawiam - powiedział Jake. - A jak daleko stąd znajduje się linia kolejowa?

- Jakieś dwanaście, no może piętnaście mil. Jadąc prosto na północ, można dojechać do Council Grove. Bliżej jest linia biegnąca na południe od nas. Do Strong jest mniej niż dziesięć mil.

Emily zauważyła, że Jake spojrzał na nią w zamyśleniu. Jeżeli Jake postanowi zwieźć ją do domu, ona może już nigdy nie odnaleźć Ansona. Wiedziona dziwnym impulsem, miała ochotę położyć sobie dłoń na wciąż jeszcze płaskim brzuchu i pocieszyć w ten sposób dziecko, a może i siebie samą. Zamiast tego złożyła ręce na kolanach, zaciskając dłonie.

- Wasz przyjaciel zadawał te same pytania - ciągnął pan Garvey. - Poradziliśmy mu, żeby udał się na kolej, ale on pojechał konno prosto na zachód. Powiedział, że będzie podziwiał widoki.

Na wspomnienie tej uwagi omal nie roześmiał się w głos.

- A co jest na zachód stąd? - zapytał Jake.

- Nic ciekawego. Zaledwie parę rancz, a trochę bar-

dziej na północ Diamond Springs. Poradziliśmy Eldonowi, żeby zatrzymał się na popas u naszych przyjaciół, którzy mieszkają o jakieś sześć do ośmiu mil stąd. To samo radzę i wam.

Pan Garvey zaczął objaśniać, jak dojechać na ranczo jego znajomych, tymczasem Emily ruszyła na poszukiwanie kuchni. Na myśl, że może będzie musiała wrócić do domu bez Ansona, nie mogła usiedzieć na miejscu.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała Opal, gdy już trafiła do kuchni.

- Oczywiście, kochanie. Może pani zamieszać sos. Ja tymczasem sprawdzę kartofle. Kiedy zobaczyłam, że się zbliżacie, wrzuciłam do garnka kilka dodatkowych. Nieczęsto miewamy tu gości. To samo powiedziałam wczoraj waszemu przyjacielowi.

- A jak An... Eldon się miewał?

Zadawszy to pytanie, Emily zorientowała się, że sama nie wie, czego chciała się dowiedzieć. Czy Anson jest zdrowy? Czy się boi? Czy mówił coś o kobiecie, z którą się rozstał po drodze?

- Mnie się zdaje, że świetnie - odrzekła Opal. - Być może był trochę zmęczony, ale starał się tego po sobie nie pokazywać.

Emily mieszała sos, zdziwiona własną reakcją na te wiadomości. Powinna przecież tęsknić za Ansonem. Ona tymczasem z ulgą myślała o tym, że jest z Jakiem.

- Gdyby Eldon wiedział, że jedzicie za nim - powiedziała Opal, wyjmując kurczaka z pieca - to na pewno by na was poczekał. Smutno jest podróżować samemu.

A więc miała rację, uważając, że Anson czuje się samot-

ny. Próbując wzbudzić w sobie współczucie, uznała, że sama z pewnością nie chciałaby wędrować po prerii w pojedynkę.

Z zamyślenia wyrwała ją Opal, biorąc od niej łyżkę i wlewając sos do dużej salaterki. Nakryła już stół w drugim końcu kuchni i postawiła na nim półmisek z kurczakiem.

- Proszę usiąść - powiedziała - pójde zawałać mężczyzn.

Billy, który skończył już pracę przy koniach, siedział razem z nimi przy kominku. Gdy matka zawałała na posiłek, poprowadził ich do kuchni. Emily zaczekała z zajęciem miejsca, bo chciała siedzieć jak najbliżej Jake'a. I jak najdalej od Billy'ego.

Udało jej się to, a zarazem nie udało. Billy usiadł naprzeciwko i łypał na nią pożądliwie, mrugając do niej znacząco. Emily spojrzała na niego lodowatym wzrokiem, a potem starała się go ignorować.

Jake zdawał się nie zauważać zachowania Billy'ego. Rozmawiał o prowadzeniu rancza i hodowli koni, od czasu do czasu starając się wyciągnąć od gospodarzy kolejne informacje na temat Ansona czy też Eldona, jak go nazywano.

Emily słuchała go z podziwem.

Nagle Billy potracił nogą jej nogę. Emily odsunęła ją, starając się zajmować jak najmniej miejsca pod stołem. Jednak Billy nie rezygnował. Emily podniosła wzrok i zauważyła, że Billy napiera brzuchem na stół. Musiał siedzieć na samym brzeżku krzesła.

W chwilę później jego noga znowu otarła się o jej nogę. Emily poprawiła się na krześle, przysuwając się do Jake'a, który spojrzał na nią pytająco. Próbowwała dać mu znak ocza-

mi, że niepokoi ją ten idiota z naprzeciwka, lecz on rozmawiał dalej z gospodarzem.

Billy z szerokim uśmiechem pakował sobie właśnie do ust kartofle, a potem kawałek kurczaka. Nagle wydał z siebie okrzyk zdumienia i zniknął pod stołem.

Wszyscy zerwali się z miejsc, chcąc zobaczyć, co się stało. Billy leżał rozciągnięty na podłodze, a obok niego leżało przewrócone krzesło.

- Na litość boską - powiedziała jego matka. - Wstań i siedź spokojnie.

- Przepraszam, mamó - wymamrotał Billy, strzepując okruchy z ubrania. - Krzesło się po prostu spode mnie wysunęło.

Usiadł i zaczął znowu jeść, przyglądając się podejrzliwie Jake'owi.

Pozostali także usiedli, a Jake i Will wrócili do przerwanej rozmowy. Emily oceniła w myślach odległość między krzesłem Billy'ego a krzesłem Jake'a oraz długość nóg tego ostatniego. Jake musiał to zrobić! Jadła powoli, tłumiąc śmiech, bo przecież śmiejąc się, mogłaby się zakrztusić. Nie mogła się doczekać końca posiłku. Chciała wyjść z domu i wyśmiać się do woli.

Jake najwyraźniej także nie chciał zostawać tutaj zbyt długo. Kilka minut później dziękował Garveyom, pomagając Emily wsiąść na konia. A ona, starając się przywołać na usta uprzejmy uśmiech, omal nie roześmiała się w głos, patrząc na Billy'ego.

Wyjechali na prerię. Gdy ranczo było już dostatecznie daleko, Emily śmiała się przez dobrą minutę.

- Słuchaj, Jake - powiedziała, gdy była już w stanie wy-

dobyć z siebie głos - przecież on mógł się zakrztusić i wyzionąć ducha.

Jake uśmiechnął się tylko.

- Potrzebna mu była lekcja dobrych manier - powiedział. Emily otarła łzy.

- Myślałam, że ty nic nie zauważyłeś. A potem nagle... Znowu wybuchnęła śmiechem.

Tym razem roześmiał się i Jake. Być może śmiał się z Billy'ego, a być może z niej. Gdyby nawet z niej, to co z tego? Dobrze jest mieć z Jakiem wspólną tajemnicę.

- Czekałem, że ty to zrobisz - powiedział Jake. - A potem uświadomiłem sobie, że może masz za krótkie nogi. On siedział na brzeżku. Wystarczyło więc tylko lekko pchnąć.

- Byłeś świetny - stwierdziła Emily. - Nawet nie mrugnąłeś. Jego rodzice nie podejrzewali, że ty to zrobiłeś.

- Ale on wie, że to ja. Przynajmniej mam nadzieję. No bo tylko pomyśl: stroił miny do żony człowieka, który siedział naprzeciwko niego. Przecież za to można zostać zastrzelonym.

- Sę w tym, że ja nie jestem twoją żoną - zauważyła Emily.

W oczach Jake'a pojawił się błysk.

- On o tym nie wiedział.

- No cóż - powiedziała Emily, której nie podobał się jego poważny ton. - Twoja reakcja była właściwa. I stanowiła czyn tak samo bohaterski, jak zdjęcie kota z drzewa.

Jake uśmiechnął się szeroko,

- Wielkie dzięki, droga pani. Miło mi, że mogłem się na coś przydać.

Jechali dalej, a z twarzy Emily nie zniknął uśmiech. Przy-

szło jej do głowy, że właściwie świetnie się bawi. Jake okazał się znacznie lepszym towarzyszem podróży niż Anson, który wciąż narzekał i miał napady złości.

Oczywiście za parę godzin, gdy poczuje się zmęczona, wszystko się zmieni. Powtarzało się to każdego dnia. Energia opuszczała ją w pewnym momencie i potrzebna stawała się drzemka. Tylko że dzisiaj nie może na nią liczyć. No bo jak zareagowałyby Jake, gdyby poprosiła, żeby się zatrzymali na odpoczynek? Pewnie podejrzewałyby ją, że opóźnia pościg.

Emily po raz pierwszy przyszło na myśl, że być może słusznie by zrobiła, gdyby wróciła do domu. W pojedynkę miałaby znacznie większe szanse na schwytanie Ansona. A potem przywiózłby go do Topeki, gdzie Anson oczyściłby się z zarzutów.

Nie, nie. Jeżeli jej nie będzie, to Anson nie zgodzi się współdziałać. Będzie stawiał opór i zostanie ranny. Albo zrobi krzywdę Jake'owi. Tak, musi być z nimi i dopilnować, żeby obaj zachowywali się rozsądnie.

Nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą, ale była przeświadczona, że Anson, powróciwszy do Topeki, nie zdoła oczyścić się z zarzutów. I że dlatego powinni razem uciec i zacząć wszystko od początku.

Anson musi się z nią ożenić, zanim ona urodzi dziecko. A ona musi go w przyszłości powstrzymać od pakowania się w kłopoty. Tak rozmyślała, a świadomość własnego rozpaczliwego położenia sprawiła, że bardzo szybko poczuła się zmęczona. Tymczasem przed najbliższym postojem czekała ją jeszcze wielogodzinna wędrówka.

Jake przez cały czas obserwował Emily uważnie. Gdy minęło południe, zarządził odpoczynek nad małym strumycz-

kiem. Emily położyła się na ziemi i za chwilę już spała. Pozwolił jej odpoczywać dłużej, niż zamierzał, a potem nalegał, żeby przed wyruszeniem w dalszą drogę opatrzyła obtartą piętę. Jednak teraz, po zaledwie dwóch godzinach dalszej jazdy, Emily znowu wyglądała na wyczerpaną.

Jake przypomniał sobie, jak blade miała policzki tego ranka, gdy wyruszali z Americus. Zaczął się wtedy obawiać, że jest chora. Jednak później, przez całe przedpołudnie, czuła się i wyglądała dobrze, a na ranczu Garveyów jadła z apetytem.

Nagle Jake przypomniał sobie to małżeństwo, któremu okulał koń. „Moja żona niedomaga” - powiedział tamten mężczyzna. „Oczekuje dziecka”. Tak, właśnie to wspomnienie go prześladowało. Nie mówiąc o tym, co pan Dutton powiedział w stajni, i o nieprzyjaznym zachowaniu pani Dutton!

Emily oczekuje dziecka!

Ta myśl zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że przez chwilę nie mógł złapać tchu. Na szczęście Emily, walcząca z sennością, nie zauważyła jego dziwnego zachowania.

Jake'a ogarnęła wściekłość. I przemożna chęć uduszenia Berkeleyya. Ten drań uwiódł Emily, a może nawet, co gorsza, przymusił!

Wściekłość miotłała nim przez dobre kilka minut. Potem jednak spróbował spojrzeć na sytuację bardziej racjonalnie. A więc po pierwsze, Emily twierdzi, że kocha Berkeleyya - co jednak nie wyklucza uwiedzenia. Po drugie, Berkeleyy przyjechał po nią na ranczo, z czego można wnioskować, że mu na niej w jakiś sposób zależy. Na niej albo na pieniądzach jej rodziny.

Jake nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Berkeley żywi dla Emily prawdziwe uczucie. Wolał wierzyć, że człowiek honoru ożeniłby się z dziewczyną, zanim pozbawiłby ją cnoty, albo przynajmniej natychmiast po tym.

Myśląc logicznie, dochodził do wniosku, że Berkeley właśnie to chciał zrobić, lecz przeszkodziło mu aresztowanie, a także późniejszy wyjazd Emily z Topeki. Ten człowiek nie powinien pakować się w kłopoty!

Bo teraz, przez niego, w kłopotach znalazła się także Emily. Fakt, że oczekuje dziecka, wyjaśniał, dlaczego tak bardzo pragnie odnaleźć Ansona. Jake nie dopuszczał do siebie myśli, że Emily kieruje się miłością. Jednak co ona sobie wyobraża? Czy spodziewa się, że on, Jake, jej stary przyjaciel, złapawszy Berkeleyya, pozwoli im uciec we dwójkę?

Spojrzał na kobietę jadącą u jego boku. Okazało się, że tylko z wielkim trudem udaje się jej nie zasnąć. Zbliżył się do niej i dotknął jej ramienia.

- Czy chcesz znowu odpocząć?

- Nie, nie. To chyba z nudów tak mi się chce spać. Opowiedz mi jeszcze coś ciekawego.

Jake'owi, mimo usilnych starań, nie udało się uśmiechnąć.

- Powiedz mi, dokąd jedzie Berkeley? - zapytał poważnie.

Emily wzruszyła ramionami na znak, że nie ma pojęcia. Jednak on jej nie uwierzył. Czy gdyby zostawił ją w Americus, ruszyłaby na zachód za swoim kochankiem? Chyba nawet to byłoby lepsze niż ciągnięcie jej ze sobą. Bo wtedy mógłby dogonić Berkeleyya i odstawić go do miejsca, w którym ona by czekała. A może nawet udałoby mu się nakłonić Berkeleyya, by zrobił to, co powinien.

Na myśl o tym Jake poczuł się prawie chory. Nie mógł uwierzyć, że Emily - nawet w tym stanie - miałyby dobre życie, gdyby wyszła za Berkeleyya. Przecież on prędzej czy później zrobi coś, za co znajdzie się w więzieniu.

Jake odłożył jednak na bok rozważania o tym, co byłoby najlepsze na dłuższą metę, bo widział wyraźnie, co należy zrobić teraz. Zaraz, natychmiast, już w tej chwili - nie wolno pozwolić, żeby przyszła matka kontynuowała podróż!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zrobili jeszcze dwa postoje, zanim Jake zaczął się martwić, czy zdążą przed nocą dojechać na ranczo, o którym mówił Garvey. Po każdym postoju Emily odżywała, jednak po godzinie dalszej jazdy ponownie zasypiała w siodle.

W końcu Jake zatrzymał wierzchowce.

- Przesiądź się na mojego konia - powiedział.

- Co? - zapytała Emily nieprzytomnie, starając się odpedzić senność.

- Przesiądź się na mojego konia. Nie możemy robić kolejnych postojów, bo nie dojedziemy do rancza przed zmrokiem.

Emily pozwoliła mu się przenieść i posadzić na siodle przed sobą. Jej wątach, po chwili wahania, zaczął iść za nimi.

Obejmując Emily i mając pewność, że nie spadnie już z konia, Jake liczył, że teraz będą jechali szybciej. Nie wziął jednak pod uwagę swojej reakcji na bliskość Emily. Jej ciało, mimo grubego ubrania, było miękkie i podatne, przylgnęło do niego ciasno, gdy położyła mu głowę na ramieniu.

- Przykro mi, że opóźnim naszą podróż - powiedziała.

- Chyba nie mam wprawy w całodziennych jazdach.

- Nic nie szkodzi - odrzekł Jake i ku własnemu zdumieniu pomyślał, że rzeczywiście tak uważa.

- Kiedyś jeździłam na całodziennie wyprawy. Przeważnie z Christianem, ale także z tobą.

- Pamiętam - rzekł cicho, z wielkim trudem powstrzymując się od dotknięcia pieszczotliwym gestem jej policzka.

Westchnęła tak głęboko, że przypomniało to ziewnięcie.

- Powiedz mi, co Garvey mówił o właścicielu tego rancza, do którego jedziemy?

Jake uśmiechnął się. Najwyraźniej Emily chciała, żeby nie dał jej zasnąć.

- Podał mi jego nazwisko - Kinney. Poza tym nic nie wiem. Garvey wyjaśnił mi tylko, jak trafić na ranczo.

- Ciekawe, czy pan Kinney ma syna.

- Jeżeli ma, to się u niego nie zatrzymamy.

Poczuł, jak jej plecy drżą od śmiechu, a potem, gdy wtuliła się w niego, zaczął doznawać słodkich męczarni.

- Obudź mnie, kiedy będziemy dojeżdżać.

Jake obiecał, że to zrobi. Jechali w milczeniu przez prerię. Jake od czasu do czasu sprawdzał, czy wałach idzie za nimi. Dobrze było trzymać Emily w ramionach, dotykać i chronić. Był niemal wdzięczny Berkeleyyowi za to, że stworzył mu do tego okazję. Prawie, ale nie do końca.

Słońce już zachodziło, gdy wjechawszy na wzgórze, zobaczył przed sobą ranczo.

- Jesteśmy prawie na miejscu, kochanie.

Powiedział „kochanie”, zanim zdał sobie sprawę, że ma zamiar to zrobić. Miał nadzieję, że Emily tego nie usłyszała, i trochę już głośniej dodał:

- Obudź się, Emily.

Poruszyła się w jego ramionach. Była tak słodka, że zapragnął trzymać ją tak do końca świata. Przetarła oczy i rozejrzała się.

- Jak długo spałam?

- Może godzinę. Nie jestem pewny.

Poruszyła się znowu, chcąc zmienić pozycję. Przytrzymała ją, opasując ramieniem jej talię. Z trudem panował nad podnieceniem. Mogło to lada chwila stać się przyczyną czegoś żenującego. Miał jednak nadzieję, że Emily niczego nie spostrzeże.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Minę miała niepewną. Jake rozluźnił uścisk.

- Usiądź tak, żeby ci było wygodnie - powiedział, obawiając się, że zauważywszy jego stan, odczuwa obrzydzenie.

Uspokoił się jednak, gdy sprawdziwszy jeszcze raz, czy wążach idzie za nimi, spojrzął na Emily. Patrzyła na bardzo już bliski dom.

Wyszedł z niego właśnie krzepki starszy mężczyzna. Za nim ukazali się trzej wysocy, mocno zbudowani chłopcy.

- Do diabła, czy właściciele rancz w tej okolicy nie hodują nic poza własnymi synami? - odezwał się z irytacją Jake.

Emily stłumiła śmiech, chowając twarz na jego ramieniu.

- Biedaku. Ja zawsze sprawiam ci tyle kłopotów.

- Tego nie powiedziałem.

Trzej młodzi mężczyźni wyszli im na spotkanie. Dwaj wzięli konie za uzdy, a najwyższy zwrócił się do Jake'a:

- Proszę ją oddać w moje ręce.

Jake, aczkolwiek niechętnie, posłuchał chłopaka, który zamiast postawić Emily na ziemi, trzymał ją w ramionach.

- Ja umiem chodzić - zaprotestowała Emily z figlarną miną.

- Tak, proszę pani - odrzekł młodzieniec, idąc w stronę domu.

Jake zsiadł z konia i pospieszył za nim.

- Postaw panią na ziemi, Matthew - upomniał chłopaka ojciec, spoglądając niepewnie na Jake'a.

Jake miał nadzieję, że nie dojrzał w jego oczach żądy krwi.

Przystanął, żeby się przedstawić i wyjaśnić, że skierował ich tutaj pan Garvey.

- Zostaniecie oczywiście na noc - oznajmił pan Kinney.

- Byłbym wdzięczny za przenocowanie nas - odrzekł Jake, wyobrażając sobie równocześnie, jak Matthew porywa Emily do swojej sypialni.

Kinney polecił pozostałym dwóm synom, żeby zajęli się końmi, i wprowadził Jake'a do wnętrza domu. Duży pokój umeblowany był sprzętami domowej roboty. Emily siedziała już przy kominku, na którym Matthew podsyczał ogień.

Jake usiadł w pobliżu i, zanim zwrócił się do Kinneya, dostrzegł jej uśmiezek.

- Gonimy pewnego młodego człowieka - powiedział. - Powinien tędy przejeżdżać około południa.

Kinney wysłuchał szczegółowego opisu uciekiniera, po czym stwierdził:

- Nie widziałem nikogo takiego. Ale zapytajmy chłopców. Widziałeś kogoś takiego, Matthew?

Młody człowiek pokręcił głową.

- Pójdę pomóc przy koniach i zapytam braci - dodał, po czym, skłaniając z szacunkiem głowę przed gośćmi, wyszedł z domu.

- A za co on jest poszukiwany? - zapytał Kinney.

Jake spojrzał na Emily i zauważył, że mruży oczy. Garvey przypuszczał, że są przyjaciółmi Berkeleyya, którzy próbują

go dogonić. Kinney zauważył odznakę i doszedł do innego wniosku. Emily najwyraźniej pomyślała, że to dlatego, że gdy byli jeszcze na zewnątrz, Jake powiedział mu coś na temat Ansona.

- Zobaczę, czy mogę w czymś pomóc pani Kinney - powiedziała do gospodarza, po czym, kierując się jego wskazówkami, udała się do kuchni.

Jake patrzył za nią, mając dziwne poczucie straty. Powinien wysłać ją do domu, jednak ona pojechałaby tam chyba jedynie gdyby on porzucił ją w środku nocy na pustkowiu. Pomyślał też natychmiast, że z pewnością nie może zrobić tego tutaj, gdzie jest Matthew i jego dwóch braci.

- Pan Garvey polecił mi pańskie ranczo - powiedział do Kinneya. - Mnie i Eldonowi.

- A Eldon domyślił się, że pan albo ktoś inny go ściga - dokończył Kinney.

- Czy jest jakieś inne miejsce, w którym mógłby zatrzymać się na posiłek? On nie jest przyzwyczajony do surowego życia.

Kinney kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Mogę panu narysować mapę okolicy. Zaznaczę na niej wszystkie rancza i farmy, a także miasteczka. Ale, proszę wybaczyć, że pytam, dlaczego ta młoda dama ściga tego człowieka wraz z panem?

- To skomplikowana sprawa.

- Ach tak, rozumiem.

Emily zastała panią Kinney wyrabiającą ciasto na kukurydziane bułeczki. Gospodyni nie chciała nawet słyszeć o tym, by gość pomagał w kuchni.

- Zaraz je wstawię do pieca - powiedziała. - Pomyślałam, że usmażę jajecznicę. To nie będzie prawdziwa kolacja, ale zjecie przynajmniej coś gorącego.

- Wystarczy nam cokolwiek - powiedziała Emily, siadając przy stole.

- My jedliśmy jakąś godzinę temu - oznajmiła gospodyni, wkładając ciasto do foremek. - Gdy się ma tylu mężczyzn w domu, rzadko coś zostaje z posiłku.

- Przepraszam, że sprawiamy kłopot. Naprawdę chciałybym pani pomóc.

- Tylko byśmy sobie przeszkadzały. A poza tym to dla mnie żaden kłopot. Jestem zachwycona, mogąc porozmawiać z kobietą. Chłopcy mówią, że to dlatego pozwalają mi doić krowę.

Po ostatnich słowach pani Kinney roześmiała się serdecznie. Emily jej zawtórowała. Przypomniała sobie bowiem, jak spędzała lato na ranczu z ojcem i braćmi. Była tam wtedy oczywiście i gospodyni, matka Jake'a, a poza tym czasami przyjeżdżała na tydzień Rose.

- Z ilu? - zapytała pani Kinney, zabierając się do rozbijania jajek.

- Cztery albo pięć pewnie wystarczy - odrzekła Emily.

- Ależ kochanie, czy pani mężczyzna nie zje więcej? Zrobię z dziesięciu. Jeżeli coś zostanie, to na pewno znajdzie się ktoś, kto dokończy. A teraz proszę mi powiedzieć, skąd jesteście i dokąd jedziecie?

Emily milczała przez chwilę, zastanawiając się, co Jake powiedział panu Kinneyowi. Już przedtem dawał do zrozumienia, że są małżeństwem. Ona jednak miała nadzieję, że uda się uniknąć tego tematu.

- Wychowałam się właściwie w Topece - zaczęła. - Mój brat ma ranczo niedaleko Strong. Często tam jeżdżę.

- A ten młody człowiek, który jest z panią? To pani mąż?
No tak, więc padło to pytanie. Jak na nie odpowiedzieć? Cokolwiek powie, Jake może powiedzieć coś wręcz przeciwnego mężowi tej kobiety. Jej milczenie sprawiło, że pani Kinney spojrzała na nią pytająco. Emily westchnęła, postanawiając wyjawić prawdę.

- Nie. My tylko razem podróżujemy. Przyjaźnimy się od dzieciństwa. Czasami Jake, chcąc mnie ochronić, mówi, że jesteśmy małżeństwem.

- Aha.

Pani Kinney rozbełtała jajka odrobinę zbyt energicznie.

- Jednak gdybyśmy myśleli, że jesteście małżeństwem - zauważyła - dalibyśmy wam jeden pokój. Czy to w ten sposób on chce panią chronić?

Emily omal się nie roześmiała, widząc oburzenie kobiety.

- Jake dba o moje bezpieczeństwo. Jeżeli dalibyście nam oddzielne pokoje, to on z pewnością przesiedziałyby całą noc pod moimi drzwiami z pistoletem na kolanach.

Pani Kinney popatrzyła na nią pytająco.

- Moim zdaniem tak nie zachowuje się przyjaciel z dzieciństwa.

- Nie - odrzekła Emily. - Tak zachowuje się brat.

- Hmm - brzmiała odpowiedź. - Zobaczymy, co on powiedział mojemu mężowi. - Jednak - tu wycelowała w Emily łyżkę - jeżeli nakłamał, że jesteście małżeństwem, zrobił to dlatego, że chce, aby to była prawda.

Emily pokręciła głową, a pani Kinney w odpowiedzi po kiwała energicznie swoją.

- Widziałam jego minę, kiedy Matthew niósł panią na rękach.

- On miał taką minę, bo chwilę przedtem rozmawialiśmy o synu państwa Garveyów - upierała się Emily.

- O Billym? Założę się, że Billy robił do pani słodkie oczy!

Emily uśmiechnęła się, przypominając sobie minę chłopaka w chwili, gdy krzesło wyslizgiwało mu się spod pośladków.

- No tak, coś w tym rodzaju.

- Więc pani przyjaciel czuł się zagrożony, kiedy zobaczył moich przystojnych chłopców.

Pani Kinney pokiwała głową.

- Na pewno powiedział mężowi, że jesteście małżeństwem.

Emily roześmiała się, zastanawiając się równocześnie, czy dalszy opór nie utwierdzi tej kobiety w przekonaniu, że Jake ją kocha. Wiedziała, że ją lubi. Kilka razy zdawało jej się, że dostrzega w jego oczach nawet coś więcej. Zdawała sobie przy tym sprawę, że wszystkie te uczucia prysną wtedy, gdy on dowie się o dziecku.

Nagle Emily poczuła się wyczerpana. Nie fizycznie, bo przecież przespała całe popołudnie. Była wyczerpana w sensie emocjonalnym. Niemal bez przerwy myślała, co się stanie z nią i z dzieckiem bez Ansona. Z drugiej strony wizja wspólnego życia jakoś przestała ją pociągać.

No a Jake? Czy on naprawdę ją kocha? Jeżeli tak, to nie ma wyjścia - musi złamać mu serce. Bo kochany, ufny Jake ma o niej zbyt pochlebne zdanie. Może więc powinna powiedzieć mu o dziecku i mieć to już za sobą?

Jednak nie, nie odważy się tego zrobić, bo wtedy on z pewnością ją opuści. A ona potrzebuje jego pomocy, musi przecież odnaleźć Ansona. Musi to zrobić, choć coś jej mówi, że wcale tego nie chce.

Te rozmyślania przerwało jej wejście jednego z chłopców, który z szacunkiem skłonił przed nią głowę, a matkę zapytał:

- Czy będzie kawa, mamó?

- Kawa jest zawsze. Idź powiedz ojcu, żeby przyprowadził tu gościa. Posiłek jest gotowy.

- Dobrze, mamó.

Wyszedł z kuchni, a Emily z uśmiechem odprowadziła go wzrokiem.

- Bardzo grzeczny młodzieniec - powiedziała.

- Musiałam nauczyć ich dobrych manier - odrzekła pani Kinney. - Inaczej bym sobie z nimi nie poradziła. Jest ich przecież tyłu. Miałam nadzieję, że urodzę dziewczynkę, ale Panu Bogu spodobało się mnie nimi pokarać.

Emily uśmiechnęła się. Ona sama nie miałyby nic przeciwko temu, żeby urodzić syna. Właściwie to zwykle wyobrażała sobie swoje maleństwo jako chłopca. Teraz przypomniała sobie, jak trzymała w objęciach Trevora, i oczy jej zwilgotniały. Odpędziła to wspomnienie. Pani Kinney, która wydawała się zdolna odgadnąć wszystko, z pewnością zauważyłaby jej łzy. A zauważywszy je, wiedziałyby, że ona, Emily jest w ciąży. I że nie ma męża.

Do kuchni wszedł Jake oraz czterej mężczyźni, odwracając uwagę Emily od własnych myśli. Jake usiadł obok niej, spoglądając pytająco. Emily uśmiechnęła się, zastanawiając się, co jest w stanie wyczytać z jej twarzy.

Pani Kinney postawiła na stole talerze z jajecznicą i ku-

kurydziane bułeczki. A potem Markowi kazała przynieść melasę, a swemu mężowi filiżanki do kawy. Chłopcy kolejno nalewali sobie kawy i siadali przy stole.

Emily omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy do kuchni wkroczył czwarty syn Kinneyów. Jake, chcąc ją od tego powstrzymać, kopnął ją lekko pod stołem.

Pan Kinney przedstawił wszystkich chłopców. Nosili oni imiona: Matthew, Mark, Luke i John. Emily i Jake'a przedstawił synom jako państwa Rawlinsów. W związku z czym pani Kinney posłała Emily porozumiewawcze spojrzenie.

Gdy wszyscy chłopcy siedzieli już przy stole, Jake opisał, jak wygląda Anson. Młodzi Kinneyowie pokręcili przecząco głowami. Żaden z nich nie widział tego dnia nikogo obcego.

- Tak myślałem - skomentował to Kinney. - Nie zajechał na nasze ranczo, bo wie, że ktoś go ściga.

- Wróćmy teraz do mapy - zaproponował Jake, skończywszy jeść.

- Państwu Rawlinsom potrzebne jest miejsce do spania - odezwała się pani Kinney, patrząc znacząco na najstarszego syna.

- Mój pokój jest największy - powiedział Matthew, wstając. - Pójdę zmienić pościel.

- Matthew może spać ze mną - odezwał się Mark, odsuwając krzesło od stołu. - Pójdę przygotować mu spanie.

- Czy mogę zjeść resztę jajecznicy? - zapytał John.

- Jeżeli pani Rawlins już się najadła - odparła jego matka, a gdy Emily kiwnęła głową, dodała: - Podziel się z Lukeiem.

- Ja wolę zjeść trochę bułeczek - oznajmił Luke. - To znaczy... jeżeli pani Rawlins nie ma ochoty.

- Ależ nie, ja już skończyłam - powiedziała Emily, uśmiechając się na widok jego poważnej miny.

Pani Kinney - pomyślała - tęskni za towarzystwem kobiet, ale tak naprawdę nie ma prawa uskarżać się na synów.

- Z pewnością jest pani zmęczona - zwróciła się do niej gospodyni. - Pokażę pani, gdzie się można umyć. Chłopcy, przynieśliście torby państwa Rawlinsów?

- Tak, mam - odrzekli prawie zgodnym chórem. - Są przy drzwiach.

Emily wstała, by pójść za panią Kinney, a wtedy obaj chłopcy zerwali się z miejsc.

- Dobranoc - powiedziała Emily.

- Dobranoc - powtórzyli jak echo, czekając, aż wyjdzie z kuchni, by móc znowu usiąść.

- Jeżeli wypuści pani tych chłopców między ludzi, to bardzo szybko znajdą się dziewczyny, które z chęcią ich poślubią - powiedziała Emily, idąc za panią Kinney.

- Ach, gdyby pani widziała, jak w kościele dziewczęta wodzą za nimi oczami! Ale boją się mnie.

- Żartuje pani.

Pani Kinney spojrzała na Emily groźnie. Emily roześmiała się.

- Boją się pani? Dlaczego?

- Sądzę, że moi chłopcy zasługują na odważne kobiety.

Jake patrzył na mapę, którą narysował pan Kinney. Linia kolejowa łącząca Emporię z Junction City biegła w górnym prawym rogu. Od niej odgałęziały się dwie inne - jedna prowadząca na zachód i druga - na południowy zachód.

Berkeley z pewnością nie skręci na południe, do Santa Fe,

bo zostawił je za sobą, dostając się do Emporii - pomyślał Jake. Najbliższą stacją było Council Grove położone mniej więcej na północ od rancza Garveyów.

- Ja myślę, że on zjechał na jakieś inne ranczo - powiedział Kinney. - Dowiedział się od Garveya, jak tam trafić. Zresztą, trudno zgadnąć, gdzie teraz jest, nie wiedząc, dokąd zmierza.

- Właśnie. Mógł też zawrócić w stronę linii kolejowej. Początkowo chciał jechać właśnie koleją. Zresztą tak byłoby szybciej. Myślę, że jest zmęczony konną jazdą.

Jake wyprostował się, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Sam też miał dość podróżowania na koniu.

- Z drugiej strony na pewno zachowuje maksymalną ostrożność. Pewnie boi się, że wiedzą już o nim zawiadowcy stacji.

- To byłaby próżność z jego strony - odrzekł Jake. - Bo tak naprawdę nikt oprócz mnie się nim nie interesuje. A jak wygląda Diamond Springs?

- To bardzo mała miejscowość. Mógł tam w sklepiku zaopatrzyć się żywność. To niedaleko.

Ale w odwrotnym kierunku. Jake chciał doprowadzić Emily do jakiegoś miasteczka, w którym była stacja kolejowa. Nie mógł nadal ciągnąć jej ze sobą. Od Council Grove dzieliło ich pół dnia drogi. Właśnie tam ją zostawi. Będzie mogła sprzedać konia i wsiąść w pociąg, który zawiezie ją do domu. Albo w inny - taki, którym dojedzie na miejsce spotkania z Berkeleyem. Tymczasem on sam przez następne dwa dni będzie szukał Berkeleya na okolicznych farmach i ranczach. Postanowił, że jeżeli go nie znajdzie, da za wygraną.

Kinney złożył mapę i wręczył ją Jake'owi, a ten wsunął ją do kieszeni koszuli.

- Nie wypada, żeby pan dzielił pokój z młodą damą.
- Mówiłem już, nie mogę jej spuścić z oka.

Kinney podniósł rękę.

- Rozumiem, rozumiem. Dlatego okłamałem chłopców i żonę. Jednak skoro pan się nie boi, że ona ucieknie, żeby spotkać się z Eldonem, to dlaczego nie chce jej pan spuścić z oka?

Jake powiedział Kinneyowi na wstępie, że sprawa jest skomplikowana, a potem, gdy próbował mu ją bardziej szczegółowo wyjaśnić, okazało się, że przychodzi mu to z większym trudem, niż przypuszczał. W rezultacie Kinney odniósł wrażenie, że Emily jest właściwie jego więźniem. No cóż, trudno, najważniejsze jednak, by nie zorientował się, że Jake kocha kobietę uciekiniera, która w dodatku jest w ciąży.

- Chyba już się położy.
- Zaprowadzę pana - odrzekł Kinney i wstał.

Na górze zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

- Chcę panu okazać zaufanie, synu. Dlatego na to pozwalam. Pamiętaj jednak, że mój pokój jest pod wami.

- Będę pamiętał - powiedział Jake i poczekał, aż Kinney się oddali.

Dopiero wtedy otworzył drzwi. Lampa stojąca na komodzie oświetlała pokój, w którym panował idealny porządek. Na wąskim łóżku spała Emily. Jake wślizgnął się do pokoju i zamknął drzwi najciszej, jak potrafił.

Podszedł powoli do Emily. Ciemny warkocz leżał na poduszce, a twarz okalały drobne, miękkie loczki. Jake ukląkł i odsunął je z jej policzka.

Dlaczego musiało tak się stać? Dlaczego ona zadała się z Ansonem Berkeleyem? Dlaczego nie zakochała się w nim, Jake'u? Omal nie roześmiał się na tę myśl. Przecież przez trzy lata jej unikał, bo wiedział, że to nie może się zdarzyć.

Był trochę zaskoczony, że myśl o dziecku nie osłabiła jego uczucia do Emily. Kochał ją tak samo jak przedtem. Z początku, gdy uświadomił sobie, że Emily jest w ciąży, ogarnął go wielki gniew. Ale nie na nią, tylko na Berkeleya. Potem przez całe popołudnie, gdy obserwował Emily, myślał o dziecku tylko w kategoriach jej zdrowia i samopoczucia.

Teraz natomiast uświadomił sobie, że to odrębna ludzka istota, maleńkie dziecko, które nic nie wie o błędach swoich rodziców. Wyobraził sobie chłopca w wieku Trevora o ślicznej twarzyczce podobnej do twarzy Emily. On pewnie będzie wyglądał jak Arlen, brat Emily - pomyślał.

Albo jak Berkeley.

Postanowił tego się trzymać, bo wyobrażając sobie dziecko podobne do Arlena czy Emily, zaczynał myśleć o nim jak o własnym synu. Jeszcze raz pieszczotliwym gestem dotknął miękkiego policzka Emily i odsunął się od łóżka.

W jego nogach znalazł dodatkową kołdrę, zdmuchnął lampę i położył się na dywanie. Jak należało się spodziewać, pośłanie okazało się raczej twarde, lecz on był zbyt zmęczony, by zwrócić na to uwagę.

Emily usiadła ostrożnie. Opierając łokcie o kolana, czekała, aż minie zawrót głowy. Teraz musi się postarać, żeby nie dotarły do niej kuchenne zapachy.

Była sama, jednak kołdra przerzucona przez oparcie krzesła świadczyła o tym, że Jake spędził noc w tym pokoju.

Wyobraziła sobie, jak śpi na krześle opartym o drzwi, z ramionami otulonymi kołdrą i pistoletem na kolanach i roześmiała się głośno.

Śmiech sprawił, że poczuła się dobrze. Postanowiła, że od tej chwili będzie go stosowała jako lekarstwo. Tak, będzie się śmiała co rano, żeby nie czuć zawrotów głowy i mdłości.

Ubrała się pospiesznie, sprzątnęła pokój, wzięła torbę i zeszała na dół. Na szczęście salon znajdował się w takiej odległości od kuchni, że nie docierały do niego kuchenne zapachy. Jej peleryna wisiała w pobliżu frontowych drzwi. Emily postawiła obok niej torbę. Poczuła ulgę, gdy zobaczyła płaszcz Jake'a. Czyżby wciąż się bała, że on ją opuści?

Zastanawiała się nad tym nadal, wracając do salonu i siadając na krześle. Jest oczywiste, że opóźnia pogoń, a teraz na dodatek stracili trop. Wiedziała, że poprzedniego wieczora Jake długo rozmawiał z panem Kinneyem i że zastanawiali się razem, gdzie szukać Ansona. Może Jake postanowił zrezygnować z pościgu?

Ta myśl napełniła ją znajomym lękiem. Co będzie, jeżeli nigdy więcej nie zobaczy Ansona? Doszła do wniosku, że właściwie nie będzie za nim tęskniła, jednak bez niego zarówno ona, jak i dziecko będą społecznymi wyrzutkami. Musi go znaleźć.

Nagle drgnęła, bo do jej uszu dobiegło chrząknięcie. To jeden z chłopców, chyba Luke, chciał zwrócić na siebie jej uwagę.

- Nie chciałem pani przestraszyć, proszę pani - odezwał się.

- W porządku, nic się nie stało - odrzekła, odzyskując spokój. - Po prostu się zamyśliłam.

- Mama zaprasza na śniadanie.

- Dziękuję.

Teraz nie była w stanie niczego włożyć do ust, ale wiedziała, że później będzie głodna. Nie miała więc wyjścia, musiała zrobić z siebie osobę bardzo kapryśną i powiedzieć:

- Nie lubię jeść tak wcześnie. Czy mogłabym dostać coś na drogę?

- Oczywiście, proszę pani, poproszę mamę, żeby coś zapakowała - odrzekł grzecznie Luke, ale przed wyjściem z pokoju spojrzał na nią ze zdziwieniem.

No tak, na pewno pomyślał, że jest zepsuta i kapryśna. Ale co z tego? Niech tak uważa, niech nawet cała rodzina będzie tego zdania. Za parę minut już jej tu nie będzie, a poza tym dla niej liczy się tylko opinia Jake'a, chociaż on też uważa ją za rozpieszczoną. Cóż, lepsze to niż wymiotować, bo wtedy pani Kinney od razu się zorientuje, w jakim jestem stanie.

I powie o tym Jake'owi!

Chwilę potem w salonie zjawili się państwo Kinney, a także Jake, który skierował się prosto do drzwi.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak - odrzekła, wstając, i zwróciła się do gospodarzy:

- Dziękuję państwu za gościnę.

- Cała przyjemność po naszej stronie, kochanie - odrzekła pani Kinney i podała jej woreczek z materiału. - Proszę, to na drogę.

- Dziękuję - powiedziała Emily zawstydzona i szybko włożyła woreczek do dywanikowej torby.

Jake czekał już z peleryną. Emily pozwoliła mu pomóc sobie ją włożyć i pospieszyła za nim w stronę drzwi.

Dwaj młodzi Kinneyowie stali przed domem, trzymając osiodłane konie. Jake przymocował torby i pomógł Emily dosiąść wałacha. Chwilę później opuszczali podwórze rancza.

- Zaczekaj - powiedziała Emily, gdy ujechali już kawałek drogi. - Czy to nie tędy tu przyjechaliśmy?

- Niezupełnie.

- A mnie się zdaje, że tak - odrzekła zirytowana tym, że nie mówi nic więcej.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież wczoraj mocno spałaś.

- Być może, ale widzę, gdzie wschodzi słońce, i wiem, że jedziemy na wschód.

- Na północny wschód - poprawił.

- W stronę kolei? - zapytała podejrzliwie.

- Berkeley nie zajechał na ranczo Kinneyów. Nie wiemy, dokąd udał się wczoraj rano po opuszczeniu rancza Garveyów. To, co powiedział - że chce podziwiać widoki i że jedzie na zachód - miało zapewne zmylić tropy. Najmądrzej byłoby dotrzeć do linii kolejowej. Najbliższa stacja to Council Grove.

- Właśnie tam jedziemy? Będziesz pytał ludzi w miasteczku, czy go nie widzieli?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł Jake. - Podróż zajmie nam pół dnia, po czym ty będziesz mogła całe popołudnie spać w hotelu, a ja będę się rozpytywał.

Odwróciła się w siodle i spiorunowała go wzrokiem.

- Ja wcale nie muszę tyle spać.

- Naprawdę? A wczoraj co robiłaś?

Wyglądało to na jego zwykłe droczenie się, jednak w jego



oczach Emily nie dostrzegła figlarnego błysku. Albo był naprawdę na nią zły, albo dręczyło go coś innego. Zastanowiła się, czy chodzi o to, że nie je rano śniadania, tylko prosi o coś na drogę. Może się za nią wstydzi? No cóż, niech sobie myśli, co chce, byle jej sekret się nie wydał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wczesnym rankiem było ciepło, jednak później temperatura zaczęła spadać. Emily otuliła się szczelniej peleryną.

- Jak myślisz, czy będzie padał śnieg?

- To możliwe - oparł Jake. - Chociaż o tej porze roku opady nie są zbyt wielkie.

- To pocieszające - powiedziała, wzdrygając się.

Że też właśnie dzisiaj musiała zrezygnować z podwójnej warstwy ubrania! Ale przecież wczoraj pogoda była taka ładna.

- Już wkrótce się ogrzejesz. Do Council Grove nie jest daleko.

- Czy tam przenocujemy?

- To zależy od tego, czego się dowiem.

Zerknęła na niego spod oka. Bardzo oszczędnie udzielał jej dzisiaj informacji. Miała wrażenie, że nie chce zdradzić swoich planów. Czy zamierza zrezygnować z pościgu? Co ona pocznie, jeżeli rzeczywiście tak postąpi? - pomyślała Emily.

Może powie mu wtedy o Denver? Jednak jej zaufanie do Ansona od chwili, gdy się rozstali, stopniowo malało i teraz Emily nie była przekonana, czy ta informacja ma jakąkolwiek wartość dla Jake'a. Czy Anson naprawdę zamierza spotkać się z nią w Denver?

Zachciało jej się śmiać z siebie samej. Przecież gdyby te-

raz zdradziła Jake'owi tę wiadomość, to po to, by on nie zrezygnował z pościgu. I nie miała nawet pewności, czyby jej uwierzył.

Przez całą drogę do Council Grove Jake zastanawiał się nad swoją decyzją. Emily nie może jechać dalej konno. Trzeba ją wsadzić do pociągu, którym bezpiecznie dotrze do domu. Tak, tak należy zrobić. Wiedział jednak, że Emily nie wsiądzie do pociągu z własnej woli. Miał więc jedno, jedyne wyjście: porzucić ją w Council Grove.

Powziął takie postanowienie z troski o zdrowie przyszłej matki, wbrew swoim chęciom. Może - rozważał - nie znalazłszy w Council Grove śladów Berkeleya, powinien zrezygnować z pościgu i osobiście zawieźć Emily do domu? Dzięki temu miałby pewność, że jest bezpieczna.

Jednak czy naprawdę będzie bezpieczna? A co z dzieckiem? Przecież powróciwszy do domu - w ciąży i bez mężczyzny, który powinien się z nią ożenić - będzie zhańbiona.

Nie, nie. Lepiej wsadzić ją do pociągu i kontynuować pościg. Wystarczyło jedno spojrzenie na Emily, by utwierdzić w tym postanowieniu. Siedziała na koniu skulona, drżąc z zimna. Tak, trzeba koniecznie odesłać ją do domu. Już dawno należało to zrobić.

Gdy wjeżdżali do Council Grove, niebo było pokryte szarymi chmurami. Jake zatrzymał się w środku miasta, przed Hays House.

- Wejdz szybko - zwrócił się do Emily. - Ja tymczasem zajmę się końmi.

- Czy mam ci zamówić obiad? - zapytała.

Wahał się przez moment. Chyba byłoby łatwiej porzucić ją teraz? Jednak pokusa spędzenia z nią jeszcze paru chwil była zbyt wielka.

- Zamów dla mnie to, co będziesz zamawiała dla siebie - powiedział. - Przyjdę za parę minut.

Umieścił konie w stajni po drugiej stronie ulicy, a jej właścicielowi opowiedział, jak wygląda Berkeley. Opisał także jego konia. Jednak ten nie widział nikogo takiego. Gdy Jake wchodził do restauracji, w powietrzu wirowały już pierwsze płatki śniegu. Zostawił płaszczyz, rękawiczki i kapelusz przy drzwiach, po czym usiadł naprzeciwko Emily - przy stole blisko kominka.

- Rozgrzałaś się trochę? - zapytał.

- Mhm. Jest cudownie. Zamówiłam befsztyki, grube i niedosmażone. Od dwóch dni marzę o befsztyku.

Jake uśmiechnął się na to.

- Czy masz zamiar za nie zapłacić?

Emily uśmiechnęła się także.

- Mogę.

- Tak podejrzewałem. Przecież stać cię było na porządnego konia.

- Zauważyłam, że mój koń jest lepszy. Chciałam się z tobą zamienić, ale on szedł tak równo, że zmieniłam zamiar.

Jake roześmiał się. Emily wyglądała tak pięknie! Policzki, oświetlone światłem padającym z kominka, miała zaróżowione, a wokół jej twarzy tańczyły delikatne kosmyki. O takiej Emily zawsze marzył. Zapragnął jej tak bardzo, że postanowił sprawić, by czar prysł.

- Czy kupiłaś konia za pieniądze nielegalnie zdobyte przez Berkeleya?

Uśmiech zniknął na chwilę z jej twarzy, ale zaraz powrócił.

- Obawiam się, że to były pieniądze nielegalnie zdobyte przeze mnie - odrzekła, udając, że ma wyrzuty sumienia. - Ukradłam je Christianowi.

Jake otworzył usta. Sam nie wiedział, co zaskoczyło go bardziej: czy to, że Emily ukradła pieniądze, czy to, że się do tego przyznała.

- Ile pieniędzy wzięłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Część dałam Ansonowi. Chciał je przechować. Część zatrzymałam przy sobie.

Popatrzył jej w oczy.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego ukryłaś pieniądze przed Berkeleyem?

Emily znowu wzruszyła ramionami.

Ich rozmowę przerwał kelner, który przyniósł befsztyki. Przez kilka minut jedli w milczeniu.

- Czy dlatego - spytał wreszcie Jake, przyglądając jej się uważnie - że mu nie ufasz?

Uniosła głowę znad talerza, a on dostrzegł w jej oczach smutek.

- Nie wiem - wyszeptała. - Wydaje mi się, że chciałam mieć te pieniądze na wypadek, gdyby...

- Gdyby on cię porzucił?

- Nie - powiedziała pospiesznie. - Na wypadek, gdyby one okazały się niepotrzebne. Mogłabym je wtedy zwrócić Christianowi.

Była teraz przygnębiona i zła. Za bardzo przycisnął ją do muru. Jednak łatwiej mu będzie opuścić ją teraz, gdy jest roz-

gniewana. Doszedłszy do takiego wniosku, skończył jeść befszytk w milczeniu.

Kelner dolał mu kawy i zaproponował deser, po czym, gdy okazało się, że żadne z nich go nie chce, zabrał talerze i zniknął.

- Muszę zacząć się rozpytywać - oznajmił Jake łagodnym-tonem, pragnąc, całkiem wbrew sobie, żeby Emily się uśmiechnęła.

- U kogo?

- U zawiadowcy stacji, szeryfa i właścicieli stajni. Właściwie muszę pytać wszystkich i wszędzie.

- Jak długo to potrwa?

Zawahał się, bo już czuł się winien, że ją opuszcza.

-- To będzie zależało od tego, czego się dowiem - odrzekł wymijająco.

- No tak. Czy ja mam poczekać tutaj?

- Możesz poczekać w restauracji. Możesz również wynająć pokój i odpocząć choć trochę.

- Spodziewasz się, że to potrwa dość długo?

- To może zająć całe popołudnie, zwłaszcza jeżeli go tu nie było.

- Rozumiem. Mogę już zapłacić?

Sięgnęła do portmonetki i położyła na stole kilka banknotów, a potem wstała.

Jake czuł się winien, pozwalając zapłacić Emily, a właściwie jej bratu, jednak sam miał już bardzo mało pieniędzy. Odwdzięczy się jakoś Christianowi, który chciałby jedynie, żeby przywiózł Emily do domu. Tymczasem on ma zamiar ją zostawić!

Wzięli wierzchnie okrycia i przeszli do części hotelowej. Jake wynajął pokój w imieniu Emily i przyniósł jej klucz.

- Pokój numer trzy - powiedział. - Czy mam zamówić kąpiel? A może życzysz sobie jeszcze czegoś?

Emily wzięła klucz i ruszyła w stronę schodów.

- Emily...

Zatrzymała się i odwróciła głowę. Co on chce jej jeszcze powiedzieć? Czy „do widzenia”?

- Mogę polecić, żeby ze stajni przyniesiono ci torbę - zaproponował.

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Jeżeli nie zostajemy tu na noc, to nic mi nie potrzeba.

Pomachała mu rękę i poszła na górę.

Jake patrzył za nią, dopóki nie zniknęła. Powinien przestać o niej myśleć. Powinien zabrać się do pracy. Podszedł do recepcjonisty i przedstawił mu rysopis Ansona Berkeleya.

Godzinę później siedział w biurze szeryfa i chyba po raz dwudziesty opisywał Berkeleya. Nikt w mieście nie widział żadnego obcego, który by go przypominał.

- Nie miałem żadnych wiadomości z Topeki na temat tego zbiega - wyjaśnił szeryf. Krzesło skrzypiało pod ciężarem jego zwalistego ciała.

- Bo nie jest to chyba taka ważna sprawa.

- Nie taka ważna?

Krzesło znowu zaskrzypiało, a Jake zdziwił się, że wciąż jest całe.

- Przecież - mówił dalej szeryf - poruszył pan całe miasto, dopytując się o tego człowieka. Więc chyba pana zdaniem jest to jednak sprawa bardzo ważna.

- To ze względów osobistych.

Szeryf roześmiał się głośno.

- Aha.

Wstał i spojrzał na Jake'a z góry.

- Niech pan posłucha, kolego. Ja wiem, że pan przyjechał tutaj koło południa, z ładną ciemnowłosą damą. Wiem, że zjedliście obiad w Hays House i wynajęliście jeden pokój, wiem także, że pan chodził potem po mieście, dopymając się o tamtego. Czy przypuszcza pan, że gdyby on się tutaj pojawił, to nie miałbym o tym pojęcia?

- No tak, oczywiście, wiedziałby pan o tym.

- A teraz niech pan pomyśli, ile kłopotów oszczędziłby pan sobie, gdyby najpierw przyszedł pan do mnie.

- Ja tu byłem, ale pana nie było w biurze.

Szeryf roześmiał się i opadł na krzesło.

- Podoba mi się pan, chłopcze. Chciałbym panu pomóc, ale tego Berkeleya tutaj nie było.

Jake wyjął z kieszeni mapę.

- Właściciel rancza, pan Kinney, narysował mi tę mapę wczoraj wieczorem - powiedział. - Berkeleya ostatnim razem widziano tutaj, na ranczu Garveyów. To są farmy, które zaznaczył mi pan Kinney, uważając, że jest możliwe, iż Berkeley poszuka tam schronienia. Czy pan mógłby zaznaczyć jeszcze jakieś inne?

Szeryf wziął mapę i postukał w nią grubym palcem.

- Dość dokładna - pochwalił. - Tu, w tym miejscu, jest jeszcze jedna mała farma.

Znalazł na biurku ołówek i zaznaczył położenie farmy.

- Czy ma pan zamiar sprawdzić wszystkie te miejsca?

- Chciałbym spróbować.

Jake złożył mapę i schował ją do kieszeni.

- Jeżeli Berkeley się tu pojawi, to proszę go zatrzymać

- powiedział. - Bo ja, jeżeli go nie znajdę, wrócę do Council Grove.

Wstał i chciał już odejść, powstrzymał go jednak głos szeryfa:

- Chwileczkę, kolego. Jaka jest w tym wszystkim rola młodej damy?

Jake zastanawiał się, do jakiego stopnia powinien być szczery i ile szczegółów ujawnić. Nie zdołał zmusić się do tego, żeby powiedzieć, iż Emily kocha uciekiniera i chce się z nim połączyć, ponieważ jest w ciąży. Nie zamierzał również wyjawiać motywów, które nim kierują. Zresztą, szeryf, który tak dobrze wie, co się dzieje w mieście, wkrótce zorientuje się, że już razem nie podróżujemy.

- To sprawa osobista, sir - powiedział w końcu.

Szeryf wybuchnął śmiechem, który brzmiał w uszach Jake'a jeszcze za drzwiami.

Śnieg sypał grubymi płatkami niemal bez przerwy. Zerwał się porywisty wiatr. Białe słońce ledwie przebijało się przez grube, szare chmury.

Jake z ciężkim sercem ruszył do stajni. Nim wszedł, spojrzał na drugą stronę ulicy, w okna na piętrze Hays House. Miał wielką ochotę tam pobiec, jednak się powstrzymał. Zresztą i tak nie wie, które okno należy do pokoju Emily.

Gdy siodłał białą klacz, jego wzrok padł na dy wanikową torbę. Odczuł pokusę, by posłać z nią kogoś na drugą stronę ulicy. Nie chciał, żeby Emily musiała wychodzić po nią na takie zimno. Ale z drugiej strony gdyby ktoś teraz przyniósł jej torbę, z pewnością obudziłoby to jej podejrzenia.

Jego koń był już gotowy do drogi, a on wciąż się wahał

- zrobiło się przecież tak zimno. Zastanowiwszy się przez chwilę, *znalazł* wyjście kompromisowe. Chwytał torbę Emily i pobiegł do hotelu.

- Gdy pani Prescott zejdzie na dół, proszę jej to oddać - powiedział do recepcjonisty, a potem szybko wyszedł.

Dosiadłszy konia, ruszył prosto na farmę położoną w połowie drogi pomiędzy miastem a ranczem Garveyów. Próbował przygotować sobie plan działania - wymyślić, o co zapyta farmera i dokąd pojedzie potem - jednak wciąż powracał myślami do Emily.

Ciekawe, kiedy zacznie go szukać? I kiedy zorientuje się, że ją opuścił? Czy się przestraszy? Chyba nie. Jest bardziej prawdopodobne, że ogarnie ją gniew.

A jednak... Emily, taka młoda, znajdzie się przecież zupełnie sama w obcym mieście. Na pewno poczuje się zdradzona. Jake wyobraził sobie jej wielkie, piwne oczy, oczy, w których był strach i ból - i zaczął siebie przeklinać.

Z drugiej strony... Emily jest przecież zaradna. Wtedy kiedy tak bardzo chciała przyłączyć się do pościgu, potrafiła kupić doskonałego konia. Na pewno bez żadnych trudności wróci do domu - albo ruszy na spotkanie z Berkeleyem.

Spróbował odpędzić od siebie takie myśli. Okazały się bowiem bardziej niepokojące niż obraz biednej zagubionej dziewczyny, który wcześniej podsunęła mu wyobraźnia.

No cóż, Emily potrafi o siebie zadbać. Przecież zawsze, przez całe życie, robiła to, co chciała. Uciekła z kochankiem, wyskoczyła z pociągu i zmusiła jego, Jake'a, do tego, żeby zabral ją ze sobą. Nie będzie miała żadnych kłopotów.

Nagle Jake uświadomił sobie, że z przeciwka, kierując się na północ, zbliża się jakiś mężczyzna. Powinien go zauważyć

wcześniej, lecz zbyt głęboko pogrążony był w myślach. Uniósł kapelusz w geście powitania, a mężczyzna odpowiedział mu tym samym.

Jake jechał dalej, próbując zapomnieć o Emily. Był przecież stróżem prawa, który ściga zbiega. Dlaczego tak łatwo przychodzi mu o tym zapomnieć? Może powinien zająć się znowu trenowaniem koni? Wtedy skupiałby się na swojej robocie. Roześmiał się głośno, bo przypomniał sobie, jak Christian popadał w zadumę w czasach, gdy Lynnette dopiero co zamieszkała na ranchu. Chyba nie chodzi tu o rodzaj pracy, tylko o kobiety! - pomyślał Jake. Albo o nasze uczucia do nich.

Jego oczom ukazała się mała farma nad potokiem wśród drzew. Dym unoszący się z komina obiecywał odpoczynek przy ogniu. Ale on miał przed sobą daleką drogę. Tylko się tutaj rozpyta i pojedzie dalej.

Po przebudzeniu Emily poczuła się naprawdę wypoczęta. Nie była pewna, jak długo spała. Może ponad godzinę, może ze dwie. Przeciągnęła się i w samych pończochach podeszła do okna. Śnieg, który wyglądał tak pięknie, gdy padał, zamienił się w brudną breję. Emily dotknęła szyby i przypomniała sobie Jake'a. Oczami wyobraźni zobaczyła go, jak się oddala w płaszczu i kapeluszu przyprószonym śniegiem.

- Wracaj prędko - powtórzyła życzenie wypowiedziane już przedtem.

A może już wrócił? Może wynajął drugi pokój i czeka teraz, aż ona się obudzi? Może w jej drzwiach tkwi liścik albo w recepcji jest wiadomość?

Nie zwracając sobie głowy obtartą piętą, Emily włożyła

szybko buty i zbiegła na dół. Była trochę zdziwiona swoim własnym podnieceniem, ale zaraz przestała się nad nim zastanawiać.

- Czy jest jakaś wiadomość dla panny Prescott od Jake'a Rawlinsa? - zapytała z promiennym uśmiechem.

- O tak, proszę pani - odrzekł recepcjonista i sięgnął pod kontuar, wydając stamtąd dywanikową torbę. - Pan Rawlins prosił, żeby to pani dać, kiedy pani zejdzie na dół.

- Aha, moja torba. Czy pan Rawlins wynajął drugi pokój?

- Nie proszę pani. Widziałem, jak wyjeżdża z miasta.

Emily zastygła w bezruchu. Chyba źle usłyszała?

- Ale to niemożliwe.

- O tak, proszę pani. Jego białą klacz bardzo łatwo rozpoznać. Widziałem, jak na niej odjechał. Czy pani zostanie na noc?

- Nie.

Emily chwyciła torbę.

- Ja też wyjeżdżam.

Pobiegła na górę i wpadła do pokoju.

- Jak on mógł! - pieniała się, szukając w torbie rzeczy, które mogłaby na siebie włożyć.

Pojedzie za nim!

Nie miała pojęcia, gdzie się skierował. Nie miała też pojęcia, jak się tego dowiedzieć. Popytać wśród ludzi? Jednak sposób ten się nie sprawdzał od chwili, gdy opuścili ranczo Garveyów. Zapewnie teraz też nie przyniesienie efektów. Skończy się na tym, że ona, Emily, zabłądzi. A poza tym rozpytywanie zajmuje zbyt dużo czasu.

Zapięła pospiesznie bluzkę i wpuściła ją w spódnice do konnej jazdy. Wiedziała, że powinna włożyć drugą parę poń-

czoch, ale nie chciała tracić czasu. Skąd ma wiedzieć, kiedy wyjechał Jake i jaką zyskał nad nią przewagę?

- Niech go wszyscy diabli - mruknęła, zarzucając na ramiona pelerynę i chwytając torbę. - Zaczynałam właśnie...

Zamarła, przykrywając sobie usta dłonią. Omal nie powiedziała. .. Nie, nie, nawet nie może o tym myśleć. Nie kocha przecież Jake'a.

Jeżeli natomiast zaczynała się w nim zakochiwać, to jego ostatni postępek powinien ją z tego wyleczyć!

- Jak on mógł potraktować mnie w ten sposób! - powiedziała do siebie, schodząc po schodach.

Miała już pewien plan. Podeszła do recepcjonisty i zapytała:

- Gdzie mogę znaleźć biuro szeryfa?

Recepcjonista zrobił zdziwioną minę.

- Trzeba iść w tamtym kierunku - odpowiedział i wskazał gestem dłoni.

- Dziękuję bardzo - odrzekła ze słodkim uśmiechem Emily, wyszła z hotelu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Udawał, że jest moim przyjacielem! - złościła się, idąc przed siebie. - Był taki dobry. Taki opiekuńczy!

Omial nie przegapiła biura szeryfa. Minęła je właśnie, lecz dojrzawszy napis kątem oka, cofnęła się i, oddychając głęboko, szybko postanowiła, co powie. Z żalosną miną weszła do środka.

- Musi mi pan pomóc - zaczęła błagalnym tonem. - Mój mąż...

Tu zająknęła się, odetchnęła, po czym kontynuowała:

- Mój mąż mnie porzucił!

Głos jej się załamał. Było to całkiem przekonujące.

Potężny mężczyzna wstał ze swego miejsca. Na widok jego miny Emily ogarnęły wątpliwości, czy postępuje rozsądnie. Nie miała jednak wyjścia, musiała brnąć dalej. Pociągnęła głośno nosem.

- Pan Rawlins jest pani mężem? Przecież zameldował panią w hotelu jako pannę Prescott.

Emily nie potrafiła tego tak natychmiast wyjaśnić.

- Ooo! -jęknęła, starając się zalać łzami.

W ciągu ostatnich paru dni pojawiały się z taką łatwością, więc gdzie się podziały teraz?

- No dobrze, już dobrze, panien... proszę pani.

Szeryf niezdarnie poklepał ją po plecach.

- On szuka tego zbiega. Powiedział, że tutaj wróci. Jestem pewien, że chciał, żeby pani na niego poczekała!

Czekać tu na niego!? O nie!

- Nie, nie. On kłamał. On... on wcale nie ściga zbiega.

O Boże, w co ona się pakuje? Jednak nie było wyjścia, musiała odnaleźć Jake'a.

- Ależ proszę pani, on rozpytywał o tego Berkeleya w całym mieście. Jest zdecydowany go znaleźć. Mówił, że to sprawa osobista. Proszę poczekać w hotelu, pozwalając mu wykonać jego pracę.

- O Boże, Boże -jęknęła znowu Emily, chcąc zyskać na czasie.

Więc to sprawa osobista, tak?

- Berkeley nie jest zbiegiem - wyjaśniła, pociągając znów nosem i wciąż nie mogąc zalać się łzami. - On jest po prostu naszym znajomym. A Jake jest taki... zazdrosny.

- Nie jest zbiegiem?

W głosie szeryfa zabrzmiała wściekłość.

Emily pokręciła głową, nie patrząc mu w oczy.

- Znajdziemy go - oznajmił szeryf, biorąc swój płaszcz.

- Zaraz! Proszę zaczekać. Ja muszę pojechać z panem.

- Ależ proszę pani, jest bardzo zimno. Skrzyknę chłopców i zaraz go złapiemy.

Emily ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

- Muszę z panem jechać!

- No dobrze, już dobrze - powiedział, klepiąc ją po ramieniu.

Odwrócił się i otworzył drzwi. Emily pospiesznie ruszyła za nim.

Szeryf zwołał swoich ludzi.

- Widzieliście wszyscy tego obcego, który był tutaj w południe - zwrócił się do nich. - Większość z was z nim rozmawiała. Okazuje się, że ten łotr chce porzucić tę panią.

Emily zaczęła głośno szlochać.

- Musimy go złapać. Kto widział, jak wyjeżdża, wystąp!

Emily cofnęła się i obserwowała wszystko uważnie. Szeryf zdołał sprawić, że wszyscy jego podwładni byli teraz oburzeni na Jake'a. Zaczęła się więc niepokoić o jego bezpieczeństwo. Zresztą dobrze mu tak - nie powinien jej porzucać!

- Ten człowiek może być niebezpieczny - ostrzegł szeryf. - Każdy, kto spojrział w jego zimne niebieskie oczy...

- Zielone - poprawiła odruchowo Emily.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- On ma zielone oczy - powtórzyła nerwowo. - I wcale nie takie zimne.

- Dobrze, dobrze - powiedział szeryf, poklepując ją po ramieniu.

Rozległ się szmer współczucia.

Na komendę szeryfa mężczyźni poszli przygotować konie. Okazało się, że właściciel stajni osiodłał także wałacha Emily. Pomógł jej go dosiąść i przymocować torbę. Podziękowała mu za to nieśmiałym uśmiechem.

Szeryf nie marnował czasu. Chwilę później Emily galopowała pomiędzy nim a właścicielem rancza, który spotkał Jake'a na drodze. Miała nadzieję, że zaraz go dogonią. Z pewnością nie jechał tak szybko jak oni.

Po kilkunastu minutach szaleńczej jazdy zatrzymali się na farmie. Szeryf zamienił kilka słów z właścicielem, który wskazał im kierunek. Ruszyli w dalszy pościg.

Po następnych kilku minutach spostrzegli przed sobą samotnego jeźdźca na białym koniu. Szeryf z okrzykiem tryumfu przyspieszył. Emily i pozostali pogalopowali za nim.

Jeździec zatrzymał się i rozejrzył wokoło, tak jakby chciał się za coś schować. Niczego takiego jednak nie dostrzegł. Wokół rozciągały się pola. Zsiadł więc z konia i odrzucił połę płaszcza, spod których ukazał się rewolwer zatknięty za pas.

- Jake! - zawołała Emily ostrzegawczo.

- Mamy go - zapewnił ją szeryf.

Podjechali bliżej i kołem otoczyli Jake'a, który rzucił okiem na Emily, a potem skupił wzrok na szeryfie. Emily zapragnęła, żeby spojrzał na nią ponownie i zobaczył, jak kpiąco się uśmiecha. Zaraz jednak przykryła sobie usta dłonią, żeby jej uśmiechu nie zauważyli pozostali.

- Synu - zaczął groźnie szeryf - my, mieszkańcy tej okolicy, traktujemy przysięgę małżeńską poważnie.

Te słowa sprawiły, że Jake popatrzył na Emily, która, uśmiechając się teraz błagalnie, starała się wyglądać na porzuconą żonę.

- Dlaczego mnie opuściłeś, kochanie? - zapytała zdławionym głosem.

Chciała pociągnąć nosem, ale bała się, że się roześmieje.

Jake nic nie odpowiedział. Znow spozrzył na szeryfa, nie mając pewności, co ten postanowił zrobić. Emily przyszło do głowy, że szeryf, być może, zechce wymierzyć Jake'owi karę. Zeskoczyła więc z konia i rzuciła się swemu domniemanemu mężowi na szyję.

- Kochanie - zagruchała - nie zostawisz mnie więcej, prawda?

- Nie spodziewaj się, że ci to pomoże w czymkolwiek - powiedział cicho Jake.

- Wydaje mi się - zauważył szeryf - że lepiej, by kobieta była wdową niż żoną człowieka, który od niej ucieka.

Emily zeszywniała na te słowa. Nie spodziewała się, że szeryf potraktuje sprawę aż tak poważnie. Ukryła twarz na piersi Jake'a i zaczęła głośno szlochać.

- Niech pan przestanie myśleć o ściganiu znajomego żony - mówił dalej szeryf. -I niech pan będzie dla niej dobry. Niech pan zapomni o tym, co było. Obiecuje mi pan to?

Jake milczał. Emily dała mu kuksańca. Czy on zgłupiał, czy co? - pomyślała przy tym.

- O tak, sir. Przede wszystkim nie spuszcze jej z oka.

Emily odsunęła się, żeby spiorunować go wzrokiem, ale on patrzył na szeryfa.

- To dobrze, mój chłopcze, i niech pan pamięta, co powiedziałem.

Dał znak swoim ludziom i wszyscy zawrócili, mierząc Jake'a nieprzychylnymi spojrzeniami.

Jake westchnął i odsunął się od Emily, która próbowała odgadnąć, co on czuje. Czy jest na nią wściekły? Przedtem nie zastanawiała się nad tym, jak zareaguje, gdy dogoni go w otoczeniu szeryfa i jego ludzi.

- Musiałam cię odnaleźć - powiedziała szybko.

A potem, uświadamiając sobie, że omal nie zdradziła powodu, dla którego to zrobiła, dodała:

- Jesteś mi potrzebny. Musisz mi pomóc znaleźć Ansona.

Zapragnęła, żeby przyciągnął ją do siebie i znowu wziął w ramiona. Tak jej było dobrze w jego objęciach! Jednak przed chwilą tylko udawali. A poza tym nie czeka ich wspólna przyszłość. Gdyby się dowiedział o dziecku, czułby do niej jedynie pogardę.

A może nie mówić mu o ciąży? Może to zataić? Zaraz jednak zrezygnowała z tej możliwości. Potrafiła oszukiwać, lecz nie byłaby zdolna uwieść Jake'a po to, by mu potem wmówić, że to jego dziecko. Trzeba znaleźć inne rozwiązanie.

Jake musiał dostrzec niepokój w jej oczach, bo podszedł bliżej i dotknął dłonią jej policzka.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. No tak, teraz, gdy już po wszystkim, zacznę płakać - pomyślała.

- Potrzebuję twojej pomocy w poszukiwaniu Ansona - powiedziała, choć prawdą było to, że potrzebowała nie jego pomocy, lecz jego samego.

Jake delikatnie ją objął, a ona zastanowiła się, czy wyczytał z jej oczu więcej, niżby chciała. Było jej ciepło w jego objęciach i czuła się w nich bezpieczna.

Chociaż może nie do końca. Oblała ją bowiem fala gorąca. Usiłowała nie zwracać na to uwagi. Wiedziała bowiem, co ją spowodowało. Pragnienie. Wielkie pragnienie, które ją nagle ogarnęło.

Odsunęła się nieco, a jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Oddech Jake'a był przyspieszony i płytki. Taki oddech nie wróży niczego dobrego.

Jednakże Emily nie była w stanie się cofnąć. Wydawało się, że dłonie Jake'a trzymające ją przecież delikatnie, uwięziły ją w żelaznym uścisku. Jake przymknął oczy, rozchylił wargi. Emily bezwiednie przysunęła się jeszcze bliżej. A może to on ją przyciągnął? Nie wiedziała, jak było naprawdę. Nagle poczuła jego usta na swoich.

Żar ogarnął ją całą. Zaczęła drżeć. Tak bardzo, tak ogromnie, wbrew rozumowi, pragnęła posmakować ust Jake'a. Gdy w pełni zdała sobie z tego sprawę, jej pragnienie się spełniło. Ciepłe, miękkie wargi objęły jej usta, a jej ciało przyłgnęło do muskularnego torsu. W tym momencie ją olśniło - zrozumiała, że trzyma ją w ramionach mężczyzna, którego kocha.

Podniósł głowę, a ona westchnęła i rozchyliła wargi. I omal nie powiedziała: „Kocham cię”.

Opamiętała się jednak. Odskoczyła, przykrywając sobie usta dłonią. Nie - nie powiedziała ani słowa! Popatrzyła na Jake'a. Widziała, że jest zaskoczony. Czy byłby zaskoczony jeszcze bardziej, gdyby mu wyznała miłość? Ze strachem czekała na jego słowa.

A on odetchnął głęboko, starając się zapanować nad sobą.
- Przepraszam - powiedział w końcu.

Przeprasza? Za co? Czy za pocałunek? No cóż, powinna

mu na to pozwolić. Powinna grać niewiniątko. Udawać, że wykorzystał jej słabość.

Opuściła rękę.

- To moja wina - usłyszała własne słowa.

No tak, rzuciła mu się na szyję, żeby oszukać szeryfa. A ten pocałunek... ten pocałunek po prostu się im przydarzył.

Jake uśmiechnął się szeroko. Nie była to bynajmniej reakcja, jakiej Emily się spodziewała.

- Kobiety od wieków biorą na siebie winę, gdy mężczyźni okażą pożądanie. Kimże jestem, by się z tobą spierać?

Pożądanie? Więc to tak?! Ona się w nim zakochała, a on odczuwał po prostu pożądanie?! No cóż, nie powinna się temu dziwić. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Tymczasem ona myślała, że Jake jest wyjątkiem. Odwróciła się na pięcie i podeszła do wałacha.

Jake postąpił za nią i - zanim zdołała się zorientować - objął ją w tali. Przeprosi teraz za tę uwagę - pomyślała. Pocałuje ją jeszcze raz. Już miała się odwrócić i stanąć z nim twarzą w twarz. Nie zdążyła jednak, bo on podsadził ją na siodło.

- Hop i zaraz ruszamy - powiedział.

Och, wybije go sobie z łatwością z głowy. Miała ochotę go kopnąć, ale on złapał ją za nogę i włożył jej stopę w strzemię.

Położył dłoń na jej kolanie i podniósł na nią wzrok.

- Emily - zaczął łagodnym tonem - zostawiłem cię w mieście, bo chciałem, żebyś była bezpieczna. Ale nie żebyś się bała. Przez cały czas miałem wyrzuty sumienia. Cieszę się, że mnie odnalazłaś.

Odwrócił się i wsiadł na swoją klacz, po czym ruszyli. Emily ukradkiem spoglądała na Jake'a. Czy naprawdę wybaczył jej to, że odegrała tę komedię na użytek szeryfa i jego ludzi?

On zawsze potrafił wybaczać. Bóg jeden wie, ile razy dała mu do tego okazję. Może więc tym razem wybaczył jej po prostu z przyzwyczajenia? A może tak mało go obchodziła, że wybaczenie przyszło mu bez trudu?

Możliwe jednak, że był najwspanialszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Jak ja się mam teraz odkochać? - pomyślała Emily, jadąc obok niego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na następnej farmie nie zastali nikogo. Jake z początku chciał trochę poczekać, jednak gdy napoili konie, postanowił, że ruszą wzdłuż potoku, kierując się w stronę kolejnej farmy. Emily trzymała się lepiej niż poprzedniego dnia. Widocznie sprawił to poobiedni odpoczynek albo emocje pogoni za Jakiem.

Jadąc wąską drogą wzdłuż potoku, Jake ukrywał uśmiech. Był bardzo zaskoczony, gdy zobaczył, że ściga go cała grapa mężczyzn, a potem wprost zaszokowany, gdy w tej grupie dostrzegł Emily. Następnie jednak ogarnął go spokój. Pomyślał bowiem, że wszystko potoczyło się tak, jak przewidywał. Uparta i zaradna Emily znalazła sposób, by go dogonić. To było oczywiste. Powinien się tego spodziewać.

Teraz Emily jest przy nim, to znaczy tam, gdzie jej miejsce. Serce wypełniła mu radość. Ależ za nią tęsknił!

Zaprzagnął spojrzeć na jej twarz, lecz ona ukryła ją pod kapturem. Pochylił się w jej stronę i zobaczył, że marszczy brwi. Pograżona w myślach nie zauważyła, że jej się przygląda.

Wyprostował się zaniepokojony. Czyżby coś ją bolało?

- Emily? - zagadnął tonem pełnym niepokoju.

Drgnęła.

- Co takiego?

- Nie chciałem cię przestraszyć. Ja tylko... Czy dobrze się czujesz?

- Tak, dobrze.

Jednak przed chwilą nie wyglądała dobrze.

- Posłuchaj, Emily, odegrałaś komedię przed szeryfem i jego ludźmi, ale to ci nie odbiera prawa do narzekań. Jeżeli chcesz odpocząć, to mi po prostu powiedz.

- O Boże, Jake -jęknęła tonem osoby wyraźnie sfrustrowanej.

- Co? - zapytał łagodnie. - Co ja takiego zrobiłem?

Westchnęła i spojrzała na niego groźnie. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Nagle go olśniło. Chodzi o pocałunek. Emily jest zła, bo ją pocałował. Niewykluczone, że obawia się przebywać z nim teraz sam na sam. A on tak bardzo chciał, żeby czuła się bezpieczna.

Pocałunek był błędem. Jake wiedział, że będzie żałował, jeżeli ulegnie pokusie. Jednak wydawał się czymś tak naturalnym. A poza tym Jake mógłby przysiąc, że Emily go odwzajemniła.

Zapamiętał przecież każdy szczegół. Nie zapomniał, jak jej ciało miękko przyłgnęło do niego i jak chwyciła go za kłapy płaszcz. Pamiętał też jej wargi - ciepłe i podatne, wargi, które przecież go całowały.

Aha, więc o to jej chodzi. O to, że odwzajemniła pocałunek. Że zdradziła w ten sposób Berkeleya.

Jake usiłował powstrzymać uśmiech. Nigdy w życiu nie był tak zadowolony z siebie. Czuł się tak dobrze, że nawet nie przyszło mu do głowy, żeby przeproszać Emily.

Spojrzał na nią i zauważył, że nadal groźnie marszczy brwi.

- O co chodzi? - spytała. - Dlaczego się uśmiechasz?

- Ty pierwsza - odrzekł, udając powagę. - Dlaczego marszczysz brwi?

- Jesteś niemożliwy - powiedziała. - Powinnam cię nienawidzić!

- Za co?

Był teraz szczerze przerażony.

- Czy za to, że cię zostawiłem samą? A może za to, że cię pocałowałem?

- Tak. Tak. A także z innych powodów. Chciałabym cię nienawidzić, ale nie potrafię!

Uderzyła dłonią w siodło.

Jake roześmiał się. Wiedział, że nie należało. Że powinien potraktować jej słowa poważnie, bez względu na to, jak bardzo były absurdalne.

- Jesteś zła, bo nie potrafisz mnie nienawidzić? Ależ oczywiście, że nie potrafisz. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Od zawsze. A przyjaciele złością się na siebie, a potem sobie wybaczą.

- Nie zamierzam ci wybaczyć - mruknęła.

- A ja bardzo chcę, żebyś to zrobiła. Jednak wybór należy do ciebie. Wiesz przecież, że ja też mógłbym być na ciebie zły za to, że zorganizowałaś pogon.

- Wiem o tym - powiedziała przez zęby, zaraz jednak odetchnęła głęboko, tak jakby chciała się uspokoić. - Powiedz mi, dlaczego się uśmiechałeś?

Jake uśmiechnął się znowu.

- Bo mnie pocałowałaś.

- Ja wzięłam na siebie winę, bo rzuciłam ci się na szyję ze względu na szeryfa. Ale cię nie pocałowałam.

Jake pokiwał głową.

- Przecież ja tam byłem. I byłem przytomny. Pocałowałaś mnie.

Emily była znowu zła.

- Posłuchaj. Ja cię nie pocałowałam. Nie mogłam tego zrobić. Bo jestem od ciebie niższa!

Jake roześmiał się głośno, bo przecież to, co mówiła, nie miało żadnego sensu.

- Nie mówię, że jesteś jedyną osobą, która wtedy całowała - powiedział. - Mówię po prostu, że ja także nie jestem jedyny.

Już miała coś odpowiedzieć, ale on ją uprzedził:

- Oto kolejna farma.

Wskazał dom stojący tuż przed nimi, którego Emily aż do tej chwili nie zauważyła.

Gdy Jake podjechał do domu, Emily została w tyle. Musiała się trochę uspokoić. Wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie, a Jake był taki... taki troskliwy. Utrudniał jej tym tylko sytuację, a ona przecież tak bardzo chciała się odkochać.

Starła się rozważyć wszystko jeszcze raz. Więc tak, najpierw Jake martwił się, że ona nie narzeka, a później się śmiał! Bezczelny! Myślał, że chodzi o pocałunek! A przecież ona ani przez chwilę nie zaprzętała sobie tym pocałunkiem głowy. Twierdził, że nie był jedyną osobą, która całowała. No cóż, ona lubi pocałunki. To wszystko. Może go nawet pocałować ponownie. Taki pocałunek nic dla niej nie znaczy!

Boże drogi, czy ona zwariowała? Przecież prawda jest inna. Prawdą jest to, że się na to nie odważy!

Dogoniła Jake'a, który był już na podwórzu. Zamierzał właśnie zsiąść z konia, gdy przed domem pojawił się starszy człowiek z bronią gotową do strzału.

- Dzień dobry - powiedział Jake uprzejmie.

Wyglądało jednak na to, że stary człowiek, w przeciwieństwie do Emily, jest w stanie oprzeć się jego czarowi. Stał gotowy do obrony, nie opuszczając broni.

- Czego chcecie? - zapytał.

- Ścigamy pewnego człowieka. Ten człowiek mógł tędy przejeżdżać wczoraj po południu. Jest młody, ma dwadzieścia kilka lat, średniego wzrostu, szczupły, ma proste, jasne...

Stary człowiek splunął.

- To ten złodziejaszek - powiedział z obrzydzeniem.

- Zgadza się - potwierdził Jake.

Emily zachnęła się oburzona, ale on nie zważał na jej reakcję.

- Powiedział, że chce kupić trochę owsa dla konia - mówił stary człowiek. - A potem, kiedy poszedłem do stajni po owies, wszedł do domu i wziął pieniądze. Trzydzieści dolarów, które miałem odłożone na czarną godzinę. Zauważyłem ich brak dopiero dziś rano.

- Ależ proszę pana, pan z pewnością się myli. Eldon nigdy by nie...

- Pojechał w stronę farmy Fullerów - ciągnął starszek, nie zwracając uwagi na Emily. - Pojechałbym zobaczyć, co się tam dzieje, ale koń mi okulał.

- Ja sprawdzę, co się dzieje u Fullerów - zapewnił go Jake.

Po czym zsiadł z konia i podszedł bliżej.

- Czy może mi pan pokazać na tej mapie, gdzie leży farma?

Staruszek odłożył broń i przyjrzał się mapie.

Emily patrzyła na obu. Powinna zsiąść z konia i rozprostować nogi, bo kto wie, jak daleko jest do Fullerów. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że nie wiadomo, czy nogi by się pod nią nie ugięły. Czy Anson naprawdę okradł tego biedaka? Rozejrzała się po ubogim, ale porządnym obejściu. Trzydzieście dolarów to dla tego człowieka duża suma.

Nie zastanawiając się długo, sięgnęła do torebki, ukrytej pod peleryną. Było tam jeszcze ponad dwadzieścia dolarów. Odliczyła trzydzieście, zastanawiając się, co powie starzec, kiedy wręczy mu pieniądze. Poczekwała, aż Jake się odwróci, aby wsiąść na swego konia, i wtedy zbliżyła się do farmera.

- El don... - zaczęła. - To znaczy ten człowiek, który tutaj był... Ja nie wierzę, że on ukradł panu pieniądze.

- Ktoś to zrobił, proszę pani. Nikogo innego tu nie było.

- Jeżeli pieniądze wziął Eldon, to ja je sobie od niego odbiorę- powiedziała szybko Emily, wręczając staremu zwitek banknotów.

Zawahał się, ale jednak wziął pieniądze.

- To pani krewny?

- Coś w tym rodzaju - odrzekła, zastanawiając się, czy to ułatwi farmerowi przyjęcie pieniędzy.

- Dopilnujcie, żeby już tu więcej nie przyjeżdżał - poprosił farmer, wchodząc do domu.

Emily zawróciła konia i podjechała do Jake'a.

- Czy masz zamiar przez całe życie płacić długi Ansona?
- zapytał.

- Proszę cię, Jake, przestań. Anson nie wziął pieniędzy. Ja po prostu chciałam pomóc temu staruszkowi.

Jedno spojrzenie na twarz Jake'a przekonało ją, że Jake jej nie wierzy. Zresztą, nie miała pewności, czy sama wierzy we własne słowa.

- Jak daleko jest do Fullerów? - zapytała, pragnąc zmienić temat.

- Tylko kilka mil.

Te kilka mil przejechali w milczeniu. Emily zastanawiała się, o czym myśli Jake, ale bała się zapytać. On z pewnością uważa, że Anson zachowuje się dokładnie tak, jak przewidywał. Równocześnie nie miała pojęcia, co sama powinna o tym wszystkim sądzić. Drżała na całym ciele, a o to drżenie przyprowadził ją nie chłód panujący naokoło, tylko chłód, który zakradł się do jej serca.

Niebo zasnuły ciężkie chmury. Zaraz spadnie śnieg, pomyślała Emily odruchowo, nie przywiązując do tego żadnej wagi.

W końcu ich oczom ukazała się farma Fullerów. Dom był bardzo mały, przypominał szałas. Gdy podjechali do jego drzwi, na progu pojawił się młody człowiek. Wyglądał na młodszego od Emily.

- Czy mogę państwu w czymś pomóc? - zapytał.

Jake zsiadł z konia i zaczął, jak zwykle, opisywać Ansona. Chłopak kiwnął głową.

- Był tutaj wczoraj po południu. Napoił konia, ale nie zabawił długo.

Za chłopakiem stanęła dziewczyna otulona zniszczonym szalem. Chłopak przyciągnął ją do siebie. Emily przyjrzała im się z uwagą. Wyglądali tak młodo.

- Czy on coś stąd zabrał? - zapytał Jake, a Emily, słysząc to pytanie, spojrzała na niego gniewnie.

Młodzi ludzie pokręcili przecząco głowami.

- My nie mamy zbyt wiele - odparł chłopak. - Właściwie nic, co można by ukraść.

Popatrzyli na siebie, uśmiechając się czule.

- Chcą państwo wejść i się ogrzać? - zaproponowała dziewczyna. - Zrobiłam właśnie kawę.

Emily już miała grzecznie podziękować, ale Jake powiedział:

- Dziękujemy za zaproszenie. Dobrze będzie rozprostować nogi.

Odwrócił się do Emily i pomógł jej zsiąść z konia. Chłopak ujął wodze.

- Napoję wasze konie nad potokiem - oznajmił.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - syknęła Emily do ucha Jake'owi, gdy szli w stronę otwartych drzwi. - Czy nie powinniśmy ścigać tego twojego złodzieja?

- Zmarzaś - odrzekł Jake, puszczając ją przodem.

- Proszę bardzo - zapraszała dziewczyna.

Przysunęła dwa krzesła do żelaznego piecyka, który był jedynym źródłem ciepła w domku. Gdy Emily i Jake usiedli, wręczyła każdemu po poobijanym kubku z kawą.

- Czy wasz wczorajszy gość dużo mówił? - zapytał ją Jake.

- No cóż - odrzekła, zakładając ręce na piersiach i marszcząc brwi. - Interesowało go, jak długo tu mieszkamy i jak nam się powodzi. Wydawało nam się, że może szuka farmy dla siebie.

- A pytał was, czy odkładacie pieniądze?

Emily miała ochotę kopnąć Jake'a w kostkę za to, że zadaje takie pytanie, ale za bardzo zależało jej na tym, żeby usłyszeć odpowiedź.

Dziewczyna skinęła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

- Powiedziałam mu, że wpłaciłam do banku trzy dolary, które zarobiłam, sprzedając masło i jajka.

- Z banku nie uda mu się ich wydobyć - zauważył Jake.

- A gdybym nie powiedziała nic o banku, to myśli pan, że spróbowałyby nas obrabować?

Jake uśmiechnął się do niej czarująco.

- Teraz jesteście bezpieczni - zapewnił ją.

Do wnętrza domku wszedł chłopak.

- Ten człowiek, który tu był wczoraj, to złodziej - poinformowała go żona.

Emily wzniosła oczy do nieba.

- Musicie być trochę ostrożniejsi, kiedy pojawia się ktoś obcy - poradził Jake gospodarzom, wstając. - Dzięki za kawę.

Emily odstawiła kubek, mruczając pod nosem:

- Przecież my też jesteśmy obcy.

Sięgnęła po pelerynę równocześnie z Jakiem. Ich palce się spotkały, a ona pospiesznie cofnęła rękę. On - jeżeli nawet zauważył jej zmieszanie - nie dał nic po sobie poznać. Otulił jej ramiona peleryną i podziękował chłopakowi, że zajął się koźmi.

Pojechał przodem w stronę drogi, po czym zatrzymał się, rozłożył mapę i zaczął ją studiować.

- Nad potokiem są jeszcze dwie farmy, które powinniśmy

odwiedzić - oznajmił. - Potem musimy pojechać w góry, na ranczo.

- A gdzie przenocujemy? - zapytała Emily.

Jake popatrzył na nią uważnie.

- Zmęczona? - zapytał.

- Mam już dość - przyznała.

Uśmiechnął się szeroko.

- Chcesz, żebym cię zawiózł z powrotem do miasta?

- Posłuchaj, Jake, jak należy postępować z człowiekiem, zanim udowodni mu się winę?

Nie odpowiedział. Emily patrzyła, jak składa mapę i wsuwa ją do kieszeni płaszcza.

- Możemy odwiedzić jeszcze kilka farm, a potem zatrzymamy się na nocleg. Zresztą już niedługo będzie ciemno.

Jake zdawał się nie zauważać, że ogarnia ją rozpacz. Oczywiście, on nie wie o dziecku. Chodzi mu tylko o złapanie Ansona. Wydał już na niego wyrok.

Jednak ona musi wierzyć, że Anson jest niewinny. Bo jeżeli jest złodziejem, to...

Nie, nie. Nie wolno jej wyciągać pochopnych wniosków. Nie będzie też szukała dodatkowych kłopotów. Ma ich już i tak pod dostatkiem.

Kolejna farma był dwie mile dalej. Była większa niż farma młodej pary. Gdy Jake i Emily wjechali na jej podwórze, ze stajni wyszedł mężczyzna. Z początku zachowywał się ostrożnie, jednak przekonawszy się, że jednym z gości jest kobieta, uspokoił się nieco.

- Szukamy kogoś - oznajmił Jake, zsiadając z konia i idąc w stronę farmera.

Opisał Berkeleya. Mężczyzna słuchał uważnie, a następnie kiwnął głową.

- Jest pan jego przyjacielem?

Zadał to pytanie oskarżycielskim tonem.

Jake rozchylił płaszcz, pokazując odznakę.

Mężczyzna kiwnął głową ponuro.

- On tu był. Żona poczęstowała go kolacją, a ja zająłem się jego koniem. Kiedy wszedłem do domu, on myszkował po wszystkich kątach. Szybko go przepędziłem.

Emily zamknęła oczy. Chciała wierzyć, że Anson zrobił to z czystej ciekawości, że oglądał książki czy coś takiego. Jakoś nie mogła powiedzieć tego głośno. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Zeskoczyła z konia.

- Proszę pana - zwróciła się do farmera, szukając czegoś w torebce - czy on tak wyglądał?

Mężczyzna wziął do ręki mały portrecik w ramce. Przyjrawszy mu się, oddał go Emily ze słowami:

- Tak, to on.

Emily westchnęła, chowając portrecik do torebki. Zapragnęła nagle oprzeć się o Jake'a, ale on zdawał się jej nie zauważać.

- Dokąd on pojechał? - zapytał farmera.

Mężczyzna wskazał palcem północ.

- W tamtą stronę, na przełaj. Powiedziałem mu, że ostrzegę przed nim sąsiadów.

- I zrobił to pan? - zapytał Jake.

- Nie. Pomyślałem, że wystarczy go postraszyć. Nie chciałem zostawiać żony samej w obawie, że on tu wróci.

Jake kiwnął głową ze zrozumieniem i podziękował, a potem pomógł Emily dosiąść konia.

Wyjechali spośród zabudowań i ruszyli na północ przez otwartą prerię.

- Czy wiesz, jak bardzo ten portret mógł się nam przydać w Council Grove? - zapytał Jake.

Emily spojrzała na niego ukradkiem, zadowolona, że się na nią nie złości.

- Ale ja wtedy nie chciałam ci pomóc - odrzekła.

Nie była to prawda. W rzeczywistości zapomniała, że ma portrecik przy sobie. Przypomniała sobie o tym dopiero w tej chwili.

- A teraz chcesz?

Emily przyglądała się Jake'owi. Dlaczego dotychczas nie zauważała, że jest taki przystojny? Taki przystojny i taki dobry. Ale dostrzegła to zbyt późno

- Musiałam mieć pewność - wyszeptała w końcu.

Przysunął się do niej razem z koniem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, kładąc dłoń na jej dłoni. - Zobaczysz.

Kiwnęła głową. Wszystko będzie dobrze? Nie wierzyła w to ani przez chwilę.

Posuwali się naprzód w milczeniu. Przez prerię jechało się wolniej niż drogą. Konie stapały tu ostrożnie, omijając kępy suchej trawy, kamienie i wykroty.

Gdy dojeżdżali do farmy, niebo pociemniało. Emily z satysfakcją zauważyła, że dom, choć zbudowany z kamienia, jest tak mały, że z pewnością nie znajdzie się w nim wolna sypialnia dla przyjezdnych. Była tego już prawie pewna, gdy na progu pojawił się mężczyzna. Obok mężczyzny stanął pyzaty młodzieniec, a w dużym oknie ukazało się pół tuzina małych twarzątek.

Kilka minut później Emily znalazła się we wnętrzu domu. Sześć par oczu obserwowało ją z drugiego końca niewielkiego pokoju.

- On tu był - powiedział właściciel rancza do Jake'a. Przenocował u nas.

Jake wahał się przez moment. Jednak w następnej chwili zapytał gospodarza:

- Czy coś państwu zginęło?

- Czy coś zginęło? - powtórzył mężczyzna.

Nie wiedział, o co chodzi. Po chwili jednak zrozumiał. Przeszedł szybko przez pokój i wziął z gzymsu nad kominkiem pobijane blaszane pudełko po tytoniu. Otworzył je, zajrzał do środka i na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Czy któreś z was widziało, jak ten człowiek brał nasze pieniądze? - zwrócił się do gromadki dzieci.

Sześć małych główek obróciło się najpierw w prawo, a potem w lewo.

Mężczyzna zaklął pod nosem i odstawił pudełko.

- Ja po prostu o tym nie pomyślałem. Była noc, panowało przejmujące zimno i ten człowiek potrzebował noclegu. To okropne, że nie można czuć się bezpiecznie, okazując komuś chrześcijańską gościnność.

Emily nie zdawała sobie sprawy, że kolana uginają się pod nią, dopóki nie poczuła, że Jake ją podtrzymuje.

- Widzę, że pani jest bardzo zmęczona - powiedział mężczyzna i podprowadził ją do fotela na biegunach stojącego przy kominku. - Maybelle, zobacz, czy mama i April już przygotowały obiad.

Największa dziewczynka, może ośmioletnia, wybiegła z pokoju.

Jake i gospodarz usiedli. Emily, bujając się w fotelu i słuchając ich rozmowy, czuła, jak żar bijący od ognia przyjemnie ją rozgrzewa. Była senna.

Zanim jednak zdążyła przymknąć powieki, w jej stronę zaczęło posuwać się najmłodsze z dzieci, szkrab mający najwyżej dwa lata. Maluch patrzył nie tyle na nią, ile na fotel bujany, a patrząc, kołysał się zgodnie z jego rytmem.

Emily uśmiechnęła się do niego, pochylając się powoli w przód. Gdy wyciągnęła ręce, chłopczyk podbiegł i pozwolił wziąć się na kolana.

- Auguście! Nie przeszkadzaj pani - burknął jego ojciec.

Dziecko w odpowiedzi na to zamknęło oczy i wtuliło się w Emily.

- Nie trzeba go tak rozpieszczać.

Żadne z dzieci nie przejmowało się burkliwym tonem ojca. Emily doszła do wniosku, że mężczyzna tylko udaje takiego groźnego.

- Czy ja siedzę na fotelu twojej mamy? - zapytała szepem chłopczyka.

Lepka rączka wyciągnęła się w górę i dotknęła jej ust, a potem cofnęła się szybko.

Pozostała czwórka powoli zbliżała się do Emily. Jedna z dziewczynek położyła jej rączkę na kolanach, jakby badając, czy znajdzie się tam miejsce i dla niej. Któreś ze starszych dzieci odepchnęło małą.

- Jak nic nie mówisz, to August myśli, że będziesz go dłużej bujała - objaśnił sytuację może sześćioletni chłopczyk. - Mama czasami zasypia, kiedy go kołysz.

Emily z łatwością to sobie wyobraziła. Mając taką gromadę dzieci, kobieta musi być bez przerwy zmęczona.

Dziewczynka zaczęła wspinać się na fotel.

- Junebug! - upomniał ją ojciec.

Dziewczynka wpakowała się Emily na kolana. August zrobił jej miejsce.

- Dobrze - zaszczębiotała dziewczynka, po czym ona i August roześmiali się głośno.

Ich ojciec patrzył oburzony.

- Przestraszycie panią tak, że nie będzie chciała mieć dzieci - powiedział, po czym wrócił do swojej rozmowy z Jakiem.

Do pokoju weszła Maybelle i oznajmiła:

- Mama mówi, że za dziesięć minut.

Spychając na bok nogi ojca, wpakowała się na krzesło obok niego.

- Chłopcy mają umyć ręce - powiedziała.

- Dziewczynki też - odezwał się chłopiec stojący obok Emily.

Maybelle pokręciła głową, mrużąc oczy i pochylając się w stronę brata.

- Dziewczynki nie są brudne.

- A właśnie że są!

- No cóż, ja jestem brudna - odezwała się Emily, mając nadzieję zapobiec kłótni. - Pokażesz mi, gdzie się mogę umyć? - zwróciła się do Maybelle.

Junebug ześlizgnęła się już z jej kolan, ale August nie miał ochoty zejść. Siedział zwinięty w kłębek z zamkniętymi oczami i pochrapywał cicho. Emily uniosła go nad podłogą, ale on trzymał nogi podkurczone. Junebug uklękła przed nim i pociągnęła go za nogi, jednak on podciągnął je pod siebie. Chrapanie brzmiało teraz jak chichot.

- Proszę go położyć do łóżka - odezwał się ojciec, wstając. - Jeżeli śpi, to nie musi jeść kolacji.

Chłopiec nagle opuścił nogi.

- On udawał - poinformowało Emily uroczyście jedno z dzieci.

Gdy wszystkie umyły już ręce, ruszyły gęsiego do dużej kuchni i tu zajęły miejsca przy stole. Oprócz szóstki, którą poznała w bawialni, Emily spotkała tu jeszcze dwunastoletnią dziewczynkę. Pomagała przygotować posiłek. Matka przedstawiła każde dziecko po kolei, wymieniając jego imię i wiek.

Przy stole właściwie nie dało się rozmawiać i Emily zauważyła, że gospodarz, pan Kraus, nie powiedział żonie o tym, że stracili pieniądze. Nie była pewna, o czym obaj mężczyźni rozmawiali w bawialni. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, bo Jake - wiedziała o tym dobrze - i tak podejmie decyzję, nie pytając jej o zdanie.

Po raz pierwszy pożałowała, że nie została w Council Grove. Nie chciała bowiem już więcej słyszeć, że Anson coś komuś ukradł.

Myśl o Ansonie i jego sprawkach sprawiła, że zmarszczyła brwi. Czy teraz wierzy, że on kradnie? Czy może pozostała jej jeszcze odrobina wiary w Ansona? Pozostała, choć bardzo maleńka. Skoro tak, to jak ma to wszystko sobie wytłumaczyć? Czy tym, że w ślad za Ansonem przyjeżdżał jakiś złodziej i okradał wszystkich? Czy tym, że Anson wcale tędy nie przejeżdżał, a oni ścigają kogoś, kto jest do niego podobny? W głębi serca Emily pragnęła w to uwierzyć.

Po posiłku mężczyźni wraz z większością dzieci wrócili do bawialni. Emily została w kuchni, żeby pomóc pani Kraus

posprzątać. Uświadomiła sobie, że przy stole nie wspomniano ani razu o Ansonie, więc pani Kraus nie mogła sobie jeszcze wyrobić niekorzystnego zdania na jego temat.

- Czy wczoraj wieczorem mieli państwo gościa? - zapytała Emily swoją gospodynię.

- A tak - odrzekła kobieta. - To był miły młodzieniec, blondyn. Czy pani go zna?

Emily uśmiechnęła się. Postawiła obok zlewu stertę talerzy i wytarła ręce w fartuch pożyczony od pani Kraus.

- Chyba tak - powiedziała.

Torebkę miała przy pasku. Otworzyła ją więc i wyjęła portrecik.

- Czy ten człowiek tak wyglądał?

Kobieta przyjrzała się portretowi, nie dotykając go.

- Tak, to on.

Emily wiedziała, że taka będzie odpowiedź. Nie było właściwie żadnych wątpliwości. Wątpliwe było tylko, czy okradł swoich gospodarzy. Wątpliwe? Chyba nie bardzo.

Emily pomogła pani Kraus, April i May pozmywać naczynia, a potem poszła do bawialni. Junebug wdrapała jej się na kolana, pani Kraus, która usiadła w bujanym fotelu, kołysała Augusta. Pozostałe dzieci bawiły się tymczasem nadspodziewanie cicho.

Emily nie słuchała rozmowy pana Krausa z Jakiem. Tuląc do siebie dziewczynkę, patrzyła w ogień i zastanawiała się, co robić. Nie było dobrego wyjścia z sytuacji. Jej dziecku wciąż potrzebne było nazwisko. Jednak czy ma dać mu nazwisko złodzieja?

Być może nadszedł już czas, by wróciła do domu. Wiedziała, że choć została zhańbiona, rodzina w końcu jej wy-

baczy. Zrobią to w każdym razie Christian i ojciec. Matce i Arlenowi zajmie to więcej czasu, jednak i oni, jak wszyscy, naprawdę ją kochają. Nienawidzą Ansona tak bardzo, że z pewnością przypiszą mu całą winę za wszystko, co się stało.

Emily zamknęła na chwilę oczy. Dlaczego ich nie słuchała? Dlaczego dała się zwieść urokowi Ansona?

Z jakiegoś niewiadomego powodu bardziej niż na opinii rodziny zależało jej na opinii Jake'a. Jaka będzie jego reakcja, gdy wyzna mu prawdę? Czy ona, Emily, stawi jej czoło? Nie miała co do tego pewności, była jednak przekonana, że będzie musiała się z nią zmierzyć. I to już dziś wieczorem.

Odetchnęła głęboko, mając nadzieję, że dzięki temu ustąpi ból, który czuje w sercu i płucach. Odprężyła się trochę. Próbowwała myśleć tylko o małym ciepłym ciałku, które tuliła w ramionach. Nie wiadomo kiedy zasnęła. Ocknęła się, gdy poczuła, że ktoś bierze dziecko z jej kolan. Pozostałe dzieci zniknęły, a chwilę później gospodarze poszli wąskimi schodami na górę.

- Zostawili nam plеды - powiedział Jake.

Wszystkie lampy były już zgaszone, a on, trochę zmieszany, stał między nią a kominkiem.

- Czy znowu jesteśmy mężem i żoną, Jake?

Chciała, żeby to zabrzmiało przekornie. Tymczasem wypowiedziała te słowa bez tchu i poczuła przy tym dziwne ściskanie w piersi.

- Wydawało mi się, że tak będzie najłatwiej. Ale ty mi ufasz, prawda Emily?

- Oczywiście - odrzekła, wstając.

To nie brak zaufania stanowił problem.

Jake ukląkł, żeby rozłożyć pledy na dywanie przed kominkiem.

- Czy te dzieci nie są niesamowite? - powiedział, uśmiechając się do niej. - A ja myślałem, że Christian i Lynnette mają ze swoimi pełne ręce roboty.

Emily także ukląkla, żeby mu pomóc przygotować ich posłanie.

- Chciałbyś mieć aż tyle dzieci, Jake?

Nie miała pojęcia, dlaczego zadaje takie pytanie. Chyba dlatego, że teraz wciąż myśli o dzieciach.

Jake wzruszył ramionami.

- Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Pamiętaj, że nie mam rodzeństwa. Chociaż z drugiej strony ty i twoi bracia byliście dla mnie jak rodzeństwo.

Emily nie spodobało się, że Jake myśli o niej jako o swojej siostrze. Kilka razy przypuszczała, że... Ale nie. Jeżeli nawet dostrzegła w jego oczach coś więcej niż tylko przyjaźń i sympatię, to coś z pewnością zniknie, gdy tylko on usłyszy nowinę. A może łatwiej jej będzie wyznać prawdę, jeżeli wejdzie w rolę siostry?

- Muszę z tobą porozmawiać - wyszeptła.

Podniósł głowę, a jego ręce znieruchomiały. Emily nie zdawała sobie sprawy, jak rozpaczliwie brzmi jej własny głos, dopóki nie zobaczyła tej jego reakcji. Jednak on natychmiast znów zajął się posłaniem.

- Zdejmij buty i połóż się wygodnie.

Gdy go posłuchała, znalazł w torbie buteleczkę z maścią i wręczył ją Emily.

- Dziękuję, doktorze - zażartowała.

Wkrótce już leżała, oparta o jego szeroką pierś i z nogami przykrytymi pledem.

- Teraz możesz mówić - szepnął jej do ucha. - Możesz mi powiedzieć, co zechcesz.

- Jestem gotowa wrócić do domu - oznajmiła.

Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewała - być może dlatego, że nie musiała patrzeć mu w twarz.

- Nie obchodzi mnie, czy ty będziesz dalej polował na Ansona czy nie.

Nic nie odpowiedział. A przecież ona na to czekała.

- Słyszałeś, co mówiłam? - zapytała.

- Odwiozę cię do domu. Czy tylko to chciałaś mi powiedzieć?

Odetchnęła głęboko.

- Nie.

Szukała właściwych słów, ale nie mogła ich znaleźć. Chciała przedstawić siebie w dobrym świetle, powiedzieć mu prawdę w taki sposób, żeby nie wyjść na kobietę upadłą. Na tę myśl omal się nie roześmiała. Chciało jej się śmiać z samej siebie. Bo przecież to ostatnie było niemożliwe.

Nagle poczuła, że z włosów wysuwa jej się spinka. Sięgnęła w to miejsce ręką i napotkała dłoń Jake'a.

- Nie możesz spać z upiętymi włosami. Ty mów, a ja ci je rozpuszczę.

- Jake, to nie jest coś, co ci mogę powiedzieć wtedy, gdy zajmujesz się moimi włosami.

- No to powiesz mi później.

Poczuła, że włosy ciężką falą opadają jej na ramiona i że jego dłoń przeczesa je łagodnym ruchem. Siedziała spokojnie, wstrzymując oddech. Rozczesawszy włosy, Jake splótł

je w luźny warkocz. Chciała go zapytać, czy wie, że gdy była małą dziewczynką, brat co wieczór zaplatał jej włosy. Jednak czy musi jeszcze raz mu przypominać, że jest prawie jego siostrą?

Kochała go, a on chciał być jej bratem. Czy siostrze łatwiej wybaczy to, o czym mu chciała powiedzieć?

- Masz wstążkę, którą można by je związać? - zapytał.
- Jest w torbie.

Przełożył jej warkocz przez ramię, a ona, usiadłszy prosto, przytrzymała go. Sięgnął po torbę i podsunął ją Emily. Jedną ręką odszukała wstążkę, a potem zabrała się do zawiązywania warkocza. On tymczasem odstawił torbę i przysunął się tak, żeby znów mogła się o niego wygodnie oprzeć.

Wszystko to wydało jej się nierealne. Niemal mogła udawać, że jest małą dziewczynką, którą trzyma w ramionach starszy brat. Niemal. Fala gorąca, która oblała jej ciało, świadczyła o czymś innym.

Wargi Jake'a musnęły jej skroń, a serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Zabrakło jej tchu. Musi położyć temu kres. Dobrze wiedziała, jak to robi.

- Będę miała dziecko.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jake jeszcze raz przycisnął usta do jej skroni. Za pierwszym razem było mu z tym tak dobrze, że nie mógł się teraz powstrzymać.

- Wiem - wyszeptał. - Wszystko będzie dobrze.

Emily odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Czy ty słyszałeś, co powiedziałam?

Jake położył jej palec na ustach.

- Obudzisz dzieci.

Westchnęła ciężko.

- Dziecko. Wiem.

Przygarnął ją do siebie, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

- Od jak dawna o tym wiesz? - zapytała.

- Na tyle długo, że zdążyłem znaleźć wyjście z sytuacji.

Przytuliła się do niego, a on zamknął oczy i rozkoszował się tym, świadomy każdego fragmentu jej ciała pomimo sukni.

- Z tej sytuacji nie ma wyjścia - szepnęła, bliska łez.

- Wyjdź za mnie - powiedział Jake.

Emily usiadła prosto. A jego ciało natychmiast zatęskniło za jej ciałem. Jednak tak było mu łatwiej myśleć.

- Emily - zaczął, próbując przemówić jej do rozsądku - nie możesz wyjść za Berkeleyya. On by cię unieszczęśliwił.

Odwróciła głowę.

A więc wciąż kocha tego łotra. Na tę myśl Jake poczuł ból w sercu. I być może dlatego zapragnął ją zranić.

- Czy takie nazwisko chcesz dać dziecku? Nazwisko złodzieja?

Usłyszał jej szloch i pożałował swoich słów.

- Emily...

Wyciągnął ku niej rękę.

- Wiem - powiedziała, odsuwając się. - Wiem, że to jest nazwisko złodzieja. Ja nie chcę za niego wyjść. Nie chcę go więcej widzieć.

- Więc wyjdź za mnie.

Odwróciła się i znów spojrzała mu w oczy. Jej twarz skrywał cień, lecz on widział, że maluje się na niej niepewność.

- Dlaczego chcesz się ze mną ożenić? - wyszeptała w końcu.

Roześmiał się. Emily odsunęła się jeszcze dalej, ale on się przysunął, tak żeby znów być blisko.

- Emily, przepraszam. Nie śmiałem się z ciebie. Myślałem, że powód jest dla ciebie oczywisty. Ja cię kocham. Zawsze cię kochałem.

Kłęczeli oboje na pledzie, oświetleni jedynie płomieniami. Zaskoczenie Emily dowodziło, że Jake ukrywał swoje uczucie lepiej, niż myślał.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Jak siostrę - odrzekła, również szeptem.

Omiał nie roześmiał się znowu. Powstrzymał się jednak, wziął ją za rękę i położył sobie jej dłoń na piersi.

- Przekonaj się, jak mi mocno bije serce. Braterskie uczucia czegoś takiego nie powodują.

Puścił jej rękę, lecz ona nie cofnęła dłoni.

- Jeden pocałunek wystarczy, bym dowiódł ci moich uczuć. Dłoń leżąca na jego piersi zeszywniała.

- Nie - powiedziała Emily. - Ja... ja wiedziałam, że ty coś czujesz. Ale... ale jak ty możesz mnie kochać? Zwłaszcza że oczekuję dziecka innego mężczyzny.

Jake odsunął kosmyk, który opadł jej na policzek.

- Dziecko jest częścią ciebie - wyszeptał. - Jak mógłbym go nie kochać?

Ku jego zaskoczeniu, Emily opadła na pled i ukryła twarz w dłoniach.

- Co się stało? Co ja takiego powiedziałem?

- Przestań - zaszlochała. - Przestań być taki dobry.

Spróbował przyciągnąć ją do siebie i wziąć w ramiona, ale ona go odepchnęła.

- Przestań być jaki? - szepnęła.

Po dłuższej chwili Emily usiadła prosto. Na jej policzkach błyszczały łzy. Otarła je szybko wierzchem dłoni.

- Przestań być taki dobry! - syknęła, uderzając go pięścią w ramię.

Wiedział, że nie powinien się uśmiechać. Było oczywiste, że Emily jest wyczerpana. Decyzja o tym, by mu powiedzieć o dziecku, musiała być dla niej trudna. Powinien więc pozwolić, żeby się uspokoiła, nie powinien się z nią droczyć. A jednak.

- Dobry? - powtórzył.

- Jesteś niemożliwy.

Odprężyła się trochę, a on przyciągnął ją ostrożnie do siebie i skłonił do tego, żeby się o niego oparła. A potem powiedział:

- Posłuchaj, Emily, znamy się od dzieciństwa. Chyba można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi.

Zaczekał, aż ona kiwnie potakująco głową.

- Proszę cię, żebyś potraktowała moją propozycję jako rozwiązanie twojego problemu. Obiecuję kochać twoje dziecko jak swoje własne. Bóg mi świadkiem, będę wiernym mężem.

Spróbowała odwrócić się i spojrzeć mu w twarz, ale on przytrzymał jej głowę przy swoim ramieniu i mówił szybko dalej:

- Powiedziałem ci już, że cię kocham, i myślę, że ty masz dość szacunku i sympatii dla mnie, żeby się nauczyć odwzajemniać moje uczucie.

Uśmiechnął się do siebie, zupełnie zadowolony z przemówienia, które sobie ułożył w nadziei, że ona zdecyduje się powiedzieć mu o dziecku.

- Nie będzie z tym kłopotu.

- Z czym?

- Z miłością do ciebie - odrzekła, wyzwalając się z jego objęć.

Dała mu drugiego kuksańca w ramię i omal nie straciła równowagi.

- Nie jest możliwe nie kochać ciebie. Próbuję się oprzeć tej miłości od wielu dni. Przestań się śmiać. Ja nie jestem taka dobra jak ty. Zwariujesz ze mną!

- Nie mogę się tego doczekać.

Jeszcze raz odgarnął zabłąkany kosmyk z różowego policzka i ujął jej twarz w obie dłonie.

- Obiecałem ci pocałunek.

- A czy ja powiedziałam, że chcę, żebyś mnie pocałował?

- wyszeptła, pochylając się w jego stronę.

- Więc obiecałem ten pocałunek sobie - powiedział zgodnie z prawdą.

Objął jej usta wargami powoli, smakując je i rozkoszując się nimi. Dotknął ich lekko językiem, a ona je rozchyliła, pozwalając mu badać miękkie wnętrze. Jej język wyszedł na spotkanie jego językowi, z początku z ociąganiem, a po chwili odważniej.

Jake poczuł, że Emily drży i mocno się do niego przytula, a dłonie zaciska na jego ramionach. Dotarł do niego zapach drewna płonącego na kominku i zarówno ten zapach, jak i trzaskanie ognia wydały mu się częścią Emily - i częścią jego samego. Żar tego ognia był żarem, który istniał w jego własnym wnętrzu. Pragnął jej rozpaczliwie.

Wiedział, że jej ciało reaguje na jego dotyk -i stąd czerpał nadzieję.

Powoli podniósł głowę, przerywając pocałunek, zanim pochłonał go bez reszty. Ku jego zdziwieniu Emily oparła się o niego, oddychając ciężko. Był zadowolony, że ona nie może dostrzec uśmiechu, który z pewnością igrał na jego ustach.

- Czy to oznacza „tak”? - zapytał po chwili.

Emily usiadła prosto.

- Jake, czy jesteś pewien? Bo przecież dziecko mogłoby...

Wzięła ją po brodę i unióś jej głowę.

- Mogłoby co?

Zawahała się przez chwilę.

- Mogłoby wyglądać jak Anson.

- Anson nie jest brzydki - odrzekł Jake.

Emily to nie rozśmieszyło.

- Ale za każdym razem, gdy będziesz na nie patrzył...

- Będę widział małe dziecko. Posłuchaj, Emily, przecież my moglibyśmy mieć dziecko o jasnych włosach. Bo jasne włosy mają twój ojciec i Christian. Wtedy powiemy wszystkim, że dziecko jest podobne do nich, a oni zobaczą w nim to, co będą się spodziewali zobaczyć.

Patrzyła na niego, starając się przeniknąć w najgłębsze zakamarki jego duszy. A on obserwował światło igrające na jej miękkich ciemnych włosach. W końcu spojrział ponownie na jej usta.

- Do diabła, Jake. W tej sprawie też masz zamiar być dobry?

- Wiem, że to denerwujący nawyk, ale się do niego przyzwyczaisz. A teraz musisz spać. Czy nie chcesz... no... zdjąć z siebie czegoś?

Pomyślał, że bez obcisłej bluzki i ciężkiej spódnicy do konnej jazdy byłoby jej znacznie wygodniej, ale nie mógł powiedzieć tego głośno, bo ona i tak patrzyła na niego gniewnie.

- Chodzi mi o twoją wygodę, Emily.

Wciąż siedzieli blisko siebie. Jake nie wiedział, o czym Emily myśli. On sam natomiast wyobrażał sobie ją nagą w swoich ramionach. Nie, nie należało wspominać o rozbieraniu się.

Gdyby coś z siebie zdjęła, zaczęłyby ją znowu całować. I nie był pewien, czy tym razem potrafiłyby przerwać.

Odsunął się od niej gwałtownie, wstał i usiadł na krześle, żeby zdjąć buty. Ona natomiast jedynie odpięła od paska małą torebkę.

Wrócił na pled, wyciągnął się na nim i przygarnął ją

do siebie. Emily było bardzo wygodnie z głową opartą o jego ramię, jednak on nie mógł zasnąć przez dobre kilka godzin.

Emily już przedtem w półśnie słyszała, że ktoś chodzi po pokoju, ale zasnęła ponownie. Czuła się tak rozkosznie, że nie chciało jej się ruszyć. Coś ją jednak budziło. Wiedziała, że dowie się, co to takiego, jedynie gdy się obudzi. Jednak nie czyniła tego.

Poczuła, że coś ją łaskocze w policzek. Próbowwała to odgonić. Łaskotanie stało się natrętniej sze. Opędziła się od niego dłonią. A potem jej ramię opadło na poprzednie miejsce.

Jake mruknął coś cicho i Emily się obudziła. Leżała prawie na nim! Na szczęście jednak oboje byli ubrani. Jego ramię służyło jej za poduszkę. A jej noga była... Cofnęła ją szybko.

Znowu poczuła łaskotanie, a równocześnie uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się powoli i zobaczyła (roje małych dzieci. Każde z nich żuło uroczyście biszkopci-ka. Stały tak blisko, że okruszki spadały jej na twarz.

Jedno z dzieci uśmiechnęło się od ucha do ucha ustami pełnymi biszkopta.

Emily poczuła skurcz żołądka. Zamknęła oczy, walcząc z mdłościami. Jake się poruszył, a jej zachciało się wymiotować. Na jej twarz spadły kolejne okruszki, a ona wiedziała już, że przegrała bitwę.

Zerwała się i poczuła zawrót głowy. Zanim stanęła na nogach, Jake był przy niej.

- Co się dzieje?

W odpowiedzi jęknęła tylko. Wyrwała mu się i pobiegła do drzwi. Zimne powietrze sprawiło, że przestało jej się kręcić w głowie. Zrobiło jej się jednak zimno. Prawie tego nie zauważyła. Zwymiotowała na ziemię tuż przy schodach.

- Emily - szepnął jej Jake do ucha.

Gdyby jej nie podtrzymał, osunęłaby się na kolana.

- Lepiej ci? - zapytał.

Odczekała chwilę, żeby nabrać pewności.

- Chyba tak - powiedziała w końcu niewyraźnie.

- Wejdz do środka, bo zmarzniesz.

Poprowadził ją do kominka. Odsunął nogą pled, a przysunął krzesło. Gdy już na nim siedziała, ukląkł przed nią i zaczął rozcierać jej stopy.

- Czy jesteś chora, Emily? - zapytał łagodnie.

- Nie - jęknęła, zadowolona, że dzieci uciekły. - To się zdarza co rano.

- Ale przecież nic jeszcze nie jadłaś.

- Nie mów mi o jedzeniu! Bardzo cię proszę.

Oparła głowę o wysokie krzesło.

- Zaraz mi się zrobi lepiej. Ty też masz zimne stopy.

- Włóż buty - powiedział, idąc po nie. - Na wypadek, gdybyś...

- No tak.

Przez kilka minut siedziała z zamkniętymi oczami. Jake tymczasem masował jej stopy i smarował obtartą piętę maścią. Rozkoszne było uczucie, że ktoś się o nią troszczy.

- Jak ty to wkładasz?

Słyszając to pytanie, otworzyła oczy. Jake usiłował włożyć jej pończochę.

Roześmiała się, a on podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Trzeba ją zrolować - wyjaśniła, sięgając po pończochę. Zrobiła to zgrabnym ruchem, po czym wciągnęła pończochę na nogę.

Dopiero gdy pończocha była powyżej kolana, zdała sobie sprawę, jakie robi z siebie widowisko. Jake, klęcząc na podłodze, widział prawie całą jej nogę. Obciągnęła szybko spódnice.

Pokręcił głową i podniósł na nią wzrok. A ona popatrzyła na niego gniewnie. Wiedziała, o czym myśli. Wiedziała, o czym ciągle myślą wszyscy mężczyźni.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, z jego ust padło krótkie:

- Przepraszam.

Dlaczego chce mu wybaczyć? Bo to nie była jego wina. A poza tym on jej nie wykorzystał. On tylko patrzył. Poczuli, że mięknie jej serce. Musiało się to uwidocznic na jej twarzy, bo Jake trochę się odprężył. Emily już miała się uśmiechnąć, kiedy wręczył jej drugą pończochę.

Chwytiła ją szybko. Czy on myśli, że ona zrobi to po raz drugi? Wciąż klęczał przed nią, tak jakby tego właśnie się spodziewał. Emily odchrząknęła głośno, przerywając jego pełen pożądania trans.

Jake wstał. Wyglądał na zmieszanego.

- Ja... no ja pójdę do kuchni i przyniosę chle... Oj, przepraszam. Wrócę za parę minut.

Emily patrzyła za nim, gdy wychodził z pokoju. Miała ochotę się roześmiać. Zastanawiała się nad swoją reakcją, wciągając drugą pończochę. Dlaczego zainteresowanie Jake'a nie wywołało u niej strachu? Poprosił, żeby za niego

wyszła, a ona się zgodziła. Wkrótce będzie miał prawo do wszystkiego, co ona w tak głupi sposób dała Ansonowi.

Nie jest niewinną dziewczyną. Wie, że mrowienie w dołku i lekki dreszczyk - czyli to, co czuje na wspomnienie o tym, jak Jake patrzył na jej obnażoną nogę - to są sztuczki skłaniające kobietę do udziału w czymś, co jest aktem najbardziej niezadowolającym, a nawet upokarzającym.

Dlaczego więc chciało jej się śmiać?

Oparła się wygodnie i zamknęła oczy, powstrzymując się od śmiechu. Ano dlatego, że zaczyna wariować. Być może histeria to jedna z radości błogosławionego stanu. No, ale przynajmniej poranne mdłości minęły dziś szybciej niż zwykle.

Niecałą godzinę później Emily wracała do Council Grove. Jej i Jake'owi towarzyszył w drodze czternastoletni Rodney, najstarszy syn państwa Krausów. Farmer, nie chcąc zostawić żony i dzieci samych na gospodarstwie, postanowił, że to on zamelduje szeryfowi o kradzieży.

Emily zorientowała się, że Jake zapłacił państwu Krausom za gościnę i sama również położyła ostatnie banknoty pod pościelą złożoną przy kominku. Sobie zostawiła jedynie parę monet.

Rodney, któremu teraz nie zagrażała żadna konkurencja ze strony rodzerstwa, bardzo się rozgadał. Prawie przez całą drogę opowiadał im o różnych mniej lub bardziej zabawnych wyczynach dzieci. Powiedział również, że chodzi do szkoły, choć dużo zajęć opuszcza, bo musi pomagać w gospodarstwie, i że chce w przyszłości zostać stróżem prawa.

Emily dziękowała Bogu, że nie musi brać udziału w tej rozmowie. Zaczęła się obawiać powitania, z jakim spotkają się w Council Grove. Powiedziała przecież szeryfowi, że Anson nie jest uciekinierem, tylko jej znajomym, i że Jake jest zazdrosnym mężem, a nie zastępcą szeryfa wykonującym swoje obowiązki. Może jednak uda im się wjechać do miasta i wyjechać z niego bez ujawniania, że nie jestem jeszcze żoną Jake'a?

Jednak nadzieja na taki rozwój wypadków zniknęła na kilka mil przed Council Grove. Bo Jake, który wysłuchał już wszystkich opowieści Rodneya, podjechał do niej i powiedział:

- Najpierw pojedziemy z Rodneyem do szeryfa, a potem znajdę duchownego.

Emily przez chwilę nic nie rozumiała. Przecież dziś jest wtorek, a nie niedziela.

- Duchownego? - powtórzyła.

- Tak, duchownego, który da nam ślub - wyjaśnił.

Emily poczuła, że blednie.

- Ślub? Tutaj?

- Tak - odrzekł spokojnie. - Gdybym zawiózł cię najpierw do domu, to twoja matka chciałaby na pewno urządzić wspaniałe wesele, którego przygotowanie zajęłoby kilka miesięcy.

Mówiąc to, spojrzał znacząco na jej brzuch.

Oczywiście, miał rację. Ona także nie chciała hucznego wesela i nie mogła sobie pozwolić na to, by czekać na nie parę miesięcy. Mimo to pragnęła, żeby jeszcze kłamka nie zapadła.

Jake obserwował ją, trochę zmartwiony. Czy on się boi,

że będę się z nim kłóciła? - zastanowiła się Emily. A może przeciwnie, może obawia się, że nie będę dyskutowała? Boże drogi - pomyślała nagle z przerażeniem - gdyby wszystko potoczyło się inaczej, tak jak kiedyś chciałam, nie byłoby w ogóle mowy o naszym ślubie.

Wyznał jej wczoraj wieczorem, że ją kocha. Ale przecież zrobił to tylko dlatego, że ma taki dobry charakter. Ona wtedy natychmiast poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, żeby był szczęśliwy. Bo kocha go naprawdę. Być może jej miłość zdoła z czasem obudzić w nim prawdziwe uczucie.

- Czy poprosimy szeryfa, żeby był naszym świadkiem?
- zapytała z uśmiechem.

Jake roześmiał się i pokręcił głową.

- Przecież on uważa, że jesteśmy małżeństwem. Nie pamiętasz? Ale wiesz co, może dobrze by było, gdybyś poszła ze mną do jego biura. Jeżeli on pomyśli, że cię znowu porzuciłem, to zamknie mnie w areszcie.

- Chyba powinnam wyjaśnić mu to i owo.

Jake roześmiał się serdecznie.

- Chciałbym słyszeć twoje wyjaśnienia.

Emily usiłowała zrobić groźną minę, ale bez skutku.

- Czy nie moglibyśmy mu powiedzieć, że ze względu na nasze wcześniejsze... no... problemy, chcemy odnowić śluby?

Spodziewała się protestu z jego strony. On jednak zgodził się od razu, wpędzając ją natychmiast w poczucie winy. Bo gdyby tak zrobili, wyszedłby przez nią nie tylko na złego męża, ale także na nieodpowiedzialnego stróża prawa.

Gdy w końcu wjechali do miasta, Emily poczuła skurcz żołądka. O tej porze bywała głodna, jednak dziś ten skurcz

spowodował nie tylko głód, lecz także strach przed ponownym spotkaniem ze zwałistym szeryfem.

Zauważyła kilku mężczyzn, którzy brali udział we wczorajszym pościgu. Ich zaciekawione spojrzenia nie dodały jej odwagi. Niektórzy ruszyli w ślad za nimi.

- Przyciągamy uwagę gawiedzi - powiedział Jake wesoło.

- Czy zaprosimy ich wszystkich na ślub? - zapytała Emily tonem bardziej cierpkim, niż zamierzała.

Jake w odpowiedzi tylko się roześmiał.

Przed biurkiem szeryfa zeskoczył z konia i pomógł zsiąść Emily. Rodney podszedł do wejścia, lecz w tej chwili ze środka wypadł szeryf. Zrobił to z takim impetem, że omal nie przewrócił chłopaka.

- O! - zawołał. - Nie spodziewałem się was tutaj ponownie.

- No cóż, przynajmniej jesteście razem - odrzekł Jake.

- Proszę pana... - zaczął Rodney.

- Znaleźliście dawnego narzeczonego?

Emily z zadowoleniem stwierdziła, że jego gniewny wzrok padł przy tym pytaniu na Jake'a, a nie na nią.

- Nie, sir - odrzekł Jake.

Emily miała ochotę schować się w mysiej dziurze. Musiała jednak rozpocząć wyjaśnianie - ze względu na Jake'a.

- Tak naprawdę - powiedziała - to on jest...

- Proszę pana... - powtórzył Rodney.

- Więc co tu robicie?

Emily, Jake i Rodney odpowiedzieli równocześnie, lecz najgłośniej zrobił to czternastolatek.

- Mój tata został obrabowany! - zawołał.

Gapie wstrzymali oddech.

- Skoro tak, to wszyscy troje powinniście wejść do biura - powiedział szeryf, odprawiając pozostałych ruchem dłoni.

W środku ustawił krzesła rzędem i posadził na nich swoich gości, a sam, górując nad nimi, oparł się o biurko. Jake dał znak Rodneyowi, żeby mówił pierwszy.

- Tata, to znaczy Waller Kraus, kazał mi zameldować, że młody blondyn, który u nas nocował poprzedniej nocy, ukradł czternaście dolarów i dwadzieścia siedem centów z blaszanego pudełka, które stało na kominku. Jeżeli pan chce, to mogę go opisać.

Szeryf popatrzył pytająco na Jake'a.

- To był Anson Berkeley, ten osobnik, którego ścigałem.

Szeryf spojrział teraz na Emily.

Odetchnęła głęboko, po czym powiedziała;

- On w rzeczywistości jest zbiegiem. Okłamałam pana, bo chciałam, żeby mi pan pomógł dogonić Jake'a.

Tu włączył się Jake:

- Ja ją zostawiłem, nie mówiąc jej, co mam zamiar zrobić.

- Ale tylko dlatego, że wiedział, iż ja bym z nim pojechała.

Szeryf zakończył tę wymianę zdań machnięciem ręki. Po czym skierował wzrok na Emily.

- Czy jest pani przynajmniej jego żoną?

Odpowiedź padła równocześnie.

- Nie.

- Tak.

- Czy wy oboje kiedykolwiek się zgodzacie? No więc jak? - zapytał i, zanim coś powiedzieli, wskazał Emily: - Pani pierwsza.

- Nie jesteśmy małżeństwem. Ja chciałam...

Jake przerwał jej:

- Ale będziemy.

- Czy udzieliłem panu głosu? - burknął szeryf.

W tej chwili odezwał się Rodney.

- A co z tym człowiekiem, który ukradł pieniądze taty?

Szeryf westchnął.

- W porządku. Pan - tu wskazał palcem Jake'a - opowie mi wszystko. To znaczy o tej kradzieży. A wy bądźcie cicho.

Emily słuchała, jak Jake opowiada, czego się dowiedzieli na każdej z farm, które odwiedzili poprzedniego dnia. We właściwym momencie wyjęła z torebki portrecik i pokazała go szeryfowi. Groźny wzrok szeryfa powstrzymał ją jednak od wypowiedzenia choćby słowa.

W końcu, gdy zadowolony był i Rodney, i szeryf, wstali, zbierając się do odejścia.

- Ty, chłopcze, pobiegij do baru i zjedz coś - zwrócił się szeryf do Rodneya. - Powiedz, że ja cię przysłałem. A ja zawołam jednego z moich zastępców, który pojedzie z tobą do domu. Porozmawia z twoim tatą i z sąsiadami i zorientuje się, co możemy zrobić. Nie mogę niczego obiecać. Najpewniej skończy się na tym, że ktoś złapie go na gorącym uczynku i wpakuje w niego kulę.

Ta ostanía uwaga miała z pewnością uspokoić Rodneya, że sprawiedliwości stanie się zadość.

- No a wy dwoje? - powiedział szeryf, obejmując jednym potężnym ramieniem Jake'a, a drugim Emily. - Chyba nie mogę was puścić samych. Już dość narobiliście zamieszania.

- Mamy zamiar się pobrać - powiedział Jake bez wahania.

Szeryf roześmiał się.

- Naprawdę? Chyba pójdę z wami, żeby się upewnić.

Zdjął ręce z ich ramion, żeby otworzyć drzwi. Emily poszła za Jakiem, ale w progu stanęła jak wryta.

Na zewnątrz czekał na nich tłum. Ludzie stali spokojnie, lecz na ich widok rozległ się pomruk rozczarowania. Czyżby się spodziewali, że przynajmniej jedno z nich zostanie aresztowane?

Emily znowu poczuła ciężar na ramionach i zorientowała, że pomiędzy nią a Jakiem stanął szeryf.

- Ludzie! - ryknął. - Ta młoda para bierze ślub.

- A czy oni już nie są małżeństwem? - zapytał ktoś z tłumu.

- Wygląda na to, że nie. Niech ktoś przyprowadzi duchownego.

- Którego?

Szeryf zwrócił się do Emily.

- Czy woli pani katolika, czy protestanta? Nie mamy wielkiego wyboru.

- Protestanta - odrzekła Emily ze ściśniętym gardłem.

Żałowała teraz, że nie pozostała przy pierwszym kłamstwie. Wolałaby wziąć cichy ślub, bez tego dominującego szeryfa. Chciała spojrzeć na Jake'a, zobaczyć, jak zareagował, ale szeryf zasłaniał go swoim potężnym ciałem.

- O czwartej! - ryknął szeryf. - Dzięki temu panie będą miały czas przygotować to co zwykle.

- To co zwykle? - zdziwiła się Emily, ale nikt jej nie usłyszał.

Znalazła się w ramionach Jake'a. Tłum, wiwatując rozszedł się na wszystkie strony. Ich konie odprowadził jakiś obcy mężczyzna, a inny zabrał torby.

- Co się tu dzieje? - zapytała Emily.

- Oni robią przygotowania - szepnął Jake.

- Wy dwoje zjedzcie teraz obiad. Pastor was znajdzie i omówi z wami szczegóły. Potrzebna wam suknia i Biblia. A może jeszcze coś innego?

Emily patrzyła na szeryfa bez słowa. Na jego pytanie odpowiedział Jake.

- Myślę, że mamy wszystko, co będzie nam potrzebne. Teraz muszę ją nakarmić, zanim zemdleje.

- Zemdleje?

- Musiała... no... nie jadła śniadania.

Twarz szeryfa rozjaśnił domyślny uśmiech.

- Naprawdę?

Szeryf klepnął Jake'a po plecach tak mocno, że oboje z Emily omal nie upadli.

- Dzielny chłopak - zażartował i zarechotał, ale zaraz spoważniał.

- Masz się z nią ożenić, słyszysz? Nie próbuj znowu uciekać. Powiem w stajni, żeby ci w razie czego nie dawali konia.

- To nie będzie potrzebne, sir - odrzekł Jake.

Emily poczuła ogromną ulgę, gdy się oddalili. Kiedy zbliżali się do restauracji, była już znowu sobą.

- Czy całe miasto jest zaproszone na nasz ślub?
- Z tego, co zrozumiałem, tak.
- Czy szeryf będzie z bronią?
- Możesz na to liczyć.
- Och, Jake - powiedziała i przytuliła się do niego.

Przepraszam.

- Nie przepraszaj - szepnął. - Ja się żenię z kobietą, którą kocham. Szczegóły nie mają znaczenia. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby na ślubie był cały świat.

Wziął ją pod ramię i wprowadził do restauracji, a tam pomógł jej zdjąć pelerynę i rękawiczki. Kelner poprowadził ich do stolika, który zajmowali poprzedniego dnia. Emily, siedząc plecami do kominka, obserwowała twarz Jake'a.

Pojęła w końcu, jak komiczna jest ta cała sytuacja.

- Wygląda na to, Jake, że już się nie wykręcisz. Szeryf nie pozwoli ci uciec.

- Czy ja wyglądam na człowieka, który chce uciekać?

Jake uśmiechał się, zielone oczy błyszczały.

- Wyobrażałem sobie ciebie jako moją żonę od czasu, gdy skończyłem osiemnaście lat.

Emily roześmiała się, próbując sobie przypomnieć, jaka była w wieku lat trzynastu.

- A przedtem, kochanie? - zapytała kokieteryjnie.

- Przedtem - powiedział Jake, biorąc ją za rękę - myślałem, że mogłabyś być cudownym młodszym bratem.

- Twoje słowa są takie słodkie.

Gdy przyszedł kelner, trzymali się za ręce i uśmiechali się do siebie ponad stołem. Kelner westchnął z zadowoleniem i postawił przed nimi dymiące talerze wołowiny duszonej w jarzynach.

- Na koszt firmy - powiedział wzruszonym głosem i oddalił się pośpiesznie.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Emily, siedząc w wannie, moczyła się w gorącej wodzie. Gdy ona i Jake skończyli jeść, okazało się, że jej dy wanikową torbę zanesiono do pokoju, który zajmowała przez krótki czas poprzedniego dnia, i że Jake'owi przydzielono pokój po przeciwnej stronie korytarza. Poza tym powiedziano mu, że może się wykapać w pomieszczeniu na tyłach zakładu fryzjerskiego, sugerując tym samym, by odwiedził także fryzjera.

Emily wycisnęła gąbkę, patrząc, jak woda kapie do wanny. Za kilka godzin weźmie ślub w Jakiem Rawlinsem. Za każdym razem gdy o tym myślała, miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Miesiąc temu - a nawet tydzień temu! - by w to nie uwierzyła.

Jej dziecko będzie miało nazwisko, i to dobre. A co ważniejsze, będzie miało tatę. Jake jest niewiarygodnie przystojny i dobry - tak, jest dla niej znacznie lepszy, niż na to zasługuje. A poza tym ona go kocha. On także zachowywał się tak, jakby ją pokochał, choć Emily nie była pewna jego uczucia.

Woda już stygła, Emily sięgnęła więc po ręcznik, okręciła się nim i wyszła z wanny. Zanim obsługa wprowadziła ją do tego pokoju, rozpalono w nim na kominku. Ogień płonął teraz wesoło i napełniał pokój rozkosznym ciepłem.

Emily wytarła włosy drugim z czterech ręczników, które zostawiła jej pokojówka, i usiadła przy kominku. Chwilę później rozległo się ciche pukanie.

- Kto to? - zawołała Emily.
- To ja, Hannah. Nie musi się pani mnie wstydzić, kochanie.
- Hannah?
- Żona szeryfa.

Kobieta uchyliła drzwi i zajrzała przez szparę.

No tak, żona szeryfa, czyli osoba, która z pewnością uważa, że wolno jej w każdej chwili wpakować się do czyjegoś pokoju. Emily spróbowała jednak się uśmiechnąć. I całe szczęście, bo okazało się, że przybyła jest osobą wyjątkowo miłą.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Przez ramię miała przerzucony cały stos ubrań.

- Abel, to znaczy mój mąż, powiedział, że nosi pani mój rozmiar.

Obie kobiety zmierzyły się wzajemnie krytycznym spojrzeniem, po czym, uświadomiwszy to sobie, wybuchnęły śmiechem.

- To jest moja suknia ślubna - powiedziała Hannah, podnosząc suknię na drewnianym ramiączku.

Suknia była biała, ozdobiona blad różowymi różyczkami. Hannah potrząsnęła nią, a potem powiesiła ją na kołku tkwiącym w ścianie.

- A tu jest trochę bielizny.

Bielizna utworzyła ogromny stos na siedzeniu krzesła.

- Czego jeszcze pani potrzebuje?

Emily, wciąż owinięta ręcznikiem, poruszyła się na krze-

- Czy pani naprawdę chce mi to wszystko pożyczyć? To znaczy... chcę powiedzieć, że nie musi pani tego robić tylko dlatego, że pani mąż...

O Boże, czy ona chce zasugerować, żeby ta biedaczka nie była posłuszna swojemu zwalitemu, dominującemu mężowi?

- Mogłaby mu pani po prostu powiedzieć, że ja nie chciałam tych rzeczy.

Na twarzy Hanny pojawił się wyraz rozczarowania.

- Nie podobają się pani?

- Ależ podobają mi się... Nie to miałam na myśli.

Emily wstała i przeszła przez pokój, przytrzymując dłonią ręcznik.

- Chciałam tylko powiedzieć, że pani z pewnością nie ma ochoty pożyczyć tego wszystkiego osobie zupełnie obcej. A jeżeli pani mąż się zdenerwuje...

- Abel?

Hannah roześmiała się serdecznie.

- On się nigdy nie denerwuje. To jest taki pocziwy miś.

Emily aż zamrugła ze zdumienia.

- Włoży pani te rzeczy, prawda? - zapytała **Hannah** z zapalem.

Emily uśmiechnęła się.

- Tak, bardzo bym chciała.

- Świetnie. A teraz proszę odpocząć. Przyjdę tu o trzeciej i pomogę się pani ubrać i uczesać.

Zamierzała wyjść, jednak Emily zatrzymała ją, pytając:

- Dlaczego pani mąż zarządził, że ślub ma się odbyć o czwartej?

- Żeby dać nam czas na gotowanie. To oczywiste. Urządzimy uroczysty obiad w sali teatru. Będą też tańce. Potrzebny nam pretekst do świętowania.

- Ale przecież do Bożego Narodzenia jest pięć dni.

- No właśnie. Aż pięć dni!

Chwilę później Emily była znowu sama. Wysuszyła włosy i włożyła na siebie czystą bieliznę, którą wyjęła z torby. Następnie położyła się do łóżka i próbowała odpocząć, jednak w jej głowie myśli goniły jedna drugą jak szalone.

Jej matki nie będzie na ślubie, a ona sama będzie wkrótce należała do Jake'a. Anson uciekł i prawdopodobnie nawet w tej chwili okrada kogoś, kto mu pomógł.

Bez względu na to, gdzie była myślami, Emily zawsze wracała do tego, że spędzi najbliższą noc z Jakiem. Oczywiście poprzednią też z nim spędziła. Dzisiejsza będzie jednak zupełnie inna.

Nie powinna tyle o tym myśleć, bo przez to Jake może stracić w jej oczach. Spróbowała wyobrazić sobie swój powrót do domu na Boże Narodzenie. Na tę myśl poczuła przyływ radości. Jednak ta radość została zmacona, gdy zastanowiła się, z jakim spotka się przyjęciem.

Była zbyt spięta, żeby odpoczywać. I, o dziwo, zaraz pomyślała o tym, żeby pójść do Jake'a. Jest prawdopodobnie w swoim pokoju, po drugiej stronie korytarza. Parę jego łagodnych słów z pewnością ją uspokoi.

Doszła jednak do wniosku, że to raczej głupi pomysł, i podeszła do okna. Znowu padał śnieg. Osiadał na dachach i gałęziach drzew, otulając je bielą, i mieszał się z błotem na jezdni. Emily zatęskniła za domem; zaraz też przyszło jej do

głowy, że to właśnie z powodu tej tęsknoty nękają ją różne niepokojące myśli.

Stała przy oknie, patrząc na śnieg aż do chwili, gdy usłyszała przy drzwiach jakiś hałas. To Hannah wróciła do jej pokoju i od razu zaczęła paplać jak najęta. Jej gadanina ukołysała nerwy Emily. Wkrótce też Emily znalazła się przed lustrem. Siedziała tam spokojnie, a Hannah układała jej włosy.

Gdy przygotowania dobiegły końca, Hannah pomogła Emily włożyć pelerynę. Następnie zeszły obie na dół, gdzie czekał już szeryf, który miał je zawieźć do kościoła.

- Gdzie jest Jake? - zapytała Emily, gdy ruszyli w drogę.
- Do kościoła przywiozą go moi zastępcy - odrzekł szeryf.
- Pańscy zastępcy? - powtórzyła Emily.

Korciło ją, żeby zapytać, czy będą mieli kajdanki, jednak powstrzymała się od tego.

- Tak, wszyscy z wyjątkiem Hanka - powiedział szeryf.
- Bo Hanka posłałem do Krausów. Jednak i on z pewnością zdąży na przyjęcie.

Emily dowiedziała się następnie, że szeryf ma zamiar poprowadzić ją do ołtarza i że oboje z żoną postanowili dopilnować, by wszystko odbyło się jak należy.

Gdy stanęła na progu kościoła, rozległy się piskliwe dźwięki organów. Hannah wcisnęła jej do ręki bukiet suszonych kwiatów i szepnęła:

- Proszę tutaj poczekać przez moment.

Po czym poprawiła po raz ostatni suknię Emily, sprawdziła, czy fryzura jest w porządku i poszła powoli wzdłuż nawy.

- Pięć sekund - szepnął szeryf, odchrząkując ze wzruszenia.

Hannah była już w połowie nawy, gdy do świadomości

Emily dotarły równocześnie dwie rzeczy. Pierwszą było to, że Jake stoi obok pastora, czekając na nią. A drugą to, że w kościele jest tłum.

Na ten widok poczuła wielką ochotę do śmiechu.

- Czy już minęło pięć sekund? Bo zapomniałem liczyć - szepnął szeryf.

Emily wzruszyła ramionami i wzięła go pod ramię. Ruszyli razem wzdłuż nawy o wiele szybciej niż Hannah. Prawie ją dogonili. Przed ołtarzem przejął ją Jake i że ceremonia się rozpoczęła.

Przy obiedzie pastor obiecał im, że będzie krótka i nieskomplikowana. I dotrzymał słowa. Nie trwała bowiem dłużej niż układanie włosów Emily przez Hannah. Niemal w mgnieniu oka Emily została przedstawiona tłumowi jako pani Rawlins, żona Jake'a Rawlinsa. Ku swemu zaskoczeniu, przekonała się, że kilka kobiet ociera oczy chusteczkami.

Pocałunek, który złożył na jej ustach Jake, był krótki, ale pełen słodczy i niósł z sobą obietnicę szczęścia. Emily zapragnęła uciec stąd razem z Jakiem. Jednak szeryf i jego żona zagarnęli ich i zawieźli do teatru. Tu, stojąc w drzwiach, Emily i Jake przyjmowali życzenia.

Gdy przybyli już wszyscy goście, zaprowadzono ich do stołu, który miał formę bufetu, i zachęcono, by spróbowali wszystkiego po trochu. Kilka kobiet obserwowało ich pilnie, sprawdzając, jakie potrawy sobie nałożyli, a jakie pominęli. Emily postanowiła próbować każdej z tych, których nie jadł Jake.

Usiedli później oboje na honorowych miejscach obok szeryfa i jego żony. Emily, zbyt rozemocjonowana, by mieć apetyt, usiłowała jednak jeść. Przypomniała sobie wesele Lyn-

nette i Christiana i żarciki pod adresem nowożeńców. Jadła więc, nie chcąc usłyszeć, że musi mieć siłę, by przetrwać noc poślubną.

Gdy Jake zjadł już wszystko, co sobie nałożył, w Emily ponownie obudziła się nadzieja, że uda im się stąd wymknąć. Była to jednak nadzieja płonna, bo w tej samej chwili szeryf wstał i wygłosił na ich cześć toast, który przypawił ją o rumieniec wstydu. Jake jednak przyjął go z dobronuznym humorem.

Zaraz rozległy się dźwięki orkiestry i nowożeńcy zostali wypchnięci na środek. Taniec był tak szybki, że nie mogli rozmawiać. Niektórzy z gości też zaczęli tańczyć, jednak większość, tupiąc i klaszcząc w dłonie, obserwowała młodą parę. Gdy muzyka ucichła, Emily szepnęła zadyszana:

- Czy teraz możemy już pójść?

- A co, źle się bawisz? - odrzekł Jake, uśmiechając się tak szeroko, że miała ochotę dać mu kuksańca.

Po kolejnych trzech toastach i czterech tańcach udało im się wyjść. Szeryf zawiózł ich do hotelu, a połowa miasta biegła za bryczką. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Emily odetchnęła z ulgą.

Przywitał ich recepcjonista.

- Przenieśliśmy pańskie rzeczy do pokoju pani - zwrócił się do Jake'a.

A potem wszedł za kontuar, żeby poszukać kluczy.

Jake podszedł do niego. Wyglądało na to, że chce zaprotestować.

- W porządku - powiedziała szybko Emily, a on spojrział na nią zaskoczony.

Recepcjonista uśmiechnął się uprzejmie i wręczył Jake'o-

wi klucz, a potem wybiegł szybko z hotelu, żeby zdążyć na tańce.

Ruszyli schodami w górę.

- Chciałeś poprosić o oddzielne pokoje, prawda? - zapytała Emily.

- Nie gniewaj się. To żeby cię nie przynaglać.

Emily w odpowiedzi wzięła go za rękę i wciągnęła do pokoju z uśmiechem, który - miała nadzieję - był raczej zalotny niż nieśmiały.

- Poświęciłeś się dla mnie, więc ja zrobię przynajmniej tyle.

Jake zamknął drzwi i zapalił lampę wiszącą na ścianie, a potem zapytał:

- Czy z twojej strony to będzie poświęcenie?

Emily poczuła ukłucie w sercu. O jakim poświęceniu on mówi? Czy myśli, że jej wciąż jeszcze zależy na Ansonie? Pokręciła głową, wciąż nie mając pewności, o co on właściwie pytał.

- Czy kochanie się ze mną to dla ciebie poświęcenie?

- Nie - odrzekła szeptem. - To raczej... dar.

Dotknął jej policzka, a ona zaczęła drżeć.

- Dar? Aha, być może. Miałem nadzieję, że ty pragniesz mnie tak bardzo, jak ja pragnę ciebie. To powinno być wzajemne.

Nie zdjęli jeszcze okryć. Emily poczuła nagle, że jest jej gorąco. Odsunęła się, zdjęła pelerynę i przewiesiła ją przez oparcie krzesła. Jake stał za blisko. Gdyby się nie odsunęła, to za chwilę z pewnością zapragnęłyby, żeby ją pocałował, a on chciał przecież rozmawiać.

- Wzajemne - powtórzyła niepewnie.

Bardzo lubiła pocałunki, ale co do reszty...

Jake odwrócił się, być może dlatego, że dostrzegł w jej oczach powątpiewanie. Zdjął płaszcz, przerzucił go przez oparcie krzesła stojącego przy drzwiach, a potem powiesił na nim pas z bronią. Następnie podszedł do okna i popatrzył na ciemną ulicę.

Nie chciała przecież zranić jego uczuć.

- Jake - odezwała się łagodnie - odwzajemnię wszystko, co tylko zechcesz. Jednak musimy pamiętać, że już to robiłam.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Emily pomyślała, że nie powinna wspominać o Ansonie nawet w pośredni sposób. Zanim jednak zdążyła się zastanowić, jak naprawić błąd, Jake oznajmił:

- Nie obchodzi mnie przeszłość. Dajesz mi swoją przyszłość, a ja ci dam moją. To jest znacznie ważniejsze niż cokolwiek, co kiedyś się wydarzyło.

Zrobił krok w jej kierunku, ale się zatrzymał. Emily także ruszyła w jego stronę i także znieruchomiała. Jake miał najwyraźniej coś jeszcze do powiedzenia i, podobnie jak ona, uważał, że lepiej będzie, jeżeli oboje pozostaną z dala od siebie.

- Wczoraj w nocy spałem, trzymając cię w ramionach - zaczął po chwili. - Mając cię przy sobie, czułem się wspólnie. To się nie może powtórzyć, bo tym razem z pewnością zapragnąłbym czegoś więcej.

- Wiem. Ja się nie spodziewam...

Uciszył ją, podnosząc rękę. Mówił spokojnie dalej:

- Chcę, żeby to, co się stanie dzisiejszej nocy, było odzwierciedleniem całej miłości do ciebie, którą noszę w sercu. Tylko że... ja tego przedtem nigdy nie robiłem.

Patrzyła teraz na niego oczyma pełnymi zdumienia. Uświadomiła sobie nagle, że ma otwarte usta, zamknęła je więc pospiesznie. Dotychczas żywiła nadzieję, że żonaci mężczyźni są wierni swoim żonom, ale równocześnie uważała, że kawalerowie zadają się z każdą kobietą, która im na to pozwoli. Chyba że...

Chyba że ich to nie interesuje. Czy tak jest w przypadku Jake'a?

- To nie ma znaczenia, Jake - powiedziała.

Uśmiechnął się do niej. Ona jednak wciąż nie była pewna, czy zrozumiała go właściwie.

- Ty jesteś winna temu, że jestem taki niedoświadczony - oznajmił.

- Ja?

Boże drogi, czyżby ona w trakcie jakichś dziecięcych zabaw zraniła go tak, że...? Na tę myśl poczuła zawrót głowy.

- Za każdym razem - mówił dalej Jake - gdy zaczynałem zbliżać się do jakiejś kobiety, porównywałem ją z tobą. Żadna nie dorastała ci nawet do pięt. Przez wszystkie te lata pragnąłem tylko ciebie.

Emily odetchnęła głęboko.

- Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć. Czuję się ogromnie winna z powodu mojej przeszłości.

Podszedł do niej szybko i położył jej ręce na ramionach.

- Nie chcę, żebyś się czuła winna. Mówię ci o tym, żebyś miała do mnie cierpliwość.

Nie mogła się powstrzymać - roześmiała się.

- Jake, to nie jest nic nadzwyczajnego. Jestem pewna, że szybko się zorientujesz, jak i co.

Uśmiechnął się do niej szeroko, a ona poczuła ulgę.

- Nie powiedziałem, że jestem kompletnym ignorantem. Moi rodzice rozmawiali ze mną o tych sprawach. Każde oddzielnie. Choć, o ile dobrze pamiętam, to, co mówili, było ze sobą sprzeczne.

Emily roześmiała się znowu.

- Każde z nich z tobą rozmawiało?

- Byłem wtedy mały.

Wspaniale było znowu śmiać się razem. Emily zarzuciła Jake'owi ręce na szyję, traktując go w tej chwili raczej jak starego przyjaciela niż świeżo poślubionego męża.

On natomiast najwyraźniej miał na uwadze coś innego.

- Zacznijmy od czegoś łatwego - wyszeptał. - Na przykład od pocałunku.

Całe jej ciało przeniknął dreszcz. Czy sprawił to fakt, że poczuła jego oddech, czy ton jego głosu - nie miała pewności. Nagle z całą jasnością uświadomiła sobie jego bliskość, a także to, że serce wali jej jak młotem. Podniosła głowę, podając mu usta.

Ogarnęło ją pożądanie. Pragnęła tylko Jake'a. I czuła go przy sobie. Wszystkimi zmysłami. W głowie jej szumiało. Czuła też, że niezbyt pewnie stoi na nogach. Jake cofnął się nieco, żeby nie stracić równowagi, a potem przerwał pocałunek i uśmiechnął się.

- Jak myślisz, chyba wyszło to nam zupełnie dobrze? - zapytał. - Czego spróbujemy teraz?

Emily dopiero po chwili odzyskała głos.

- No cóż, ja nie chcę zniszczyć pożyczonej sukni. Więc czy mógłbyś...

Odwróciła się do niego plecami, a on przysunął ją nieco do światła.

- Hm. Milion guzików. A, już wiem.

Odpiął najwyższy i pocałował ją w kark.

- Czuję się jak ktoś, kto rozpakowuje prezent spod choinki.

Emily przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Ogarnęło ją ogromne podniecenie. Poczwała na plecach drugi pocałunek. Po nim, o cal niżej nastąpił trzeci, a potem czwarty i piąty. Rozpinając kolejne guziki, Jake wędrował gorącymi wargami coraz niżej i niżej. W pewnej chwili stłumiony śmiech Emily przeszedł w jęk. Gdy Jake zdejmował z niej suknię, wierzyła, że rzeczywiście guzików był milion.

Suknia opadła na podłogę. Emily wiedziała, że powinna ją powiesić na ramiączku. Jednak nie była pewna, czy nogi nie odmówią jej posłuszeństwa. Gdyby nie Jake, który podał jej rękę, osunęłaby się na podłogę tak jak suknia.

Jake zaprowadził ją do łóżka, a potem powiesił suknię.

- To też zrobiłeś bardzo dobrze - pochwaliła go.

Uśmiechnął się do niej znowu szelmowskim uśmiechem. Najwyraźniej doskonale wiedział, do jakiego stanu ją doprowadza.

- Teraz buty.

Rozsznurował je po kolei, a następnie powoli zdjął oba z jej nóg i odstawił na bok. Jego palce powędrowały w górę po jednej jej nodze, a potem powoli w dół razem z pończochą. Gdy pochylił się nad drugą, Emily przeszedł dreszcz oczekiwania.

Kiedy obie pończochy zostały już zdjęte, Emily westchnęła, zastanawiając się, co Jake zamierza zrobić dalej. Po chwili uświadomiła sobie, że oczy ma zamknięte. Otworzyła je więc i zobaczyła, że on pochyła się nad nią z uśmiechem.

- Tu zaczynają się trudności. To wszystko jest bowiem kobiecym sekretem.

Wskazał palcem jej halki i gorset.

- Nie mam pojęcia, jak sieje zdejmuje - oznajmił.

- To dobrze - odrzekła, czując, że wraca jej przytomność - bo czas najwyższy, żebyś i ty zrzucił z siebie to i owo.

Wstała i wsunęła dłonie pod kłapy jego surduta.

- Powinniśmy go powiesić i... - zaczęła.

Nie zdołała powiedzieć ani słowa więcej, bo Jake zamknął jej usta pocałunkiem.

Gdy po chwili podniósł głowę, Emily z trudem chwyciła ustami powietrze.

- Gdzie byliśmy? - zapytała niewyraźnie.

- Tutaj - odrzekł, całując ją znowu.

No cóż, dobrze już się orientował, jak należy całować. Jeżeli początek wygląda w ten sposób, to ona nie ma chyba nic przeciwko całej reszcie.

- Zadowolony jesteś z siebie, co?

Miała zamiar wypowiedzieć te słowa kpiącym tonem, ale jej się to nie udało, bo wciąż była zdyszana.

- Jestem zadowolony z ciebie - oznajmił, po czym rozwiązał krawat i rozluźnił kołnierzyk koszuli. - Kolejne guziki - powiedział.

Nie pomyślała o tym, gdy zdejmowała z niego surdut. Teraz jednak on najwyraźniej spodziewał się, że ona - rozpinając guziki jego koszuli - będzie robiła z nim to samo, co on robił z nią przedtem.

Poczuła, że palają policzki. Jemu zaś oczy błyszczały tak jak w dzieciństwie, gdy namawiał ją do jakiegoś psikusa. Rozpięła guzik pod szyją i pocałowała go. Wargi, ku jej za-

skoczeniu, napotkały - zamiast materiału - ciepłą, gładką skórę.

Nie ma nic pod koszulą? No tak, pewnie nie miał czystej bielizny. Omal się nie roześmiała na tę myśl, tak bardzo nie pasowała ona do romantycznej sytuacji.

Odpięła następny guzik i znowu go pocałowała. W tym miejscu napotkała parę miękkich włosków, którymi postanowiła zająć się później. Guzik po guziku, kontynuowała podróż w dół poprzez jego twardą pierś i płaski brzuch, aż dotarła do paska spodni.

Odstąpiła o krok, a on rozchylił koszulę. Zdjął też szelki. Wtedy Emily zsunęła mu koszulę z ramion, odsłaniając szeroką pierś. Przeciągnęła po niej dłonią, błędząc wśród włosów i omijając brodawki. Dotykanie ich byłoby zbyt odważne.

Jake ujął ją pod brodę, podniósł jej głowę i znów przykrył jej usta swoimi. Emily poczuła, że ogarniają znajome gorąco. Z jękiem przylgnęła do Jake'a.

- A teraz - powiedział, odrywając usta od jej warg - twoja kolej. Pomóż mi usunąć te wszystkie szmatki, żeby w przyszłości wiedział, jak to się robi.

Na myśl o tej przyszłości Emily poczuła mrowienie. Jake uśmiechnął się, a ona zaczęła wyjaśniać:

- To ma guziki - wyjaśniła, wskazując gorset i wciągnęła powietrze, żeby ułatwić mu ich rozpinanie.

Gdy była już uwolniona od gorsetu, westchnęła z ulgą. Jake odrzucił go na bok.

- Wygląda na niewygodny - zauważył.
- Dzięki niemu trzymam się prosto.
- Spodziewam się. No a teraz reszta.

Emily nie miała wyjścia - musiała się rozeźmiać.

- Zachowujesz się jak mały chłopiec w Boże Narodzenie.

Zademonstrował swoją niecierpliwość, chwytając ją za ramiona i jeszcze raz całując namiętnie.

Gdy uwolnił ją z objęć, musiała odchrząknąć, żeby odzyskać głos, i dopiero wtedy powiedziała:

- Teraz ten supełek.

Ręce jej drżały. Zdołała jednak rozwiązać tasiemki przytrzymujące halki w talii. Wszystkie trzy halki opadły do jej stóp.

Stała teraz w luźnej, pogniecionej koszuli. Spodziewała się, że będzie jej zimno bez ubrania, jednak pełen uznania wzrok Jake'a sprawiał, że było jej gorąco.

Jake został tylko w butach i spodniach. Nie spodziewała się oczywiście, że rozepnie te ostatnie, dopóki... no dopóki nie będzie gotowy...

Przygryzła wargę. Nie, nie, bawi się tak świetnie, że nie będzie tego psuła, myśląc o tym, co nastąpi później.

- Czy możesz zdjąć tę koszulę? - zapytał Jake z uśmiechem.

- Ależ Jake!

On chyba nie chce, żebym stanęła przed nim naga!

- Nie martw się - uspokoił ją. - To nie będzie pierwszy raz. Już widziałem twoje ciało.

Roześmiała się nerwowo.

- Jeżeli pamiętasz to, że kiedyś uciekałam z kąpieli, a ty przyprowadziłeś mnie z powrotem do kuchni, to wiedz, że to się nie liczy. Bo od czasu gdy miałam trzy lata, zmieniłam się nieco.

- Przecież tego nie możesz pamiętać.

- I nie pamiętam - odparła, biorąc się pod boki - ale słyszałam o tym niezliczoną ilość razy.

Jake rozes'niał się na to jakimś ochrypłym, nieswoim śmiechem.

- Ja miałem na myśli Americus - powiedział i przysunął się do niej. - Byłaś wtedy w wannie. I spałaś.

Zanurzył palce w jej włosach. Chwilę potem spinki posypały się na podłogę.

- Ale wtedy było pełno piany - mówił dalej. - No i było ciemno. Więc teraz chcę zobaczyć lepiej.

Emily poczuła, że włosy opadają jej na plecy, nie zauważywszy przy tym, że Jake odwiązał tasiemkę przy dekolcie jej koszuli. Zorientowała się dopiero, gdy zsunął jej z ramion koszulę, która dołączyła do halek na podłodze.

Jake wydał westchnienie, a ona roześmiała się. Wciąż miała na sobie pogniecione majtki.

- Wydaje mi się, że stroje kobiet obliczone są na to, żeby przyprawiać mężczyzn o bezustanną frustrację - zauważył Jake. - Spróbuję być cierpliwy.

Jednym palcem pieścił jej pierś, która zdawała się wychylać ku niemu. Emily wstrzymała oddech i zachwiała się na nogach. Silne męskie ramiona podtrzymały ją w porę. Chwilę później przyłgnęła obiema pierściami do jego torsu. Włosy porastające ten tors drażniły ją leciutko, a jego usta znowu odprawiały magiczny rytuał.

W następnej chwili Emily poczuła, że majtki zsuwają jej się z bioder. Okazało się, że Jake, tym razem z łatwością, odnalazł tasiemki.

Zagarnął ją w ramiona i położył ją delikatnie na łóżku, całując w usta, a potem wyzwolił się z jej uścisku.

- Zaraz wracam - powiedział.

Zaprotestowała jęknięciem, ale jego już nie było. Emily otworzyła oczy i przekonała się, że Jake siedzi w drugim końcu pokoju i zdejmuje buty. Nie mogła oderwać od niego oczu, gdy wstał i sięgnął do spodni.

- Znowu guziki - oznajmił, podchodząc do łóżka.

On chyba żartuje! Policzki jej zapłonęły.

- W porządku - szepnął, schylając się i całując ją w usta.
- Mogę to zrobić sam. A ty zrobisz to innym razem.

Emily sama nie wiedziała, czy ma czuć ulgę, czy przerażenie na myśl o tym innym razie. Natychmiast jednak zapomniała o tym problemie, czując usta Jake'a na swoich.

Gdy ponownie otworzyła oczy, Jake miał na sobie tylko płócienne kalessy, które nie ukrywały zbyt wiele. Pod nimi bowiem wyraźnie rysowały się jego biodra i uda oraz dawało się zauważyć to, co z Jakiem zdołały uczynić ich dotychczasowe pieszczoty i pocałunki.

Jake uwolnił się od tej ostatniej części garderoby i wszedł do łóżka, kładąc się obok Emily. A ona tylko przez mgnienie oka widziała jego męskość. Teraz - pomyślała - przygotowując się na najważniejsze.

Tymczasem on zaczął pieścić językiem koniuszek jej piersi. Wydawało jej się, że to trwa godzinę i że ona podczas tej godziny niezliczoną ilość razy wlatuje do nieba, a potem wraca na ziemię. Jego powolne pieszczoty sprawiały, że czekała z coraz większą niecierpliwością. To pożądanie igra z moimi zmysłami - domyśliła się. A przecież wie, że to, na co czeka, nie jest znowu takie nadzwyczajne.

Jednak cudownie było walczyć z tym pożądanem. Cudownie było je czuć, mimo że miało je zwieńczyć rozczaro-

wanie. Zamknęła oczy i poddała się bez reszty doznaniom chwili. Poczwała, że Jake się porusza, przenosząc usta na jej drugą pierś i rozpoczynając znany już rytuał.

Zalała ją fala wilgotnego żaru. Przyłgnęła do Jake'a, wołając go po imieniu.

Nie miała pojęcia, jak i kiedy to się stało, poczuła jednak jego męskość przy najtajniejszej części swego ciała i, nieświadomie, jak w transie, uniosła się gwałtownym ruchem, otwierając się na przyjęcie Jake'a.

To, czego doznała, było dla niej czymś zupełnie nowym. Jake, wstępując w nią coraz głębiej, poruszał się powoli i szeptał jej do ucha słowa, których nie rozumiała. A ona drżała na całym ciele.

Objęła jego uda nogami, wciągając go jeszcze głębiej, i poszybowała w niebo tak szybko, że przemknęło jej przez głowę, iż jest to podróż, z której nie ma powrotu. Krzyk Jake'a pomieszał się z jej własnym.

A potem coś w niej wybuchło. I natychmiast z jej ciała zniknęło całe napięcie. Emily płynęła teraz, zagubiona i niepomna niczego. A potem powróciła, nie czując rozczarowania. Jej powrót był piękny i pełen spokoju.

Jake leżał na niej nieruchomo. Oddychał ciężko, serce biło mu mocno. Jego głowa spoczywała na ramieniu Emily, a jej palce przesuwwały się wśród jego zwilgotniałych włosów. Mruknął coś niezrozumiałego, a ona się uśmiechnęła.

Myślała, że ofiaruje mu dar, a okazało się, że i ją samą czekała niespodzianka.

Jake ułożył się obok Emily z jękiem. Roześmiała się.

- Nie śmieję się - powiedział, przygarniając ją do siebie.

Emily zastanawiała się, czy mu powiedzieć, że było

o wiele lepiej niż kiedykolwiek z Ansonem, ale pomyślała, że on z pewnością nie chce teraz słyszeć o jej byłym ukochanym. Kiedyś jednak mu to powie.

Wtuliła się w niego, zbyt zmęczona, by wstać i zgasić lampę. Gdy obudziła się ze snu, który - jak jej się zdawało - trwał zaledwie kilka minut, poczuła, że jedna jego dłoń gładzi ją po biodrze, a druga pieści jej pierś. I zapragnęła go znowu. Ku jej zaskoczeniu, pragnienie to okazało się odwzajemnione. Rozpoczęli więc powolne badanie swoich ciał, ponownie rozniecając wielki płomień pożądania.

Ten drugi raz był jeszcze intensywniejszy. Gdy skończyli, oboje byli wyczerpani. Objęli się ramionami i, objęci, zasnęli.

Ciche pukanie do drzwi obudziło Jake'a przed świtem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jake próbował nie słyszeć. Może sobie to tylko wyobraża? Przytulił się do rozgrzanego ciała Emily.

Pukanie rozległo się ponownie. Było teraz trochę głośniejsze. Ktokolwiek to jest, obudzi Emily - uznał Jake - musi mu więc otworzyć. Wysunął ramię spod głowy Emily i ostrożnie wstał z łóżka. Idąc przez pokój, wciągał pospiesznie bieliznę.

Szybkim ruchem wyjął broń z kabury i uchylił drzwi. Za drzwiami stał szeryf.

- Proszę się ubrać. Znaleźliśmy Berkeleyya - powiedział krótko i zniknął.

Berkeley... Czy on go jeszcze obchodzi?

Miał ochotę wrócić do łóżka, do swojej żony.

Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że przecież Berkeley wykorzystał Emily, że ją zdradził. Aon, Jake, ma teraz szansę oddać go w ręce sprawiedliwości.

Zostawił drzwi uchylone na tyle, żeby do pokoju wpadało nieco światła. Ubierając się pospiesznie, wyszeptał:

- Emily.

Zamruczała coś cicho. Wyglądała na tak szczęśliwą, że patrząc na nią, musiał się uśmiechnąć.

- Emily, muszę teraz pojechać z szeryfem. Trzeba ująć

Berkeleya. Powiniennem wrócić... no... właściwie nie wiem kiedy. Czekaj tu na mnie.

Emily coś wymamrotała. Wśród słów wypowiedzianych przez nią niewyraźnie rozpoznał tylko własne imię.

Zapiął pas z bronią.

- Słyszałaś, co mówiłem, kochanie?

- Mhm.

Brzmiało to jak potwierdzenie. Jake podszedł i pocałował Emily w policzek. Zamruczała coś znowu i uśmiechnęła się. Chwycił płaszcz, a po chwili zastanowienia wziął także swoje torby i wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Przed hotelem czekał na niego siedzący już na koniu szeryf. Klacz Jake'a była osiodłana. Ujrawszy Jake'a, szeryf natychmiast ruszył, kierując się poza miasto. Jake przytroczył torby, wskoczył na klacz i dogonił go w ciągu kilku minut.

Miasto, które pozostawili za sobą, jeszcze spało, otulone kołdrą ze śniegu. Na horyzoncie wschodziło słońce przesłonięte szarymi chmurami. Szeryf kierował się na południowy wschód, na otwartą prerię.

- Było tak - powiedział do Jake'a. - Przyjechał do mnie chłopak Reevesów. Okazało się, że jego ojciec złapał na gorącym uczynku złodzieja. Trzyma go teraz pod bronią. Posłałem tam już lekarza. Pomyślałem, że pan na pewno zechce być przy aresztowaniu, bo złodziej odpowiada rysopisowi Berkeleya.

- Doceniam pańską domyślność i jestem za nią wdzięczny. Szeryf uśmiechnął się szeroko.

- Akurat. Nie wyglądał pan na zadowolonego, kiedy wreszcie otworzył pan drzwi.

Jake roześmiał się.

- Za drzwiami było piekielnie zimno, szeryfie. Zwłaszcza w porównaniu z miejscem, w którym się znajdowałem poprzednio.

Szeryf też się roześmiał.

Po chwili Jake zapytał:

- Gdzie mieszkają Reevesowie?

- Niezbyt daleko. To jedno z tych miejsc na pańskiej mapie, do których pan jeszcze nie dotarł.

- Tego zdążyłem się domyślić. Gdzie jest teraz syn Reevesów?

- U mnie w domu. Żona dała mu śniadanie.

Jake kiwnął głową z aprobatą. Dzięki temu chłopak był przynajmniej bezpieczny.

- A co z innymi członkami rodziny? Kto jest na farmie? Szeryf odwrócił się i spojrzał na niego uważnie.

- Myśli pan, że ten człowiek może być niebezpieczny? Sądziłem, że to po prostu złodziejaszek.

- Jest poszukiwany za napad, którego dokonał w Topece. Poza tym każdy człowiek w rozpaczliwym położeniu może być niebezpieczny.

- Racja. O ile wiem, na farmie są tylko Reeves i jego żona.

Gdy wjeżdżali na podwórze, było już całkiem widno. Przed domem stał przywiązany koń lekarza. Szeryf i Jake zsiadli ze swoich i uwiązali je w pobliżu tamtego. Szeryf, uznawszy, że nie ma się czego obawiać, podszedł do drzwi. Jednak Jake rozejrzał się pospiesznie. Zauważył kilka budynków gospodarskich oraz stertę drewna.

Drzwi otworzyła im kobieta w średnim wieku.

- To szeryf! Bogu dzięki! - zawołała i gestem zaprosiła przyjezdnych do środka.

Jake wszedł za nim.

- Reeves! Co, u diabła, się stało? - zapytał szeryf i podszedł do lekarza pochylonego nad mężczyzną.

Jake szybko zorientował się w sytuacji. Berkeley najwyraźniej uzyskał przewagę nad Reevesem, raniąc go przy tym. Lekarz właśnie udzielał mu pomocy.

Podczas gdy farmer opowiadał szeryfowi, co się stało, Jake ruszył w stronę drzwi. Miał zamiar się rozejrzeć. Nagle usłyszał tętent kopyt. Rzucił się w stronę wyjścia. Gdy wybiegł na werandę, zdążył tylko zobaczyć, że biała klacz znika w oddali.

Błyskawicznie podjął decyzję. Nie oglądając się za siebie, dosiadł konia szeryfa i ruszył w pogoń.

W tej samej chwili z domu wybiegł szeryf. Stojąc w drzwiach, patrzył bezradnie za własnym koniem. Z jego ust posypały się przekleństwa. Kłął tak dobrą minutę.

- Reeves! - zawołał wreszcie, wchodząc do domu. - Macie konia?

- Mam muła - odrzekł poszkodowany farmer.

Szeryf znów zaczął kłąć, powstrzymał się jednak, uświadomiwszy sobie, że w pomieszczeniu jest kobieta.

- Przepraszam panią - wymamrotał. - Doktorze, muszę wziąć pańskiego - oznajmił lekarzowi.

- Niech pan tylko spróbuje. Jeżeli pan to zrobi, to pana zastrzelę - odrzekł lekarz, nie podnosząc nawet głowy.

- Ależ doktorze. Ja muszę złapać tego złodzieja.

- Nie mogę tu zostać i czekać na rozwój wydarzeń, bo tymczasem ktoś mógłby umrzeć. A poza tym, sądzę, że zastępca już go złapał.

- Zastępca zabrał mi konia! To on jest złodziejem, którego muszę złapać!

- Mogę dać panu muła - zaoferował się ponownie farmer.

- A co z koniem tego złodzieja? Pojadę na nim.

- Ten koń okulał. Dlatego ten blondyn u nas się zatrzymał. Miał zamiar ukraść mi pieniądze i uciec na moim własnym mule.

Szeryf już otworzył usta, żeby ponownie zakląć, ale widząc pełen dezaprobaty wzrok pani Reeves, zamilkł. Spojrzał na lekarza, którego mina świadczyła dobitnie, że nie odda mu konia, a potem na Reevesa patrzącego na niego z nadzieją.

- No dobra, niech będzie muł - powiedział.

Gdy pierwsze promienie słońca wpadły do pokoju, Emily zaczęła się powoli budzić. Czuła się błogo. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Jake - szepnęła.

Przekręciła się, chcąc się do niego przytulić, ale była w łóżku sama.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju. Na podłodze leżały tylko jej halki, ubrań Jake'a nie było. Emily opadła na poduszkę. Może Jake zszedł na dół, na śniadanie. Na samą myśl o jedzeniu poczuła skurcz żołądka. Ślub nic pod tym względem nie zmienił. Wciąż cierpiała z powodu porannych mdłości.

Jake chyba słusznie zrobił. Wiedział przecież, że ona nie może jeść o tak wczesnej porze, więc nie budząc jej, sam zszedł do jadalni.

Emily znów usiadła i spuściła nogi z łóżka, spodziewając się zawrotu głowy. Ubierze się i spakuje. Będzie gotowa, gdy

Jake wróci. Nie wiedziała, czy zamierza jechać do domu konno, czy też odbyć z nią dłuższą, lecz mniej męczącą podróż pociągiem.

Znalazła majtki i koszulę i uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak zostały z niej zdjęte poprzedniego wieczora. Składała właśnie pożyczone halki, gdy jej wzrok padł na krzesło stojące przy drzwiach. Pas z bronią Jake'a zniknął. No cóż, widocznie postanowił mieć go przy sobie nawet podczas śniadania. Zaraz jednak zorientowała się, że nie ma także jego płaszcza.

Spróbowała więc sobie wmówić, że Jake poszedł po bilety na pociąg albo po jakieś inne sprawunki. Zaraz jednak pokręciła głową z powątpiewaniem. Okazało się bowiem, że brakuje nie tylko jego broni i wierzchniego okrycia. Brakowało też jego toreb. Emily była pewna, że poprzedniego wieczora widziała je na podłodze, pod krzesłem.

Może je gdzieś przełożył. Pospiesznie przeszukała pokój, jednak na próżno. Było oczywiste, że zabrał wszystko, co do niego należało.

Przez kilka minut Emily stała bez ruchu - zdumiona i przerażona.

Zrobił to znowu! Jak mógł? Jak mógł ją porzucić po tym, co zaszło w nocy?

Uraza i zdumienie zamieniły się w końcu w gniew. Emily w pośpiechu pozbierała pozostałe pożyczone części garderoby i ułożyła je na łóżku. A potem wyjęła z dywanikowej torby swoją spódnicę do konnej jazdy i jakąś bluzkę, mówiąc ze złością:

- Co on sobie wyobraża? Czy myśli, że może tak po prostu mnie tutaj zostawić? Czy jeszcze się niczego nie nauczył?

Spakowała resztę rzeczy i przymocowała torebkę do paska. Zostało jej zaledwie kilka monet, ale Jake o tym przecież nie wiedział. Miała jednak nadzieję, że na dole czeka na nią bilet na pociąg.

Przekonawszy się jednak po chwili, że w recepcji nikt nie zostawił dla niej ani biletu, ani żadnej wiadomości, ruszyła w stronę drzwi, mijając jadalnię. Zaraz jednak zawróciła. Musi sprawdzić - na wszelki wypadek. Wstrzymując oddech, zajrzała do środka. W jadalni siedziało zaledwie kilka osób. Nie było śladu Jake'a.

Emily wycofała się pospiesznie.

Nie ma pojęcia, co zrobi, kiedy go dogoni. Wie tylko, że będzie gorzko żałował swojego postępku.

Postanowiła być wściekła, bo wiedziała, że inaczej się rozpłacze.

Była już w połowie drogi do stajni, gdy przyszło jej na myśl, że może powinna pójść do szeryfa, ale odrzuciła ten pomysł. Bała się trochę szeryfa, chociaż ani Jake, ani Hannah nie okazywali przed nim strachu.

W stajni było ciemno, ale znalazła latarnię. Wiedziała, że formalnie biorąc, to co teraz robi, jest wtargnięciem na cudzy teren. Przeszła przez stajnię, zaglądając do wszystkich boków. Jej wałach znajdował się w swoim, ale kłaczy Jake'a nie było.

- Do diabła z nim - mruknęła.
- Mówi pani o mnie?

Emily drgnęła i omal nie upuściła latarni. Jakiś niski mężczyzna z wydatnym brzuchem obserwował ją uważnie, po cierając okolony bokobrodami policzek. Spod długiego płaszcza wystawały nogawki kalesonów.

- Czy pan tutaj pracuje? - zapytała Emily.

- Jestem właścicielem - poprawił ją ze złością. - Mieszkam tuż obok. Zobaczyłem światło. Chce pani swojego konia? To ten gniady wałach, tak?

Emily zignorowała jego pytanie.

- O której godzinie Jake Rawlins zabrał stąd klacz?

Mężczyzna podszedł do pustego boksu.

- Chyba jeszcze w nocy - powiedział.

Emily aż się zachłysnęła ze złości.

- Rozmawiał pan z nim? Widział pan, jak odjeżdża?

- Nie.

- Aha. Świetnie. No więc tak, potrzebny mi mój wałach.

Mężczyzna był na tyle bezczelny, że się uśmiechnął.

- Osiodłam go za chwilę - zapewnił ją skwapliwie.

Emily była zbyt zniecierpliwiona, by stać i patrzeć, jak właściciel stajni przygotowuje konia. Podeszła do wrót i wyjrzała. Na ulicy było niewielu przechodniów - wszyscy brnęli po śniegu.

Emily stała przez chwilę i patrzyła. Nagle ją olśniło. Przyjrzała się uważnie śniegowi pokrywającemu ziemię przed wrotami stajni. Widniały na nim jej własne ślady oraz ślady właściciela i prawdopodobnie paru innych osób. A także ślady jednego tylko konia. Emily przeszła przez podwórze w stronę ulicy i spojrzała najpierw w prawo, a potem w lewo. Ślady kopyt prowadziły w jedną stronę. Emily nie była tropicielem, ale doszła do wniosku, że zobaczyła już wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, w którym kierunku ma się teraz udać.

Gdy wałach został w końcu osiodłany, a torba przytroczona do siodła, właściciel stajni pomógł jej wsiąść. Znalazłszy

się w siodle, Emily niecierpliwie pogoniła konia, który ruszył z kopyta.

- Wszystko na koszt firmy - zawołał za nią mężczyzna.
- Dziękuję - odkrzyknęła, ogromnie mu wdzięczna.

Całkiem wyleciało jej z głowy, że może być mu winna pieniądze.

Za miastem ruszyła śladem końskich kopyt. Czy to, że są podwójne, oznacza, że ktoś towarzyszy Jake'owi? A może go ściga?

Może szeryf widział, jak Jake opuszcza miasto, i ruszył za nim w pogoń. Emily uśmiechnęła się mimo woli. Dobrze mu tak, uznała mściwie i odczuła satysfakcję na myśl, że być może Jake będzie miał znów do czynienia z szeryfem.

Zaraz jednak przestała się cieszyć. Szeryf może przecież zrobić Jake'owi coś złego. Ponagliła konia. Musi ich jak najszybciej dogonić.

Po drodze zatrzymała się tylko raz - żeby przyjrzeć się śladom. Niczego jednak z nich nie wyczytała. Nie miała pojęcia, z jaką prędkością poruszają się Jake i ten drugi jeździec. Gdy ślady zaprowadziły ją na szczyt wzgórza, a potem dalej w dół, odniosła nagle wrażenie, że na następnym wzniesieniu widzi białą klacz.

- Czy to Jake? - zapytała sama siebie, czując, że z emocji wprost brakuje jej tchu.

Gdy ujechała jeszcze kawałek drogi, zorientowała się, że biały koń zmierza galopem w jej stronę. Na ten widok ogarnął ją wielki niepokój. Dlaczego Jake wraca? Czy ktoś go ściga? Rozejrzała się za jakąś zaporą, zza której wraz z nim mogłaby stawić czoło ewentualnemu wrogowi.

Jeźdźcowi przyjrzała się dopiero w chwili, gdy klacz omal

nie zderzyła się z jej wałachem. Była do tej pory pewna, że poznaje wierzchowca. Nie zauważyła jednak, że kapelusz i płaszcz jeźdźca są jasne, że nie należą do Jake'a. Rozpoznała jeźdźca dopiero wtedy, gdy się już przed nią zatrzymywał.

- Emily! - zawołał, z trudem chwytając oddech, a po chwili dodał: - A to ci niespodzianka!

Emily także zabrakło tchu, gdy rozpoznała Ansona. Był ostatnim człowiekiem, jakiego pragnęła teraz spotkać. I na dodatek jechał na koniu Jake'a! Ogarnęło ją przerażenie. Gdzie jest Jake?

Spróbowała zadać to pytanie, jednak gardło miała tak ściśnięte, że nie zdołała wydobyć głosu. To oczywiste, że przyczyną zniknięcia Jake'a był Anson! Jak mogła pomyśleć, że Jake ją opuścił? Jake zawsze był przy niej, nawet w dzieciństwie. A teraz być może nie żyje!

Anson obejrzał się przez ramię, a ona uświadomiła sobie, że dziwne dudnienie, które brała za kołatanie własnego serca, to odgłos kopyt galopującego konia. Anson usłyszał go także. Wyrwał jej z rąk wodze, przyciągnął jej konia do swojego i zaczepił lejce o łęk własnego siodła.

- Rób dokładnie to, co ci każę - rozkazał, zaciskając palce na jej ramieniu. - Później mi powiesz, jak się tu znalazłaś.

W tej chwili o kilka stóp od nich zarył kopytami w ziemię koń Jake'a.

- Aaa poznaję, pan zastępca szeryfa, ten z pociągu - powiedział Anson, a Emily zauważyła, że pod płaszczem trzyma gotowy do strzału rewolwer.

. - Puść ją, Berkeley - odezwał się Jake.

W odpowiedzi Anson się roześmiał.

- Słuchaj no, ty nic nie rozumiesz. Ona jest być może twoją przyjaciółką z dzieciństwa, ale to moja kobieta. Zostałem ją, żeby cię zatrzymała. Niestety muszę stwierdzić, że niezbyt dobrze się wywiązała z zadania.

Emily chciała ostrzec Jake'a, że Anson ma broń. Wiedziała jednak dobrze, że gdyby to uczyniła, Berkeley z pewnością by wystrzelił. Siedziała więc bez ruchu, przerażona. Anson wciąż ścisnął ją za ramię.

- Zsiadaj z konia - warknął do Jake'a.

Jake zawahał się, a wtedy Anson wyciągnął broń spod płaszcza. Jake nie miał wyboru. Zsiadł z konia, po czym powolnym ruchem wyciągnął z kabury rewolwer i rzucił go na ziemię.

- A teraz ty - zwrócił się Anson do Emily, puszczać jej ramię i oddając jej wodze. - Podejdź tam i przyprowadź jego konia.

Emily ruszyła, zastanawiając się, czy może w jakiś sposób pomóc Jake'owi. Ich oczy się spotkały, jednak nie wyczytała ze wzroku męża żadnej wskazówki.

Boże, nie pozwól Ansonowi go zastrzelić - modliła się, wykonując polecenie Berkeleya.

Wróciła do niego, prowadząc konia Jake'a, a on dał jej znak gestem, żeby jechała dalej. Nie chciała zostawiać męża, zdawała sobie jednak sprawę, że teraz każdy jej nieostrożny ruch może tylko pogorszyć sytuację. Obejrzała się na Ansona.

- Jedziemy! - zawołała. - A jego zostawmy tam, gdzie jest.

Na twarzy Ansona pojawił się szeroki uśmiech. Trzymając rewolwer w dłoni, zbliżył się do Emily, a ona spięła konia

w nadziei, że jej prześladowca ruszy za nią. Na szczęście nadzieja ta nie okazała się płonna. Po pewnym czasie Emily puściła z ręki wodze konia Jake'a.

Anson natychmiast to zauważył, odwrócił się błyskawicznie i złapał konia. To głupie zwierzę powinno było pogalopować tam, skąd przybyło - pomyślała Emily ze złością.

To chyba dobrze, rozumowała dalej, że Anson sądzi, iż jestem zadowolona z ponownego spotkania. Choć z drugiej strony wygląda na to, że będzie musiała rozwinąć nie lada kunszt aktorski. Będzie musiała udawać, że go kocha, bo przecież już nawet nie pamięta, co kiedyś w nim widziała.

Bała się obejrzeć i sprawdzić, co się dzieje z Jakiem. Lękała się zdradzić przed Ansonem. Zostawiając Jake'a samego na mroźnym pustkowiu, i na dodatek bez konia, czuła się okropnie. Jednak lepsze to niż zostawić go tam martwego, to było poza dyskusją.

Jake odprowadzał ich wzrokiem, całkiem bezsilny. Był pewien, że Emily wcale nie chciała odjechać z Berkeleyem. Zresztą nawet gdyby tego chciała, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo on i tak by ich ścigał. Emily jest przecież jego żoną!

Zauważył, że skierowali się w stronę Council Grove. Wątpił jednak, czy tam właśnie zdążają. Podniósł z ziemi rewolwer, wytarł go dokładnie chusteczką i ruszył piechotą w tym samym kierunku.

Nie uszedł daleko. Dogonił go szeryf jadący na ogromnym mule.

- Gdzie podział się mój koń? - zapytał ze złością.
- Zabrał go Berkeley - odrzekł Jake.
- Oddał mu pan mojego konia?

Szeryf zeskoczył z muła i ruszył na Jake'a, podnosząc zaciśniętą pięść. Jake machinalnie cofnął się o krok.

- On miał w swoich rękach Emily - wyjaśnił.

Szeryf opuścił rękę.

- O, do diabła - powiedział, po czym, westchnąwszy głęboko, zaproponował: - Odwiozę pana do miasta. A tam zorganizujemy grupę pościgową.

Jake pokręcił głową.

- Dam się odwieźć, ale nie chcę żadnej grupy. Będę ich ścigał sam.

Po kilkunastu minutach jazdy Anson skręcił na północ. Gdy znaleźli się pod osłoną kilku drzew nad potokiem, zsiadł z konia.

- Musisz mi pomóc - zwrócił się do Emily, przywiązując klacz i konia szeryfa do drzewa, a następnie usiadł na ziemi.

Emily zeskoczyła z wałacha.

- Co się stało? - spytała, podchodząc do Ansona.

Anson rozchylił płaszcz, a jej oczom ukazała się zakrwawiona koszula.

Emily poczuła, że robi się jej niedobrze.

- Przywiąż mocniej wałacha - polecił jej Anson.

Jego głos docierał do niej jakby z oddali. Emily odwróciła się, podeszła chwiejnym krokiem do drzewa i zwymiotowała. A potem stała przez chwilę pochylona, czekając, aż przejdzie jej zawrót głowy.

- Do diabła, dziecinko - zawołał Anson. - Potrzebna mi twoja pomoc!

- Tak - wyjąkała Emily. - Tak, przepraszam. Daj mi tylko minutę.

Usłyszała, że Anson klnie pod nosem, i wyprostowała się powoli. Odrzuciła kaptur. Mroźne powietrze ochłodziło jej wilgotne skronie. Wróciła jej przytomność umysłu, jednak żołądek wciąż się buntował. Wyobraziła sobie nagle, że dotyka zakrwawionej koszuli Ansona. Skutek był taki, że ponownie zwymiotowała.

- Na litość boską - burknął Anson. - Jesteś do niczego.

Usłyszała, że wrócił do koni. Zaczęła się zastanawiać, czy zostawi ją tutaj samą, na mrozie, na pastwę losu.

- Wsiadaj - rozkazał. - Znajdziemy kogoś, kto mi pomoże.

Emily chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wałacha, spoglądając ukradkiem na Ansona. Bardzo jej ulżyło, gdy stwierdziła, że zapiął płaszcz. W parę chwil później jechali znowu przez prerię.

Emily dotąd nie reagowała w ten sposób na krew, której, co prawda, nigdy nie widziała aż tyle. Teraz jednak na samą myśl o krwi robiło jej się słabo. Próbowwała więc myśleć o czym innym, na przykład o Jake'u.

- Czy wiesz, że ta stara bandażowała mi ranę, podczas gdy jej mąż trzymał mnie na muszce? - powiedział Anson.

- Para idiotów. Krew tryskała ze mnie jak z fontanny, a oni kazali chłopakowi jechać po szeryfa. Po szeryfa! Rozumiesz? Zamiast po lekarza!

Emily znowu poczuła zawrót głowy. Jej żołądek był już całkiem pusty, nie miała więc czym wymiotować. Naszła ją ochota, by powiedzieć Ansonowi, żeby mówił o czym innym, ale równocześnie nie chciało jej się w ogóle z nim rozmawiać.

- Wydaje mi się, że kobieta powinna zapytać swojego

mężczyznę, jak to się stało, że tak krwawi - zasugerował ironicznie Anson.

- Proszę cię, przestań - jęknęła Emily.

Poczuła, że zaraz zemdleje i spadnie z konia. Położyła głowę na szyi wałacha i zamknęła oczy.

Anson roześmiał się.

- No, widzę, że nie na żarty się tym przejęłaś.

Odwróciła nieco głowę, spoglądając na niego z gniewem.

- Przykro mi, dziecinko - powiedział, choć jego ton świadczył o tym, że wcale nie jest mu przykro. - Nie jest aż tak źle. Dam sobie radę. Ta stara mnie opatrzyła. I wydaje mi się, że krwawienie ustało. O, widzisz?

Emily odwróciła głowę, walcząc z ponownym napadem mdłości.

Anson roześmiał się znowu, zadowolony, że udało mu się wyszydzić jej słabość. No cóż, nic a nic jej to nie obchodzi. Może sobie mówić, co chce, dopóki zostawia ją w spokoju.

Robiło się coraz cieplej, śnieg zaczął topnieć. Jake został bez konia - myślała gorączkowo Emily - ale z pewnością nie na długo. Zdobędzie jakiegoś wierzchowca i zacznie ich ścigać. No tak, tylko że do tego czasu śnieg stopnieje i znikną ślady.

Wciąż pochylając się nad końską szyją, Emily zaczęła szarpać spódnicę. Próbowwała odedrzeć kawałek materiału, lecz ten się nie poddawał.

Pod spódnicą nie miała halek, a jej majtki były tak krótkie, że nie mogła do nich dosięgnąć. Z bluzką z pewnością poszłoby jej łatwiej, lecz jak wyjaśnić Ansonowi, dlaczego jest podarta? Emily przyszła na myśl torebka. Sięgnęła więc pod pelerynę i odpięła ją od paska.

- Dlaczego zwolniłaś?

Ansoh odwrócił się w siodle i spojrział podejrzliwie. Emily kichnęła głośno i zaczęła szukać chusteczki. Anson odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

Trzymając chusteczkę w pogotowiu na wypadek, gdyby miał się ponownie obejrzeć, Emily przeszukiwała po omacku torebkę. Co ma rzucić na ziemię, by pozostawić ślad? Może portrecik Ansona? To będzie jednoznaczny ślad. Zostaną jej jeszcze monety.

Zaledwie zdążyła upuścić portrecik, Anson zatrzymał się i zaczął, aż Emily się z nim zrówna.

- Powinnaś być już w Denver - powiedziała. - Dlaczego więc jesteś tutaj?

- No cóż - zaczęła, gorączkowo zastanawiając się nad odpowiedzią - nie udało mi się zatrzymać Jake'a w pociągu.

- No tak, twojego starego przyjaciela.

Udała, że nie słyszy sarkastycznego tonu.

- Jake zmusił maszynistę, żeby zatrzymał pociąg, a potem poszedł pieszo do Americus. To znaczy poszliśmy tam oboje. Bo ja też wysiadłam.

- Tak? A po co?

Zadał to pytanie tonem zdecydowanie podejrzliwym.

- On ścigał ciebie, Ansonie, a ja chciałam opóźnić pościg.

- No i co, udało ci się to?

- No... tak, bo najpierw okazało się, że mam na pięcie pęcherz. Jake wciąż próbował się mnie pozbyć, ale ja za każdym razem go doganiałam.

Miała nadzieję, że głos nie zdradza uczuć, jakie żywi dla Jake'a. Pomyślała też, że trudno jej będzie okłamywać Ansona na dłuższą metę.

Zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że od tego, czy zdoła go oszukać, może zależeć życie - zarówno jej własne, jak i Jake'a. Anson musi jej wierzyć. I dlatego ona musi grać jak wprawna aktorka.

- Przez te ostatnie dni przeżyłam straszne rzeczy, Ansonie. Nie wiem, dlaczego on uciekł dziś rano, zostawiając mnie w hotelu. Wyglądało na to, że w końcu udało mu się mnie zgubić. Gdy się zorientowałam, że go nie ma, okropnie się przestraszyłam. Myśl o tym, co się stanie, gdy cię dogoni, po prostu mnie przeraziła.

To ostatnie było prawdą, tyle że powód jej strachu był zupełnie inny.

Anson milczał przez pewien czas. Emily bardzo chciała upuścić na ziemię jakiś kolejny przedmiot. Nie miała jednak odwagi tego zrobić.

W końcu Anson przerwał milczenie.

- No cóż, doceniam to, że tak bardzo dbałaś, żeby zastępca szeryfa był zajęty.

Emily starała się zignorować zawartą w tym zdaniu insynuację. Ten drań naprawdę myślał, że ona spała z Jakiem.

- Wydaje mi się jednak - mówił dalej Anson - że teraz opóźniasz nie jego pościg, lecz moją ucieczkę.

Popędził klacz, na co koń, którego prowadził, chrapnął gniewnie, jakby chcąc zaprotestować. Emily także przyspieszyła, lecz zanim go dogoniła, zdążyła upuścić monetę.

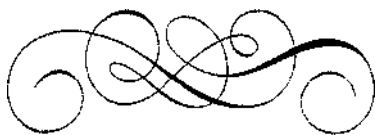
Szeryf postarał się o konia w czasie, gdy Jake kupował coś do jedzenia. Następnie - tuż przed południem - Jake wyjechał z miasta, kierując się bardziej na zachód, niż leżała farma Reevesów. Jeszcze poprzednio, po drodze do miasta, obaj

z szeryfem zorientowali się po śladach, w którym miejscu skręcili uciekinierzy. Jake miał nadzieję odnaleźć ślady Ansona i Emily bez cofania się do tego miejsca.

Po dwóch godzinach jazdy przez prerię doszedł jednak do wniosku, że nie będzie to takie proste. Śnieg już stopniał, a ziemia, teraz mokra, mogła być zamarznięta w chwili, gdy przejeżdżali tędy Anson i Emily.

Jake zaczął się właśnie zastanawiać, czy nie zawrócić, gdy zauważył, że w oddali coś błyszczący w słońcu. Podjechał bliżej i znalazł na ziemi portrecik Ansona Berkeleyya. Wkładając go do kieszeni, omal nie roześmiał się w głos.

- Dzięki, Emily - powiedział głośno, szukając kolejnych śladów.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W południe Emily nie mogła się doczekać postoju. Od czasu wczorajszego ślubnego przyjęcia miała w ustach tylko wodę z manierki. Wiedziała, że wkrótce będzie tak głodna i zmęczona, że nie zdoła utrzymać się w siodle.

Poza tym żałowała, że nie rozsypywała monet trochę mniej gęsto. Bo teraz zanosіło się na to, że będzie musiała upuścić na ziemię nawet torebkę. Gdyby mogła być przez chwilę sama, podarłaby bielizną i schowała paski materiału do torebki, na później.

A może po prostu powinna zrobić krótki postój? Czy Anson zostawiłby ją wtedy w spokoju? Czy może zaskoczyłby ją w jakimś nieodpowiednim momencie? No cóż, spróbuje. Zatrzymała wałacha i zsiadła z niego, żałując, że nie ma przy sobie czegoś do jedzenia. Ale w torbie nie było ani okruszka.

Popatrzyła na jadącego dalej Ansona, mając nadzieję, że on zaraz zniknie za najbliższym wzgórzem. Tymczasem obejrzał się przez ramię i zawrócił.

- O co chodzi tym razem?
- Musiałam się zatrzymać - odrzekła, szukając w głowie jakiegoś pretekstu.
- Przecież tu nic nie ma.
- Muszę... muszę sobie ulżyć.

- Powiniennem cię zostawić i pozwolić, żebyś zatrzymała zastępcę szeryfa. Jeżeli oczywiście on nas goni.

Emily patrzyła na Ansona przez chwilę, zastanawiając się, czy mówi poważnie. Nie chciała, żeby się zorientował, z jaką radością podjęłaby się tego zadania.

Po chwili Anson zsiadł z klaczy.

- No dobrze. Potrzymam ci konia - powiedział.

Trochę na lewo, tam, gdzie grunt opadał, rosła kępka rzadkich krzaków. Emily miała nadzieję, że zszedłszy niżej, będzie lepiej osłonięta przed spojrzzeniami Ansona. Zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie.

Nie była osłonięta tak dobrze, jak się spodziewała. Zdjęła więc pelerynę i powiesiła ją na jakimś krzaku - tak żeby tworzyła swego rodzaju parawan. Szybko oddarła falbanki od majtek, a potem obrąbek bluzki. Podarła je na krótkie paski, które włożyła do torebki. Domyślając się, że Anson nie pozwoli jej zatrzymać się ponownie, szybko opróżniła pęcherz.

A potem zarzuciła na siebie pelerynę i wyszła z zagłębienia, drząc na całym ciele. Było jej teraz zimno, dokuczał jej głód i zmęczenie.

Anson podczas jej nieobecności miał pełne ręce roboty. Wydłużył strzemiona jej wałacha, tak żeby pasowały do jego długich nóg, a skrócił strzemiona karego, którego zabrał Jake'owi.

- Wsiadaj - rozkazał, wręczając jej wcdze karego.

- Ale przecież to jest mój koń - odrzekła Emily, wskazując gniadego wałacha, na którego właśnie wsiadał Anson.

- Tak? Teraz ja na nim pojedę.

Ruszył przed siebie, prowadząc białą klacz.

Emily usiłowała dosiąść karego, który był większy od wa-

łacha. Gdy jej się to wreszcie udało, musiała ruszyć galopem, żeby dogonić Ansona. Nie mogła teraz nawet myśleć o pozostawianiu w tyle, bo chciała odzyskać wałacha.

- Kiedy się zatrzymamy, żeby coś zjeść? - zapytała.

- Jak znajdziemy odpowiednie miejsce. A skąd mam wiedzieć, kiedy to będzie?

- Popatrz - odezwała się po chwili Emily i wskazała na prawo, w stronę horyzontu. - Dym.

- Rzeczywiście.

Anson skierował się w tamtą stronę.

Gdy wyjechali z za wzgórza, Emily zobaczyła farmę, która wydała jej się znajoma. Było to ranczo Kinneyów, na którym Jake dostał mapę i na którym mieszkało małżeństwo mające czterech synów.

Anson nie był tam jeszcze.

- Mam nadzieję, że nie spóźnimy się na obiad - powiedziała Emily z ożywieniem. - Jestem strasznie głodna.

Anson zatrzymał konia i przyglądał się domowi.

- Na co czekamy? - zapytała Emily.

Nawet na nią nie spojrzął, tak pilnie obserwował to, co działo się na podwórzu. Z domu wyszedł właśnie jakiś mężczyzna i skierował się do stodoły. Za chwilę ukazał się drugi, a potem trzeci.

Emily, patrząc na profil Ansona, poczuła, że serce jej zamiera. Anson był zbyt ostrożny. Gdy zawrócił konia, zapytała, udając zdziwienie:

- Dlaczego się tu nie zatrzymamy? Musimy przecież coś zjeść, no i ktoś powinien spojrzeć na twoją... ranę.

Zaraz pożałowała, że wspomniała o ranie, bo na myśl o krwi zakręciło jej się w głowie.

- Właśnie z powodu rany nie możemy tu stanąć. Ci ludzie mogliby okazać się zbyt wścibscy.

- Gdzieś musimy się zatrzymać.

- Tak, ale nie tutaj. Mają tu całą armię robotników.

Ta „armia” to nie byli wcale robotnicy. I większość jej „żołnierzy” była tylko wyrostkami. Emily postanowiła tego Ansonowi nie mówić. Gdyby Anson wiedział, że już tu była, stałby się jeszcze bardziej nieufny.

Było już późne popołudnie, gdy monety i gałganki doprowadziły Jake'a na wzgórze nad ranczem Kinneyów. Zorientował się po śladach, gdzie zatrzymały się konie i skąd ruszyły, omijając ranczo. Po chwili wahania zjechał na dół, żeby porozmawiać z Kinneyem.

Dwadzieścia minut później powrócił na wzgórze i ruszył dalej po śladach. Miał teraz przy sobie worek z jedzeniem, ale informacji nie uzyskał prawie żadnych. Kinney i dwaj jego synowie widzieli jeźdźców na szczycie wzgórza, jednak nie zahaczyli o ich ranczo. Kinneyowie pomyśleli nawet, że to dziwne, ale szybko o tym zapomnieli.

Kinneyowie widzieli jeźdźców zaraz po południowym posiłku. To oznaczało, że wyprzedzają Jake'a o dwie godziny. A więc ich doganiał.

Berkeley był ranny, a Emily z pewnością bardzo już zmęczona. Jechali wolniej niż on. Mieli jednak zapasowego konia. Jego własny był zmęczony i mógł nie wytrzymać tempa.

Niepokój o Emily nie pozwalał Jake'owi oszczędzać wierzchowca. Wiedział, że po południu Emily czuje się bardzo zmęczona. Przypomniał sobie teraz, jak wziął ją na swojego konia i podtrzymywał, żeby mogła spać. Czy Berkeley

zrobi to samo? Jake sam nie wiedział, czy bardziej rozwściecza go myśl, że Berkeley to zrobi, czy też nie zatroszczy się o Emily.

No a poza tym, czy Berkeley zdobył dla niej coś do jedzenia? Był pewien, że nigdzie się nie zatrzymywali. W torbach przytroczonych do siodła konia, którego ukradł Berkeley, nie było jedzenia. Przy koniu szeryfa także nie. A Emily przed wyjazdem z miasta z pewnością nie wzięła nic do ust.

To, że wpadła w łapy Berkeleya, było jego winą. Powinien upewnić się, że się obudziła i że dotarło do niej to, co mówi. Należało ustalić, że ona wie, iż wróci. A tak wygląda na to, że po obudzeniu się doszła do wniosku, iż znowu ją porzucił.

Miał nadzieję, że uda mu się to wszystko jakoś naprawić. A równocześnie prześladowała go myśl, że Berkeley z pewnością nie tylko nie opiekuje się Emily tak, jak by należało, ale w ogóle jej nie oszczędza.

Emily upuściła kolejny gałganek.

- Co to było?

Okazało się, że Anson obejrzał się w niewłaściwym momencie.

- Co? O co ci chodzi? - zapytała Emily, jednak zaraz przekonała się, że nie ma sensu udawać.

Anson odwrócił się i chwycił za uzdę jej konia - nie było więc możliwości ucieczki.

- Zsiadaj! - rozkazał.

Posłuchała go bez słowa. On także zsiadł, biorąc wodze wszystkich trzech koni, a potem podszedł do miejsca, w którym leżał gałganek.

- Sądzę, że to nie przypadkiem oddarło się od twojej spódnicy - zauważył Anson.

- Rzeczywiście, masz rację - dzielnie odparła Emily, choć w rzeczywistości ogarnął ją strach.

Co zrobić, żeby przestraszyć konie? Jednak z drugiej strony piesza wędrowka z Ansonem będzie czymś jeszcze gorszym niż dotychczasowa jazda.

- Zostawiałaś w ten sposób ślady, na które miał natrafić twój przyjaciel, czy tak?

- Tak, i liczyłam na to, że nie zwieje ich wiatr.

Anson ruszył w jej stronę, a ona pomyślała, że ją uderzy. Jednak on - choć z trudem - zdołał się opanować.

- Wiesz, Emily - powiedział, tym swoim czarującym głosem, który kiedyś tak ją pociągał - zastanawiałem się, czy on cię miał. Wiem, że kobiety to stworzenia nieszczególnie wierne. Zresztą, miał cię czy nie, dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Zdradzę ci, że jako zakładniczka będziesz dla mnie równie cenna jak w roli współpracownicy.

Emily ledwie trzymała się na nogach. Tymczasem Anson podniósł biały gałganek. Przyglądał się mu przez chwilę, potem popatrzył na nią, a następnie za siebie, jakby się spodziewał zobaczyć inne kawałki materiału leżące w odległości paru stóp. Najwyraźniej zastanawiał się, jaką podjąć decyzję.

Ona tymczasem czyniła to samo. Gdyby odzyskała jednego z koni, najlepiej swojego wałacha, uciekłyby drogą, którą tu przyjechali. Może dopisałoby jej szczęście i spotkałaby Jake'a, zanim Anson ją dogoni? No tak, ale co by było, gdyby ten plan się nie powiódł?

Anson odwrócił się ku niej z lodowatym uśmiechem.

- Oddaj mi pozostałe - zażądał, machając gałgankiem.

- To był ostatni.

Ruszył w jej stronę.

- Nie wierzę ci. Jeżeli to prawda, to udrzemy następne.

Emily odwróciła się, chcąc uciekać, ale on błyskawicznie chwycił ją za rękę. Zerwał z niej pelerynę. Z zimna aż wstrzymała oddech. Anson jedną ręką sięgnął do jej bluzki.

- No więc jak, są jeszcze jakieś kawałki?

- Tak. W mojej torebce.

Chwycił torebkę i jednym szarpnięciem oderwał ją od paska. Emily była zła na siebie, że tak łatwo się poddała, jednak trudno jej było wytrzymać na zimnie. W chwili gdy Berkeley ją puścił, chwyciła pelerynę i pośpiesznie się otuliła.

- No, no - powiedział Berkeley, wyciągając z torebki garść gałganków - Sprytnie. Pomyślmy teraz, jak się tym posłużyć w celu zmylenia pana zastępcy szeryfa.

Uśmiechnął się szeroko.

Emily miała nadzieję, że Anson wyjawi plan, co pozwoliłoby pokrzyżować mu szyki.

- Ty, moja kochana, poczekaś tutaj - zdecydował - razem z koniem.

Na twarzy Emily musiała się odbić wielka radość, bo Anson roześmiał się głośno.

- Nie ciesz się - powiedział - bo nie będziesz się stąd mogła ruszyć.

Chwycił ją znowu, wykręcił jej rękę do tyłu i związał je szybko chustką.

- Bądź uprzejma usiąść - polecił.

Emily zachwiała się, ale po chwili odzyskała równowagę i ostrożnie usiadła na ziemi, zimnej i wilgotnej.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała, choć nie bardzo wierzyła, że Anson jej odpowie.

- A wiesz, jeszcze nie sprawdziłem, co nasi przyjaciele tu włożyli - oznajmił i wyciągnął z torby Jake'a grubą linę.

Skrepował nią nogi Emily. W drugiej torbie znalazł trochę chleba z serem.

- Wyobraź sobie - powiedział, rozwijając papier - że to przez cały czas tu było.

Ugryzł kawałek, otrzepując z dłoni okruchy.

Emily zaczęło głośno burczeć w brzuchu, ale postanowiła nie żebrać o jedzenie. Zmierzyła Berkeleyya gniewnym spojrzeniem.

A on odwrócił się, wziął dwa konie, zostawiając jej wałacha, i ruszył przed siebie.

- Wróć za parę minut - zapowiedział.

Odjechał cwałem. Emily zauważyła, że zanim zniknął w sąsiedniej dolinie, upuścił kawałek materiału. Myli trop. Porozrzuca gałganki, a potem zawróci i pojedzie w innym kierunku. Będzie jej pilnował tak, że ona nie zdoła zostawić Jake'owi żadnego znaku.

Spróbowała się wyprostować i straciła równowagę. Leżąc na boku, z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- No cóż, chciałam przecież odpocząć - powiedziała w końcu głośno.

Dźwięk własnego głosu trochę ją uspokoił. Jake ją na pewno znajdzie. Ansonowi nie uda się go oszukać. Usilnie starała się w to uwierzyć.

Nie bardzo wiedziała, ile czasu upłynęło do chwili, gdy wrócił Anson. Nie przyprowadził karego i nie wyjaśnił, gdzie koń się podział. Zsiadł z klaczy, rozwiązał linę krępu-

jąca nogi Emily i pomógł jej wstać. Wreszcie rozwiązał jej ręce i trochę niezdarnie wsadził ją na wałacha. A potem przywiązał jej ręce do łąku.

- Teraz będziemy jechali trochę szybciej - oznajmił.

Gdy dosiadał klaczy, widać było, że nie ma zbyt wiele siły. Najpewniej z powodu rany. Może to dlatego, że popychając ją, uraził się w obolałe miejsce. Obserwowała go uważnie, szukając oznak wyczerpania i zapominając przy tym o własnym zmęczeniu.

Wbrew temu, co zapowiadał, Anson ruszył naprzód powoli. Popędził konie, dopiero gdy pokonali jakieś ćwierć mili. Wtedy przeszli w cwał. Emily domyśliła się, że dzięki temu zostawili na pierwszym odcinku drogi płytsze ślady, by zmylić Jake'a. Zbierało jej się na płacz, ale musiała się koncentrować na tym, by utrzymać równowagę w siodle.

Jechali tak do zmroku. Gdy zaczynało się ściemniać, Anson dostrzegł farmę nad potokiem i zatrzymał konie. Kiedy Emily się z nim zrównała, rozwiązał linę krępującą jej ręce.

- Chyba teraz nie będziesz próbowała uciekać - powiedział. - Bo to - wskazał dom - jest najbliższe miejsce, w którym będziemy mogli dostać coś do jedzenia.

Emily spojrzała na niego bez słowa i zaczęła sobie rozcierać przeguby.

- Aha, jesteś moją żoną - odezwał się Anson. - A moja rana to był wypadek. Chcemy się posilić i przespać. Rano ruszymy w drogę.

- Ze wszystkimi oszczędnościami tych ludzi.

Te słowa wyrwały jej się, zanim zdążyła się zastanowić. Nie żałowała ich jednak.

- A więc wiesz. No cóż, gdybyś wzięła więcej od brata, nie musiałbym tego robić.

- Posłuchaj, mógłbyś już być w połowie drogi do Denver. Ale ty jechałeś od domu do domu, okradając ludzi. W tym domu, który minęliśmy w południe, mogłeś być trzy dni temu.

Anson - zdziwiony tym wybuchem - popatrzył na nią jak na kogoś, kto najwyraźniej zwariował.

A ona mówiła dalej:

- Spędziłeś sobotnią noc z Garveyami, z tymi, którzy mają tego nieznośnego syna. Powiedzieli ci, jak masz jechać do Kinneyów. Mogłeś tam dotrzeć w niedzielę w południe, ale ty wolałeś się włóczyć po okolicy i kraść ludziom oszczędności.

- Deptaliście mi po piętach? Domyślałem się tego. Właśnie dlatego zmieniłem kierunek. A teraz milcz. Jeżeli zdradzisz mnie przed tymi ludźmi, to zabiję i ich, i ciebie.

Ruszył naprzód, szarpiąc wodze wałacha.

W drzwiach domu powitała ich starsza, pocziwie wyglądająca kobieta. Zawołała zaraz męża, który zajął się końmi.

- Biedactwa, musicie być zmarznięci.

- Proszę pani - zaczął Anson głosem drżącym ze zmęczenia - żonie i mnie byłoby miło skorzystać z państwa gościnności i przenocować. Chętnie też byśmy coś zjedli.

- Ależ oczywiście. Zaraz przyniosę chleba, a potem z tego, co zostało z kolacji, ugotuję wam zupę.

Zniknęła w głębi domu. Emily obserwowała Ansona. Rozglądał się uważnie po pokoju, bez wątpienia starając się znaleźć jakieś skrytki. Emily przysięgła sobie, że nie spuści go z oka.

Wkrótce wróciła gospodyni. Niosła maselnickę i talerz, na którym leżał pokrojony chleb. Postawiła to wszystko na stole, przy którym zaraz usiadła Emily.

- Mam na imię Bertha - przedstawiła się - a mój mąż nazywa się Alfred Hoover.

- Emily...

- Wilson - dokończył Anson. - My się nazywamy Andy i Emily Wilsonowie.

Wstał i powoli podszedł do stołu.

- Miło mi państwa poznać - powiedziała Bertha.

Gdy wróciła do kuchni, Anson podszedł szybko do półki koło kominka.

Emily była w rozterce. Z jednej strony bardzo pragnęła zaspokoić głód, z drugiej jednak wiedziała, że nie może dopuścić do tego, by ci Bogu ducha winni, życzliwi ludzie zostali okradzeni. Wzięła z talerza kromkę, nie spuszczać Ansona z oka. Dopóki niczego nie znajdzie, dopóty nie musi się wtrącać. Ale jak ja go powstrzymam od kradzieży, kiedy znajdzie pieniądze albo coś cennego?

Na szczęście do pokoju wszedł pan Hoover. Popatrzył ciekawie na Ansona, prawdopodobnie zdziwiony, że gość stoi koło półki, zamiast siedzieć przy stole. Potem spojrzął na Emily, a ona natychmiast zaczęła się obawiać, że gospodarz zauważy jej zmieszanie.

Nagle Anson wydał z siebie głośny jęk, przyciskając rękę do boku, i podszedł chwiejnym krokiem do najbliższego krzesła.

- Może któreś z państwa mogłoby spojrzeć na moją ranę? - powiedział.

- Boże drogi, człowieku, co z panem?

Gospodarz w jednej chwili znalazł się przy nim i pomógł mu zdjąć płaszcz.

- Przydarzył mi się mały wypadek - odrzekł Anson, odychając ciężko.

Emily odwróciła wzrok. Brzydziła się całą tą komedią bardziej niż widokiem jego zakrwawionej koszuli.

- Próbowałem pokazać żonie, jak się strzela, a ona, głupiutka, niechcący mnie postrzeliła.

Emily zorientowała się, że Alfred ogląda się na nią. Powinna teraz udawać, że czuje się winna. Jednak nie potrafiła przybrać skruszonej miny. Odwróciła wzrok i podniosła do ust kromkę chleba.

- Próbowała tę ranę opatrzyć - mówił dalej Anson. - Było to dziś rano.

- Proszę siedzieć spokojnie - polecił pan Hoover. - Wygląda na to, że kula przeszła bokiem i tylko pana drasnęła. Przyniosę bandaże i oczyszczę ranę.

- Będę bardzo zobowiązany.

Emily, słysząc opis rany, omal nie zemdleła. Opanowała się jednak. Musi przecież jeść. Za względu na siebie i dziecko.

Farmer wrócił za parę minut z bandażami i butelką whisky. Emily zauważyła, że więcej alkoholu trafiło do gardła Ansona niż na ranę. Hoover pomyślał prawdopodobnie, że jego gość bardzo cierpi.

Emily, nie zwracając uwagi na rozmowę mężczyzn, skupiła się na jedzeniu. Gdy powoli pogryzła dwie kromki, pomyślała, że przydałaby się szklanka mleka. W tej chwili do pokoju weszła Bertha z dwiema miskami zupy. Następnie wróciła do kuchni po kawę, a jej mąż pomógł Ansonowi

usiąść przy stole. Emily z ulgą zauważyła, że ma teraz na sobie czystą koszulę.

Anson przyniósł do stołu butelkę i pociągnął z niej kilka razy podczas posiłku. Zabawiał państwa Hooverów, opowiadając o sobie różne kłamstwa. Emily przypomniały się wieczory spędzane w towarzystwie Ansona i jego przyjaciół. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wtedy ogromnie bawiły ją głupstwa, które opowiadał.

Po posiłku mężczyźni kontynuowali rozmowę. Emily pomyślała, że skoro Alfred jest w pokoju, ona może się oddalić. Wzięła więc talerze i poszła z Berthą do kuchni. Anson na odchodne posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, które zrozumiała aż nadto dobrze.

W kuchni pomogła gospodyni pozmywać. Przez cały czas zastanawiała się przy tym, czy powiedzieć prawdę o Ansonie. Zaraz jednak przypomniała sobie jego groźbę. Jeżeli go zdradzi, on zabije i tych pocziwców, i ją. Dla gospodarzy najlepiej będzie, jeżeli rano oboje się stąd wyniosą.

No tak, dla nich to będzie najlepsze, ale dla niej nie. Och, jak by chciała powiedzieć Jake'owi, że była straszną idiotką, sądząc, że kocha Ansona. Nie miała pojęcia, czym naprawdę jest miłość. Tak, nie miała o tym pojęcia, dopóki nie pokochała Jake'a. A teraz tak bardzo chce Jake'owi powiedzieć, że pragnie, by to on był ojcem dziecka.

- Wygląda pani na bardzo zmęczoną, kochanie - odezwała się Berta, przerywając jej rozmyślania.

Emily kiwnęła głową.

- Mieliliśmy ciężki dzień. Teraz, gdy się posiliłam, czuję się o wiele lepiej.

- Jeżeli chcecie, to możecie z mężem spać w naszym łóżku.

- Nie, nie, wystarczy nam kawałek podłogi przed kominem - zaprotestowała Emily, gdyż nie spodobała jej się myśl, że staruszkowie będą spali na twardej podłodze.

- Jest też łóżko na stryszku. Więc jeżeli pani mąż zdoła wejść po drabinie...

No cóż, jeżeli nie zdoła, to nie dlatego, że jest ranny. Wypił za dużo whisky. Perspektywa spędzenia z Ansonem nocy na stryszku napełniała ją większą odrazą niż nocleg w dużym pokoju na dole. Jednak z drugiej strony, gdy zanocują na stryszku, on nie będzie miał okazji myszkować po sypialni.

Emily wiedziała, że decyzja i tak nie będzie należała do niej, tylko do Ansona. Bez względu na to, co ona powie gospodyni, Anson może postanowić inaczej.

Gdy wróciły do mężczyzn, okazało się, że Anson wypił już niemało. Sporo whisky ubyło z butelki. Emily uświadomiła sobie, że byłoby najlepiej, gdyby Anson się upił i stracił kontakt z rzeczywistością. Co prawda, nigdy nie widziała go aż tak pijanego, jednak podejrzewała, że on przy niej bardzo się pilnował. Po to, żeby ją łatwiej oszukać.

Pani Hoover zaproponowała Ansonowi to samo co przedtem Emily. Jak nietrudno było się domyślić, Anson wybrał wygodę. Stwierdził, że odczuwa ból z powodu rany, i powiedział, że chciałby spać w sypialni.

Emily uśmiechnęła się przepraszająco do Berthy. Anson to zauważył i na jego twarzy również pojawił się uśmieszek. Wyszły z gospodynią z pokoju przygotować posłania.

W sypialni Bertha otworzyła stary kufer.

- Mam nadzieję, że u pani męża nie wda się zakażenie - powiedziała.

- Ja też - odrzekła Emily.

Drzwi między sypialnią a pokojem, w którym zostali mężczyźni, były otwarte. Rozmowa mężczyzn ucichła. Czy może teraz ostrzec Berthę? Czy to bezpieczne? Już miała zacząć mówić, kiedy zobaczyła w lustrze odbicie Ansona. Nie spuszczał jej z oka.

Bertha wyjęła z kufra dwa pledy i wyprostowała się. Popatrzyła na Emily badawczo. Być może już podejrzewa, że coś jest nie w porządku. Jednak w tej chwili rozmowa na ten temat mogłaby zakończyć się tragicznie.

- Pomogę pani - powiedziała Emily, biorąc pledy. - Czy będą państwo spali na stryszku czy przy kominku?

- Przy kominku - odrzekła Bertha, wyjmując z kufra prześcieradła. - Nigdy nie lubiłam chodzić po drabinie. A co dopiero teraz, kiedy jestem już stara.

Emily zmusiła się do uśmiechu i wyszła z sypialni, nie patrząc w stronę Ansona. Wyglądało na to, że gospodarz już sobie dobrze popił, bo rechotał bez powodu. Bertha położyła pościel na krześle i podeszła do stołu.

- Myślę, że czas uratować już przed wami tę butelkę - powiedziała.

- Schowaj ją - zgodził się Alfred - bo inaczej nie będę mógł rano wstać do roboty.

Emily usłyszała pisk wciskanego korka i pełen niezadowolona pomruk Ansona. Wpatrywała się w ogień.

Alfred westchnął ciężko.

- Czy mam panu pomóc pójść do łóżka, synu?

- Pan proponuje mi pomoc? - zapytał Anson ze śmiechem.

Alfred też się roześmiał.

- Chciałem tylko okazać uprzejmość.

Skrzypnęło odsuwane krzesło.

- Miło było spędzić czas w pańskim towarzystwie, panie...

Anson najwyraźniej zapomniał, jak nazywa się jego gospodarz. Pan Hoover nawet tego nie zauważył.

- A jeszcze milej w towarzystwie mojej butelki - powiedział.

Anson roześmiał się i wstał.

- Chodźmy spać, żono - odezwał się.

Emily zamknęła na chwilę oczy. Pójść z nim do łóżka! To była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Odwróciła się i pozwoliła, żeby Anson objął ją za ramiona. Sama chwyciła go w pasie i pomogła mu przejść do sypialni. W środku Anson puścił ją i zamknął za sobą drzwi. W pokoju zapanowała ciemność, tylko zza okna wpadało blade światło księżyca.

- Boże, ależ jestem zmęczony - mruknął Anson, po czym podszedł do łóżka i usiadł na nim ciężko. - Bądź dobrą żonką i pomóż mi zdjąć buty.

- Zdejmij je sobie sam - syknęła Emily. - Ja ci w niczym nie pomogę.

Anson stłumił śmiech.

- Zobaczymy. Myślę, że rano pomożesz mi znaleźć to, co zachomikował ten stary głupiec.

To powiedziawszy, schylił się i zdjął buty.

Emily usiadła po drugiej stronie łóżka. Wyjęła spinkę z włosów i zaplotła szybko warkocz. Nie pomyślała o tym żeby wziąć ze sobą dywanikową torbę. Gospodarz także jej nie przyniósł. Ale i tak przecież nie będzie się przebierała. Wsunęła się pod kołdrę kompletnie ubrana.

Anson rozebrał się do bielizny i położył obok niej.

- Masz słabość do tych starych, co?
- To mili ludzie. Nakarmili nas i oddali nam swoje łóżko.

Nie zasługują na to, żeby ich okraść.

Anson roześmiał się.

- Łóżko jest niewygodne, a zupa była niesmaczna.
- Nie w tym rzecz.

Milczeli przez kilka minut, po czym Anson odezwał się znowu:

- Wiesz, to zabawne. Ta stara tak jakoś na ciebie patrzyła. Ona się zorientowała, że coś jest między nami nie tak. A ty nie powiedziałaś niczego, co by ją uspokoiło. I co najsmieszniejsze, ona moim zdaniem podejrzewa, że postrzeliłaś mnie celowo.

Jego chichot zdawał się wypełniać pokój.

Emily leżała nieruchomo, patrząc na światło księżyca wlewające się przez okno. Jeżeli Anson ma rację, to ci ludzie błędnie zinterpretują wszelkie ostrzeżenia z jej strony.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Emily przypuszczała, że nie zaśnie, jednak zmęczenie ją pokonało - zapadła w sen, gdy tylko w domu wszystko ucichło.

Obudziły ją jakieś szmery. Przez okno wlewało się pierwsze światło świtu, a ona w tym świetle zobaczyła skromnie umeblowaną sypialnię i Ansona grzebiącego w komodzie.

Wydała z siebie głośny jęk. Spodziewała się znaleźć u swego boku Jake'a, tymczasem był tu ten niegodziwiec.

Przykrył jej usta dłonią.

- Cśś - syknął. - Babcia robi śniadanie, a stary poszedł już do roboty. Będziesz cicho?

Kiwnęła głową, a on cofnął rękę. Z nieprzyjemnym uśmiechem odwrócił się w stronę komody.

- Ansonie, proszę cię - wyszeptła Emily, odrzucając kołdrę i siadając.

Zakręciło jej się w głowie, więc podniosła rękę do skroni. Po chwili zawrót głowy ustąpił. Emily znalazła buty i włożyła je na nogi, a potem podeszła do Ansona szperającego po szufladach.

- Daj spokój. Ci ludzie nic nie mają.

- O, zdziwiłabyś się, ile mogą mieć. Nawet ci, którzy wyglądają na największych biedaków, mają zawsze odłożone kilka dolarów.

Emily popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Kilka dolarów? - powtórzyła. - Ansonie,, twój ojciec jest bogaty. Dlaczego okradasz biedaków?

Anson zamknął szufladę i spojrzał na nią ponuro.

- Ten drań odciął mnie od pieniędzy. Nie mam nic.

Odetchnął głęboko, starając się nad sobą zapanować. A potem mówił dalej z przesadną cierpliwością:

- Muszę zdobyć pieniądze, żeby zacząć nowe życie w Denver. Mieliśmy je zacząć razem.

Odwrócił się i powolnym ruchem wyciągnął kolejną szufladę.

Emily pokręciła głową. Nie było sensu z nim dyskutować. Ruszyła właśnie w stronę drzwi, gdy dobiegł ją cichy okrzyk zachwytu. Obejrzała się i zobaczyła, że Anson trzyma zwitek banknotów i niemal tańczy z radości.

- Ten stary głupiec najwyraźniej nie wierzy bankom - wyszeptał.

Emily znowu poczuła zawrót głowy.

Anson włożył pieniądze do kieszeni spodni.

- Jeżeli piśniesz choć słowo, zabiję ich oboje - zagroził.

- Wydaje mi się, że wczoraj zabiłem pewnego starego farmera. I muszę powiedzieć, że to było całkiem łatwe.

Emily cofnęła się i sięgnęła ręką do tyłu, natrafiając na klamkę. Miała nadzieję, że Anson kłamie.

- Pójdę pomóc pani Hoover przygotowywać śniadanie - powiedziała, a że przyglądał się jej podejrzliwie, dodała: - Oni się tego po mnie spodziewają.

Kiwnął głową na znak, że się zgadza.

- Ja jestem ranny - szepnął jej do ucha - usiądę przy ogniu. Oni się tego po mnie spodziewają.

Emily z ulgą zastawiła go samego i wymknęła się do kuchni, choć wiedziała, że zapach kawy będzie tam jeszcze silniejszy niż w sypialni. Zapach kawy i jedzenia. Kiedyś uwielbiała takie zapachy, przypomniawszy sobie, walcząc z falą mdłości.

- Dzień dobry - powitała ją wesoło Bertha. - Jest pani bardzo blada, kochanie.

- Czuję się dobrze - odparła Emily, szukając krzesła.

Przy drzwiach stała mała ławka, poszła więc szybko w tę stronę.

- Nie wygląda pani dobrze.

Przyłożyła jej dłoń do czoła.

Emily starała się oddychać równo. Miała już pomysł, jak powstrzymać Ansona, jednak potrzebowała pomocy tej kobiety. Żeby ją uzyskać, musiała wytrzymać w kuchni. Pokona więc mdłości choćby siłą woli.

Niestety, nie udało się. Skoczyła na równe nogi i wybiegła na dwór. Zgięta w pół, wyrzuciła z siebie całą zawartość żołądka.

Gdy wróciła do kuchni, gospodyni czekała na nią z wilgotnym ręcznikiem i szklanką wody. I z uśmiechem. Boże, czy wszystkie kobiety na świecie wiedzą, że poranne mdłości oznaczają ciążę?

- Czy pani mąż wie? - zapytała szeptem Bertha, patrząc w stronę sypialni.

- On nie jest moim mężem - wyznała Emily, biorąc szklankę.

Bertha popatrzyła na nią pytająco. Emily westchnęła. Teraz ta kobieta uważa, że ona porzuciła męża i oczekuje dziecka kochanka.

Otworzyła usta, żeby wyjaśnić swoją sytuację, i zaraz je zamknęła. Chciała powiedzieć, że Anson, to znaczy rzekomy Andy, nie jest także ojcem dziecka. Ale on przecież nim był! Zdażyła o tym zapomnieć. Uśmiechnęła się mimo woli. A więc zaczęła już myśleć o Jake'u jako o ojcu maleństwa!

Jednak uśmiech zniknął zaraz z jej twarzy. Miała przecież problemy, które domagały się natychmiastowego rozwiązania. Jednym z nich było uzyskanie pomocy od Berthy. Z sąsiedniego pokoju dobiegły ją głosy. Alfred był już w domu. Miała niewiele czasu.

Starsza pani spojrzała na nią z dezaprobatą i podeszła do pieca.

- Proszę pani - zaczęła Emily, idąc za nią - czy pani ma laudanum?

- Ależ, moja droga, w pani stanie nie można go brać!

- Nie, nie. To nie dla mnie. To dla Andy'ego.

Bertha zmarszczyła brwi.

- Jeżeli rana tak bardzo go boli, to Alfred powinien jeszcze raz ją obejrzeć.

Emily miała ochotę krzyknąć - tak bardzo poczuła się bezradna. Żołądek jej się buntował, uniemożliwiając myślenie.

- Ja już ją obejrzałam - odrzekła, mając nadzieję, że mówi przekonująco. - Rana wygląda dobrze. On jest nieodporny na ból. Wie pani, to chłopak z miasta.

Bertha, choć niezbyt chętnie, zdjęła z górnej półki kredensu butelkę z lekarstwem. Wraz z łyżką wręczyła ją Emily.

- Proszę mu to zanieść, jeżeli jest pani zdania, że powinien zażyć lekarstwo przed śniadaniem.

Bertha najwidoczniej nie chciała dłużej widzieć Emily, zbiegłej żony, w swojej kuchni. Emily potrafiła jednak obstawać przy swoim.

- On lubi laudanum w kawie - powiedziała.

Bertha podejrzliwie popatrzyła na Emily, a ta uświadomiła sobie, że jej słowa zabrzmiały tak, jakby Anson był uzależniony od narkotyku. Na tę myśl omal się nie uśmiechnęła. Teraz gospodyni z pewnością miała o Ansonie tak samo niepochlebne zdanie, jak o niej samej.

Bertha odwróciła się do niej plecami i zajęła się śniadaniem. Emily znalazła jakąś filiżankę i nalała do niej kawy do trzech czwartych objętości.

A potem postawiła filiżankę na stole i, zasłaniając ją przed spojrzeniem gospodyni, dołała do niej trochę laudanum. Chciała Ansona uspić, a nie zabić, nie wiedziała jednak, ile lekarstwa potrzeba do tego celu. Poczowała zapach kawy i żołądek jej się ścisnął.

Zatykała właśnie butelkę, kiedy otworzyły się drzwi. Emily, przerażona, chciała schować butelkę za plecami. Było jednak za późno, bo Anson już stał przy niej.

- Co tam chowasz, dziecinko?

Powiedział te niewinnie brzmiące słowa tonem bardzo groźnym i, nie czekając na jej odpowiedź, szarpnął ją za rękę i wyrwał butelkę. Po czym, uśmiechając się pełnym okrucieństwa uśmiechem, zapytał:

- Co ty miałaś zamiar zrobić, moja mała?

- -Nic. To jest dla mnie. Boli mnie głowa.

Wypowiadając te słowa, Emily mogła sobie z łatwością wyobrazić, co myśli teraz Bertha. Z pewnością przypuszcza, że zbiegła żona chciała otruć kochanka.

Anson postawił butelkę na stole, wciąż trzymając Emily za ramię.

- Rozumiem - powiedział - więc wypij to szybko. No dalej, wypij lekarstwo!

Emily, przerażona, wstrzymała oddech. Anson oczywiście dobrze wiedział, że sparaliżował ją strach. Gdy tak stała jak skamieniała, on podniósł filiżankę i zbliżył ją do jej twarzy. Jednak ona ocknęła się wtedy i szybkim ruchem wytrąciła mu ją z ręki. Kawa chlusnęła mu w twarz.

Anson zaklął i puścił ramię Emily, a ona natychmiast cofnęła się, rozglądając się po pokoju za jakąś bronią. Równocześnie zauważyła, że oboje państwo Hooverowie patrzą na nią i na Ansona wstrząśnięci i zdumieni.

Anson oprzytomniał szybciej, niż Emily się spodziewała. Wykonując błyskawiczny ruch ręką, uderzył ją w głowę. Emily upadła, starając się osłonić brzuch.

- Nie! - zawołała Bertha. - Dziecko!

Emily szybko wstała. Drzwi do głównego pokoju były otwarte. Najwyraźniej Alfred pobiegł tam po broń. Anson sięgnął po swoją. Stał nad Emily, mierząc ją wściekłym spojrzaniem.

- Dziecko? - warknął.

Drzwi prowadzące na zewnątrz otworzyły się gwałtownie. Emily odwróciła się szybko, spodziewając się zobaczyć Alfreda.

- Jake!

Nie była pewna, czy wymówiła imię głośno, czy tylko je pomyślała.

- Tak - powiedział Jake, podchodząc do Ansona z bronią gotową do strzału. - To moje dziecko. I moja żona.

Anson był tak zaskoczony, że stał jak sparaliżowany. Jake rozbroił go i oddał w ręce Alfreda, który tymczasem wrócił z dubeltówką.

W następnej chwili Jake wziął w ramiona Emily.

- Jak mnie znalazłeś? - zdziwiła się.

Na to on sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet.

- Zostawiałaś przecież ślady.

- No tak, ale Anson się zorientował i...

- Wiem. Trochę mnie zmylił. Jednak nie zgubiłem tropu.

Podeszła do nich Bertha, trzymając w ręku wilgotną ściereczkę. Jake podziękował jej i przyłożył ściereczkę do sinego policzka Emily.

- Myślę, że powinniśmy coś zjeść.

Na twarzy Berthy malował się wyraz nieposkromionej ciekawości.

- Czy chcesz zjeść śniadanie? - zapytał troskliwie Jake.

- A wiesz, że chyba tak - odrzekła Emily ze śmiechem.

Uświadomiła sobie równocześnie, że Anson patrzy na nich z wściekłością, stojąc z podniesionymi w górę rękami, i że Hooverowie nie mają pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

- Państwo pozwolą, że ich sobie przedstawię - powiedziała.

- To są Bertha i Alfred Hooverowie. A to zastępca szeryfa Jake Rawlins. No a to - tu wskazała ruchem dłoni - to jest Anson Berkeley. A ja się nazywam Emily... Rawlins.

Wypowiadając ostatnie słowa, rzuciła się Jake'owi w ramiona.

Z rozkoszą pozostałyby w nich na zawsze, jednak tętent końskich kopyt i krzyki zmusiły Jake'a do odsunięcia jej delikatnie od siebie.

- Co znowu? - mruknął Hoover.

Jake podszedł do okna i wyjrzał. A potem otworzył frontowe drzwi i wpuścił szeryfa.

- Złapał go pan tym razem?

- Jest w kuchni - odrzekł Jake.

Szeryf wystawił głowę przez drzwi i zawołał dwóch ze swoich ludzi. Jake oddał Ansona w ich ręce.

W chwili gdy ludzie szeryfa wyprowadzali Ansona, Emily zawołała:

- Zaczekajcie! On ma w kieszeni spodni pieniądze państwa Hooverów!

Szeryf dokładnie przeszukał Ansona, po czym wręczył zwitek banknotów gospodarzowi, a ten przyjął go z ogromną wdzięcznością.

- Jest jeszcze drobna sprawa mojego konia - zwrócił się szeryf do Ansona. - Gdzie on jest?

- Puściłem go wolno - odrzekł ten ze złośliwym uśmiechem.

- O, do diabła — zaklął szeryf i zaraz dodał: - Przepraszam panie. Bardzo lubiłem tego konia.

Anson wzruszył ramionami.

- Zawieźcie go do miasta - rozkazał szeryf swoim ludziom.

- Moja kłacz i wałach Emily są w stajni - oznajmił Jake.

- Możecie wsadzić Berkeleyya na konia, którego wynająłem. Jest przywiązany na zewnątrz.

Zastępcy szeryfa pokiwali głowami i wyprowadzili Ansona z domu.

- On puścił pańskiego konia wolno, kiedy pojechał wyznaczyć fałszywy trop - powiedziała do szeryfa Emily. - Chyba potrafie odnaleźć to miejsce.

- Fałszywy trop? - Szeryf pokiwał głową. - Wiem, gdzie to jest. Rozdzieliłem ludzi tam, gdzie ślady wskazywały na to, że w bok poszły dwa konie. Dwa, nie licząc konia Jake' a. Sądzę, że moi ludzie złapią mojego wierzchowca.

Bertha zaproponowała śniadanie. Szeryf zjadł z nimi, zapewniając, że jego ludzie mają zapasy przy sobie i że nakarmi Ansona. Emily przyszło do głowy, że nikt prócz szeryfa z pewnością o tym nie pomyślał. W każdym razie ona tego nie zrobiła.

Godzinę później cała trójka była już w drodze do Council Grove. Bertha zapakowała im lunch, więc koło południa zatrzymali się i urządzili sobie piknik. Gdyby nie obecność szeryfa, byłaby to okazja całkiem romantyczna. Szeryf przez większość czasu gadał jak najęty, udzielając im rad dotyczących każdej dziedziny życia - od małżeństwa po tropienie przestępców. Jake słuchał go uważnie, a w każdym razie sprawiał takie wrażenie.

Wczesnym popołudniem Emily nie była już w stanie udawać, że się nie nudzi. A poza tym była tak zmęczona, że z trudnością trzymała się w siodle. Dziwiła się przy tym, jak poprzedniego dnia udało jej się wytrzymać w nim od rana aż do wieczora. No cóż, wtedy zmusiła ją do tego sytuacja.

- Zaczekaj chwileczkę - odezwał się Jake. - Przesiądź się na mojego konia, zanim zaśniesz.

To powiedziawszy, pomógł jej zsiąść z wałacha i dosiąść klaczy. Emily siedziała teraz przed nim, w jego objęciach, czyli tam, gdzie było jej miejsce. Gdy już się dobrze usadowiła, Jake popędził klacz.

- Czy wałach będzie szedł za wami? - zapytał szeryf.

- Już raz za nami szedł, więc chyba zrobi to i tym razem - odrzekł Jake.

Szeryf mruknął coś pod nosem o niefrasobliwości i cofnął się, by chwycić wodze wałacha. Zaraz ich dogonił. Już chciał coś powiedzieć, gdy jednak jego wzrok padł na śpiącą Emily, powściągnął gadulstwo i zamknął usta.

Jake'owi na ten widok udało się zachować powagę, choć przyszło mu to z trudem. Jechał, trzymając Emily w ramionach i żałując, że wcześniej nie wziął jej na swojego konia.

Emily zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Jake'a, poddając się kołysaniu pociągu. Wreszcie wracali do domu.

Poprzedniego dnia spóźnili się na ostatni pociąg, który odjechał, zanim dotarli do Council Grove. Spędzili więc jeszcze jedną noc w Hays House. Dostali ten sam pokój i w chwili gdy przekroczyli jego próg, powróciły wspomnienia. Żadne z nich nie spało wiele tej nocy.

Teraz Emily roześmiała się cicho, przypominając sobie wszystkie uroki wspólnej nocy.

- O co chodzi? - szepnął jej Jake do ucha.
- O nic. Tak sobie po prostu myślę - odrzekła.
- Powiedz mi o czym. Też chciałbym się pośmiać.
- No dobrze - zgodziła się, czując, że policzki jej płoną.
- Myślałam o... łaskotkach.
- Tak? A w czym wykonaniu. Może moim?
- Oczywiście.

Przytulił mocniej Emily i przemówił poważnym tonem:

- Posłuchaj, nie rozmawialiśmy o naszej przyszłości. Mam zajęcie, ale moja pensja nie jest wysoka. Mógłbym wrócić do pracy u twojego brata, ale...

Emily odwróciła się i patrząc mu w oczy, położyła mu palce na ustach.

- Co tak naprawdę pragniesz zrobić?
- Pragnę cię uszczęśliwić.
- Wiem, kochanie - szepnęła uwodzicielsko - jednak tego nie możemy robić bez przerwy.

Roześmiał się.

- No dobrze. Chcę zostać prawnikiem.

Emily nie była w stanie ukryć zdziwienia.

- Od kiedy?
- Nie wiem. Chyba od chwili gdy okazało się, że praca zastępcy szeryfa to niezupełnie to, czego się spodziewałem. Próbowałem oszczędzać na studia, jednak nie bardzo mi to idzie.

- Jake, ja znam pewnych bogatych ludzi, którzy bez wątpienia zechcą zainwestować w twoją przyszłość. Właściwie zrobią to z rozkoszą, bo zdjąłeś im z głowy kłopot w postaci mojej osoby.

- Tak sądzisz? Nie chciałbym zwracać się o pomoc do twojej rodziny.

- Naprawdę? Ja natomiast jestem przyzwyczajona do proszenia ich o różne rzeczy.

Jake roześmiał się.

- Porozmawiamy o tym później, a teraz się przytul.

Wtuliła się znowu w jego ramiona, a po chwili powiedziała:

- Cieszę się, że na Boże Narodzenie będziemy w domu. Szczerze mówiąc, Jake, trochę się boję. Po tym wszystkim będę musiała stanąć twarzą w twarz z rodziną. Przecież zachowywałam się jak idiotka. A oni musieli się o mnie zamartwiać.

- Nie tak bardzo. Wysłałem do nich kilka telegramów.

Wiedzieli, że jesteś ze mną. Wiedzą nawet, że wracamy właśnie do domu.

Mówiąc to, bawił się palcami jej dłoni.

- A czy wiedzą, że się pobraliśmy?

Jake milczał tak długo, że Emily mogła domyślić się odpowiedzi.

- Nie wiem, jak twoi rodzice zareagują na to wszystko, ale znam twojego brata. On będzie zdania, że powinienem się wytłumaczyć.

- Ty? Przecież to ja uciekłam. Na dodatek z pieniędzmi Christiana.

- Myślę, że twojego brata bardziej obchodzi to, co ja zrobiłem. Poślubiłem cię bez zgody twojej rodziny. Ciągnąłem cię po okolicy - głodną i zmarzniętą. Pozwoliłem, żebyś wpadła w ręce Ansona.

Emily spróbowała usiąść prosto.

- Ależ to nieprawda - zaprotestowała. - Uciekłam z Ansonem. I...

- Sprawilem nawet, że mała siostrzyczka Christiana oczekuje dziecka.

- Ależ Jake. Wcale nie ty to sprawiłeś.

Jake przyciągnął ją do siebie.

- Oni tego nie muszą wiedzieć - szepnął jej do ucha.

Kiedy byli już w pobliżu rancza, zaczął padać śnieg. Emily patrzyła na płatki osiadające na kapeluszu Jake'a i na jego ramionach, mając nadzieję, że jest mu tak samo ciepło jak jej. Gdy wysiedli z pociągu w Strong, Jake na widok czarnych chmur kazał jej włożyć na siebie wszystkie części garderoby, które miała przy sobie.

Jake sprzedał klacz w Council Grove, a w Cottonwood Falls czekał już na niego, pod opieką szeryfa, jego własny koń. Wałach przyjechał z nimi wagonem bydłowym i Emily teraz go dosiadała. Miała zamiar dać go Christianowi. Wiedziała, że nie zrównoważy to jego strat - ani konia, ani ukradzionych pieniędzy -jednak sądziła, że ten podarunek stanie się początkiem naprawy zawinionej przez nią sytuacji. Resztę strat zrekompensuje bratu później.

Jake spojrzął jej w twarz, a ona uśmiechnęła się. Bardzo dobrze się czuła, jadąc obok męża, nawet wśród padającego śniegu. Nie spieszyło jej się na ranczo. Gdyby była pewna, że Jake włożył ciepłe skarpetki, z pewnością pragnęłaby, żeby ta podróż trwała jak najdłużej.

Gdy zbliżyli się do dużego kamiennego domostwa, Emily podniosła głowę, zamrugła, żeby pozbyć się z rzęs płatków śniegu i zawołała:

- Lynnette?

Osoba stojąca na balkonie, niepomiernie zdumiona, zrobiła gwałtowny ruch.

- Emily!

Emily roześmiała się, a jej szwagierka obróciła się na pięcie i wbiegła do domu.

- Co ona tam robiła? - zapytał Jake.

Emily wzruszyła ramionami.

- Założę się, że zastanawiała się, jak opisać postaci z własnej powieści, jadące zaśnieżoną drogą.

- Moglibyśmy jej w tym pomóc.

Za węglem spotkali Christiana, który właśnie wyszedł ze stajni. Christian chwycił za uzdę konia Emily i pomógł jej

zsiąć. Zamiast zakręcić się z nią w koło, czego się spodziewała, objął ją mocno i długo trzymał w ramionach.

Wreszcie wypuścił ją z objęć i spojrzał jej w twarz. Jego niebieskie oczy były podejrzenie błyszczące.

- Nie byłem pewny, czy jeszcze cię zobaczę, Bułeczko - powiedział.

- Dostałeś moje telegramy, prawda? - wtrącił się Jake.

Wydawało się, że Christian nie ma ochoty oderwać wzroku od Emily, jednak po chwili uczynił to i spojrzał na Jake'a.

- Tak, dostałem.

Obejmując Emily jedną ręką, drugą wyciągnął do Jake'a.

- Dziękuję ci za to, że przywiozłeś ją do domu.

- Właściwie to nie tak do końca - odrzekł Jake, ściskając mu dłoń.

Podeszła do nich Lynnette, a Emily zauważyła jej domyślny uśmiezek. Tymczasem Christian zapytał:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Postanowiłem zatrzymać ją przy sobie.

Emily patrzyła rozpromieniona na Jake'a. Okazało się bowiem, że potrafi stawić czoło jej apodyktycznemu bratu bez mrugnięcia okiem. Zapragnęła być przy nim, jednak Christian najwyraźniej sądził, że jej miejsce jest gdzie indziej.

- Lynn, zaprowadź Emily do domu, gdzie jest ciepło. A Jake i ja zajmujemy się końmi.

- O nie - zaprotestowała Emily - idę z wami do stajni.

- Popieram - powiedziała Lynnette. - Ja na twoim miejscu też bym tak zrobiła.

Christian spojrzał na Emily, marszcząc brwi.

- Odprowadź konie, Jake - rzucił, nie odwracając głowy.

- Chcę po prostu dowiedzieć się od niego, gdzie byliście przez kilka ostatnich dni - powiedział cicho do niej.

- Ja znam Jake'a - odrzekła Emily, sprawdzając, czy jest na tyle daleko, by nie usłyszeć jej słów. - On weźmie na siebie całą winę. A ty jak zwykle mu uwierzysz.

Christian stłumił śmiech, wchodząc do stajni.

- Ależ Em, ja mu nigdy nie wierzyłem.

- W takim razie nie traktuj go zbyt surowo.

W tej chwili zbliżył się do nich Jake z dwoma końmi.

Obok niego szła Lynnette. Wyglądała na bardzo zadowolona. Uśmiechnęła się do Christiana.

- Wiesz co, proponuję, żebyśmy to my zajęli się końmi, pozwalając Jake'owi i jego młodej żonie pójść do domu.

- Młodej żonie?

- Młodej żonie - potwierdziła Emily, uśmiechając się do zdumionego brata.

- Młodej żonie - powtórzył Jake.

Lynnette roześmiała się, odciągając Emily od Christiana.

- Idźcie do domu, ogrzejcie się - powiedziała, a potem dodała, zniżając głos do szeptu: -I nie spodziewajcie się nas szybko.

Emily i Jake pospieszyli do domu wśród padającego śniegu. Przy drzwiach Jake wziął Emily w ramiona, po czym pocałował ją czule w usta i powiedział:

- Nie mogę potępić Christiana za to, że się zdenerwował.

- On się nie zdenerwował. Jest po prostu zaskoczony odrzekła Emily, udając, że jej zimno, i przytulając się do niego mocniej.

- On życzy swojej siostrze tego, co najlepsze - powie-

dział Jake. - A zastępca szeryfa, który nie ma pieniędzy, to nie jest dla niej najlepsza partia.

Emily pokręciła głową.

- Ja już wiem, co jest dla mnie najlepsze.

Jake przyciągnął ją do siebie. Pocałowali się jeszcze raz nie tylko dlatego, że byli spragnieni bliskości. Dawali w ten sposób wyraz radości, że cali i zdrowi wrócili do domu. Niebezpieczna przygoda zakończyła się nad wyraz szczęśliwie - spełniły się marzenia Jake'a, a Emily dowiedziała się, czym jest prawdziwa miłość.